

PRZE KROJ

NR 27/28 / 3341/3342

ALEXANDER SHULGIN
**DOKTOR OD
EKSTAZY** >42

CZY PIWO ZNIKNE
Z KRUPÓWEK? >24

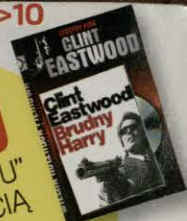
**KSIEŻYC
1969** STARA HISTORIA
NOWE FAKTY >46

**WCIĄŻ
PIERWSZA
DAMA** >36
JOLANTA
KWAŚNIEWSKA
W SPORZE
Z NAJSZTUBEM

INDEKS 371424



SZUKAJ
„PRZEKROJU”
Z 2. CZĘŚCIĄ
KOLEKCJI
LEGENDY KINA
CLINT EASTWOOD
„BRUDNY HARRY”



WWW.PRZEKROJ.PL
NUMER NA **DWA TYGODNIE**
NASTĘPNE WYDANIE
23 LIPCA



- radioodtwarzacz RCD 310 z mp3 i 8 głośnikami
- czujniki parkowania z przodu i z tyłu z wizualizacją na ekranie radia
- autoalarm z niezależnym zasilaniem, funkcją dozoru wnętrza i czujnikiem przechyłu
- podgrzewane siedzenia przednie
- spryskiwacze reflektorów

990 zł

Nowy Golf. Niezmiennie doskonały.

Adaptacyjne zawieszenie DCC zmienia jazdę w najtrudniejszych warunkach w komfortową podróż. Technologia TSI całkowicie zmienia myślenie o mocy i pojemności silnika. Automatyczna skrzynia biegów DSG zmienia przełożenia w mgnieniu oka. Perfekcyjne wyciszenie zamienia wnętrze samochodu w oazę spokoju. Park Assist zmienia parkowanie w dzieciinną zabawę. Jedno pozostaje bez zmian. Nowy Golf wyprzedza konkurencję.

Golf. Najchętniej kupowany samochód w Europie.

Zdobywca tytułu World Car of the Year 2009.

Teraz dostępny z silnikiem 1.6 TDI, o średnim spalaniu 4,5 l/100 km i poziomie emisji CO₂ 118 g/km.



Das Auto.

NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI

021336

Idźcie i śmiećcie się! Wystawa rysunków Marka Raczkowskiego w Muzeum Karykatury w Warszawie, ul. Kozia 11



więcej obrazków na www.przekroj.pl

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY...

...o **Jerzym Buzku**, kiedyś premierze rządzącym tak długo, że już nikt nie mógł na niego patrzeć, a teraz Wielkiej Dumie Wszystkich Polaków z racji objęcia stanowiska przewodniczącego Parlamentu Europejskiego. Bo nawet euroentuzjasta widzi, jaka ta Europa cwana – dali mu tylko pół kadencji, żeby nie zdążył się znudzić.

...o **Sławomirze Siwku**. Bo zanim zdążymy wydrukować numer, może być całkiem nieaktualne, kim aktualnie jest, skoro on sam – pełniąc obowiązki prezesa TVP powierzone

mu przez radę nadzorczą, która właściwie już nie istniała, choć jeszcze chwilowo działała – pewien jest tylko jednego: Hanny Lis do pracy nie przywróci. W życiu.

...o **Andrzeju Olechowskim**, jednym z największych polskich polityków (przynajmniej gabarytowo). Bo podobnie jak on uznał, że najlepszym sposobem powrotu do polityki jest ogłosić ten powrót i pojechać na urlop, tak my uznaliśmy, że jeszcze zdążymy mu się przyjrzeć, zanim sam – pełniąc obowiązki prezesa TVP powierzone

...o **Ludwiku Dornie**, który też zapowiada powrót do polityki przez duże P. Bo nie chcemy zapeszyć – niech wraca. Ostatnio słabiej bije źródło cytatów, a w tej kwestii były marszałek jest niezawodny. Pewnie w ramach rozgrzewki powiedział o PiS, że to „partia typu sułtan i jego eunuchy polityczne, tak jak w imperium osmańskim. Sułtan nie musi liczyć się z eunuchami”. Ostro. Daleko zajdzie.

...o **Bernardzie Madoffie** (obecnie więzień nr 1727-054), który wynajął konsultanta specjalistę, by pomógł mu znaleźć najlepsze możliwe więzienie, gdzie spędzi pewną część

z wyznaczonych mu 150 lat kary za megaprzekręt. Bo to musiałaby być dość długa historia o tym, ile typów więzień ma Ameryka i jakich typów nawet taki Madoff nie zdołał tam uniknąć. Zresztą kto wie, może o tym napiszemy?

...o **tym, kto napisał i kiedy**: „młode dziewice, z krzyżkami na piersiach, na plecach, na głowach i Bóg wie gdzie, niczego nie żałowały dla »Ojczyzny i walecznych jej obrońców«”. Bo tych nie liczyli, którzy wiedzą, cytaty nie zdziwi, a ci zaciekawieni, muszą poczekać na rozwiązanie dwa tygodnie i kupić następny numer „Przekroju”.

Dyplomatycznie powiedziane

Odsyłałbym do pana premiera, bo jest ekskluzywnym posiadaczem planów rządowych



* **Sławomir Nowak**, szef doradców premiera, zapytany, czy Donald Tusk planuje zmiany w rządzie

Powiedział, co wiedział

Dla zdrowia psychicznego od czasu do czasu jak poseł Rzeczypospolitej dostanie łomot w mediach, to też trochę większej pokory nabierze



* **Sebastian Karpiniuk**, poseł PO, o sobie – musiał przeprosić posłankę PiS za nazwanie jej „pociągami pancernymi”

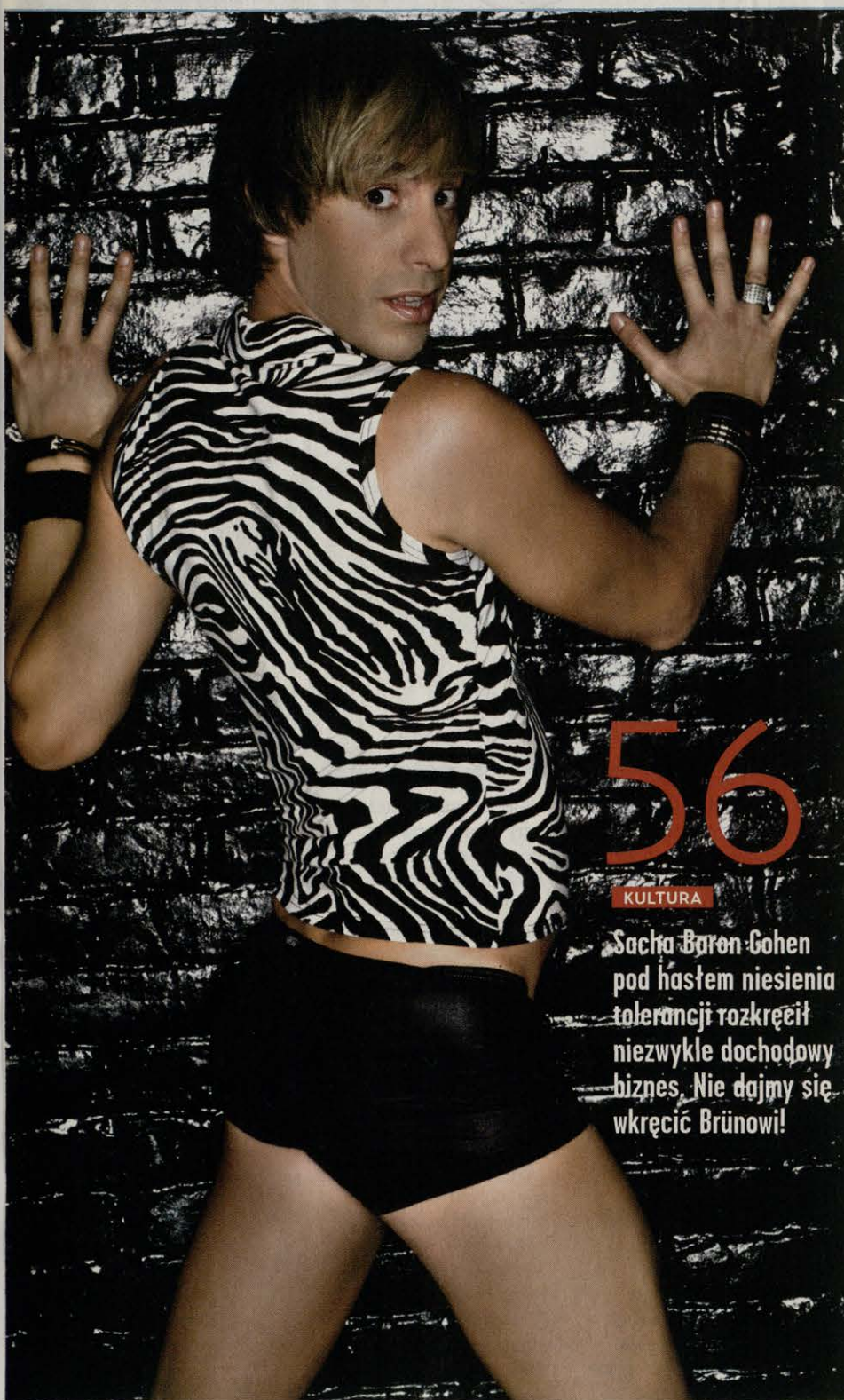
LAST MINUTE

+ Krzysztof Plyta +

O TVP: Skąd wiadomo, że w telewizji dźwięk jest ważniejszy niż obraz? Bo wszyscy zastanawiają się, kogo słuchać.

Akc. 50/2010

ZOBACZ PRZEKROJ



56

KULTURA

Sacha Baron Cohen pod hasłem niesienia tolerancji rozkręcił niezwykle dochodowy biznes. Nie dajmy się wkręcić Brünowi!

FOT. MONOLITH; NA OKŁADCE: JOLANTA KWAŚNIEWSKA, FOT. SZYMON SZCZĘŚNIAK

PRZED WSZYSTKIM

6 | **Komentarze** Rafała Kostrzyńskiego i Pawła Moskalewicza

PRZEKRÓJ TYGODNIA

10 | **Powiększenie:** Grzebanie w śmieciach
16 | **Kraj**
17 | **Świat**
18 | **Biznes**

WYDARZENIA

20 | **Rzeki w Polsce** mogą służyć jako międzynarodowe drogi wodne zarówno dla transportu, jak i turystyki – tylko nikt nie chce się tym zająć
24 | **Zakopane stolicą trzeźwości**
26 | **Zabójstwa kobiet** w Ameryce Środkowej i Meksyku to zjawisko kulturowe?
32 | **Świat wykradł język Anglosasom**

LUDZIE

36 | **Najszub pyta:** Dlaczego Jolanta Kwaśniewska nie chce zostać prezydentem?
40 | **Posłanka Marzena Wróbel** w komisji śledczej, czyli rottweiler zastąpił bulteriera
42 | **Alexander Shulgin** – naukowiec promujący dragi
44 | **Wiadomości o naszej śmierci są przesadzone** – mówi Sławomir Noszczak, dyrektor PLL LOT na Amerykę

CYWILIZACJA

46 | **40 lat minęło**, a my wciąż nie wiemy wszystkiego o lądowaniu na Księżycu
51 | **Panikologia** – tekst nie tylko dla panikarzy

WAKACJE Z „PRZEKROJEM”

54 | **Wspinamy się do domu huculskiej czarownicy i kąpiemy dzieci u Węgrów**

KULTURA

56 | **Zjawisko:** Nowe wcielenie Sachy Barona Cohena
60 | **Komiks:** „Louis na plaży” i „Spacedog”
61 | **Film:** Era Nowe Horyzonty
64 | **Muzyka:** La Roux i Little Boots
66 | **Książki:** Janusz Rudnicki „Śmierć czeskiego psa”
68 | **Sztuka:** Konserwatorzy to adwokaci dzieł sztuki – rozmowa z Iwoną Szmelter

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

3 | **W tym tygodniu** nie piszemy
8 | **Listy**
59 | **Czwarta strona kultury**
72 | **Różnorodności** z krzyżówką, jolką i felietonami
75 | **Stopklatka**
3, 6, 72, 74 | **Raczkowski:** Rysunki



W Plusie 14 400 min dotyczy Taryfy Syberyjskiej 120



W MixPlusie 14 400 min dostępne w zobowiązaniach 80 zł

14400
DARMOWYCH
MINUT
LETNICH
GAWĘD

Teraz w największej sieci komórkowej w Polsce możesz gadać i gadać za darmo:

- 14 400 minut na letnie pogawędki w Plusie i MixPlusie,
- superfunkcyjne telefony już od 1 zł.

Plus
RAZEM LEPIEJ

Sprzedaż: 0 801 400 601

Szczegóły w regulaminie i na www.plus.pl



PO bez wizji telewizji

Paweł Moskalewicz

PIS DOGAŁAŁ SIĘ Z SAMOOBRONĄ, DO TELEWIZJI PUBLICZNEJ wraca zawieszony pisowski zarząd*. Deal był prosty: Krajowa Radiofonii i Telewizji uzupełniła wreszcie skład rady nadzorczej TVP, wybierając rekomendowanego przez Samoobronę Radosława Potrzeszcza, którego poparła pisowska część KRRiT. Dzięki temu powstała większość zdolna zawiesić prezesa Farfala i odwieść prezesów Siwka i Bochenka. Było to zresztą ostatnie, co radzie udało się zrobić. Tego samego dnia minister skarbu, działając jako walne zgromadzenie TVP SA, nie udzielił radzie absolutorium, co definitywnie zakończyło jej żywot.

W telewizji trwa pat. Stary i nowy zarząd wzajemnie się nie uznają, obie strony czekają na decyzję KRS, a jakakolwiek będzie, zapowiadają walkę przed sądami. Zdezorientowani pracownicy TVP zaś (a zwłaszcza ci z programów informacyjnych) zastanawiają się, czy wciąż promować będą bliski Farfałowi Libertas, czy jednak znowu PiS i prezydenta, którym sprzyjają Siwek z Bochenkiem. Według komentarzy prawników bardziej prawdopodobne jest to drugie. Prezes Kaczyński na tym na pewno nie straci. A także Kościół, któremu prezes Siwek wierny jest od zawsze.

Cyrk, zgroza, groteska. Kpina z obywateli. Ale wina za dzisiejsze zgorszenie nie spada wyłącznie na dzielące łupy PiS i resztki przystawek. Odpowiedzialność za stan mediów publicznych obciąża także rząd Platformy Obywatelskiej. Od blisko dwóch lat PO bezradnie się miotła, usiłując przygotować sensowny projekt ustawy medialnej i zbudować wokół niej większość zdolną do odrzucenia prezydenckiego weta. Bez skutku. A gdy przychodzi co do czego, minister skarbu, właściciel TVP, popełnia szkolne błędy, nie tylko otwierając PiS drogę do przechwycenia telewizji publicznej, ale także pozwalając obecnej KRRiT na zakonserwowanie tego stanu na najbliższe trzy lata (bo na tyle zostanie wybrana nowa, nieodwoływalna rada nadzorcza TVP). Panie premierze, media pu-

❖ Choć bez prezesa Urbańskiego, który tak się starał podziąć wszystkim, że teraz nikt go nie chce

JĘŚLI CHODZI O POLITYKĘ MIĘDZYNARODOWĄ, wizyta Baracka Obamy na Kremlu była najtrudniejszym testem na jego skuteczność. Najkrócej mówiąc, amerykański prezydent miał dwa wyjścia: przyjąć nieprzejednaną postawę wobec tandemu Putin-Miedwiediew i niczego nie uzyskać albo pójść na ustępstwa, które z jednej strony trochę ocieplą relacje z Moskwą, a z drugiej – narażą go w Waszyngtonie na krytykę za zbyt uległość.

Ustępstwa kontrolowane

Rafał
Kostrzyński

Obama wybrał to drugie wyjście. Powiedzieć, że oddał Rosjanom inicjatywę, byłoby może przesadą, ale na Kremlu na pewno zaplanowało zadowolenie. Zarówno podpisanie wstępnego porozumienia w sprawie układu o redukcji zbrojeń (ma zastąpić wygasający w grudniu układ Start I), jak i zgoda na amerykańskie transporty wojskowe do Afganistanu to sukces Miedwiediewa. Rosyjska zgoda na redukcję zbrojeń (oba kraje mają w ciągu siedmiu lat zmniejszyć swój arsenał jądrowy mniej więcej o jedną trzecią) oznacza zapewne ostateczne zarzucenie pomysłu bu-

dowy tarczy antyrakietowej – przynajmniej w takim kształcie, o jakim mówiło się do tej pory. Rosyjski prezydent jeszcze przed wizytą Obamy zapowiadał, że nie będzie likwidował głowic, jeśli Amerykanie nie zarzucą pomysłu tarczy. Udostępnienie Stanom Zjednoczonym rosyjskiej przestrzni powietrznej na loty do Afganistanu będzie dla Kremla dodatkową kartą przetargową w razie kolejnych sporów. Obama trudniej będzie teraz stanowczo atakować Moskwę za Gruzję czy łamanie praw człowieka. Jest po prostu za bardzo od Rosji uzależniony.

na pewno powiedzą, że tak. Tylko że z tej twardej polityki dotychczas nie wychodziło nic dobrego. Włodarzom Kremla nigdy nie przeszkadzała międzynarodowa izolacja. Nie oglądając się na krytykę, potrafili zakręcić kurzek z gazem, zaatakować niepokornego sąsiada czy zagrozić skierowaniem rakiet na Polskę. Ostatnio nawet sami sobie strzelili w kolano, ogłaszając, że do Światowej Organizacji Handlu będą chcieli przystąpić razem z Białorusią i Kazachstanem – choć jest to w praktyce jednoznaczne z zerwaniem wieloletnich negocjacji w sprawie rosyjskiego członkostwa w WTO.

Obama liczy na to, że Rosja – zaangażowana we współpracę w zwalczaniu światowego terroryzmu i świadoma ustępstw ze strony USA – stanie się bardziej obliczalnym partnerem w sprawie Iranu czy Korei Północnej. Ryzykowne założenie, ale może warto zachodu. □

[illegible]

 wiecej obrazków na www.przekroj.pl

**PRZE
KROJ**

Założył
w roku 1945
w Krakowie
Redaktor
Marian Fille

Jarkowicz, Joanna Woźniczko-
Marcin Pieszczyk **PAN OD RY:**
Krężel, Olga Piłśniak, Marek Sz
Jawor **ARCHIWUM:** Dominika

[illegible]

EDIPRESSE
POLSKA

Malgorzata Golba – dyrektor, tel. 584 2311, Agnieszka Marcisz, tel. 584 2172, Malgorzata Skupala, tel. 584 22195, Grzegorz Makowski, tel. 584 22 95, Grzegorz Wilczek, tel. 584 25 94, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa
 Piotr Lich **DYREKTOR PRODUKCJI:** Danuta Kamińska **KIEROWNIK PRZYGOTOWAŃ:** Paweł Szypiel **DRUK:** Druk Winkowski **BIURO OBSŁUGI KLIENTA** oraz **PRENUMERATA** – informacje, zamówienia, reklamacje, tel. (0-22) 584 22 22 (pn.-pt., godz. 8-18), fax (0-22) 584 22 32, bok@red.presse.pl **PRZECZ POCZTĘ** PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ WSZYSTKIE URZĘDY POCZTOWE W TERMINIE NA 4 KWARTAŁY 2009 R. DO 25 SIERPNIA BR. A WŁAŚCICIE DO KOŃCA MIESIĄCA. WPŁATY NA PRENUMERATĘ SA PRZYJIMOWANE BEZ POBIERANIA DODATKOWYCH OPŁAT. MOŻNA RÓWNIEŻ ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ NA WWW.POCZTA-POLSKA.PL/PRENUMERATA, WWW.POCZTA-POLSKA.PL/PRENUMERATA. **PRZEZ RUCH SA – RUCH SA** prenumerata krajowa – 0 804 – 200 60, prenumerata zagraniczna – 022 53 – 28 – 816; 022 53 – 28 – 823

 ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYCH
NIE ZWRACAMY. REDAKCJA ZASTRZĘGA
SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓTÓW
W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH

Audi A4

Leasing 105%



**Doskonałe rozwiązania
nie tylko finansowe...**

Poznaj doskonałe rozwiązanie finansowe: leasing 105%* na zakup modeli Audi A4, A4 Avant i A4 allroad quattro. Teraz Twoja droga do wyrafinowanego świata Audi staje się wyjątkowo dostępna.

Poznaj również doskonałe rozwiązania techniczne: na przykład efektywny silnik 2.0 TDI, który łączy niezwykłą dynamikę z zaskakująco niskim poziomem zużycia paliwa 5,1 l/100 km, czy choćby system Audi drive select, który, zmieniając charakterystykę pracy układu jezdowego, oferuje trzy tryby jazdy: comfort, automatic lub dynamic.

O szczegóły oferty pytaj w salonach dealerskich Audi.

Infolinia: 0 801 200 500**

Promocyjna oferta Volkswagen Leasing Polska nie może być łączona z innymi promocjami cenowymi ani z ofertami specjalnymi.

**Opłata jak za 1 jednostkę połączenia lokalnego.



Aud

Audi Leasing

Chaos pojęciowy

Redaktor Maciej Jarkowiec był zapewne przekonany, że w „Przekroju” nr 24/3337 opublikował artykuł o praktyce i rozmaitych uregulowaniach dotyczących przerywania ciąży na świecie. W rzeczywistości napisał nieświadomie tekst o spustoszeniu, jakie w ciągu minionych kilkunastu lat dokonało się w umysłach i wrażliwości ludzi w Polsce, a także o miejscu kobiet w polskim społeczeństwie. Powyższa konstatacja staje się szczególnie oczywista w kontekście rozmowy odbytej przez autora artykułu w audycji Blog.fm na antenie Radia TOK FM.

W tekście panuje nieopisany chaos pojęciowy. Płody to „dzieci nienarodzone”, a kobiety w niechcianej ciąży to „matki” (w rozmowie radiowej, upomniany, że określenie „dzieci nienarodzone” jest bardzo kontrowersyjne, Jarkowiec zaczął nazywać płód „istotą, którą kobieta nosi w swoim łonie”). Autor pisze: „Jest jedna rzecz, która łączy zwaśnione armie [sic!] – wszyscy chcieliby, żeby aborcji było mniej”, a zaraz potem nazywa obrończynię i obrońców prawa do wyboru „zwolennikami aborcji”. Pisząc o Kanadzie, gdzie świadomie postanowiono nie regulować dopuszczalności aborcji prawem – uznając ją za kwestię sumienia – autor używa określenia „bezprawie”. Zapytany o to językowe pomieszanie odpowiedział, że „starał się używać języka obu stron, bo taki był pomysł na artykuł”. Czy wpadłby na podobny pomysł, pisząc na przykład o Żydach i antysemitach? Bardzo wątpię.

Inną charakterystyczną cechą tekstu są przeoczenia i/lub niedopowiedzenia. Spór o legalność aborcji Jarkowiec opisuje jako „jedną z najbardziej brutalnych kulturowych wojen współczesnego świata”, nie zauważając, że ofiary (w sensie jak najbardziej dosłownym) padają tylko po jednej stronie – przerywających ciążę kobiet i pomagających im lekarzy. Autor powołuje się na Baracka Obamę, który podczas wystąpienia na katolickiej uczelni wezwał obie strony sporu o aborcję do „otwarcia umysłów i serc”; zapomina wspomnieć, że słowa te padły po wiążących zapewnieniach ze strony prezydenta, że będzie bronił prawa amerykańskich kobiet do przerywania ciąży.

Jarkowiec konkluduje: „Argumenty odwołujące się do statystyki o niczym nie mogą przesądzić, bo spór toczy się na płaszczyźnie filozoficznej, a nie naukowej”. Nie tylko zamiast kobiet i ich realnych tragedii (o których zresztą autor dalej pisze z przerażającymi detalami) mamy „statystyki”; naturalna i uprawniona wydaje się też równowaga faktów i subiektywnych poglądów jako argumentów decydujących przy stanowieniu prawa dotyczącego dopuszczalności aborcji.

Wszystko to dowodzi słuszności tez stawianych przez Kazimierę Szczukę w książce „Milczenie owieczek. Rzecz o aborcji”. Celowo wprowadzany przez przeciwników prawa do wyboru chaos w warstwie języka i wartości sam się już reprodukuje, a z nim reprodukuje się system, który niszczy kobiety i czyni z nich obywateli drugiej kategorii. Nie jest to bynajmniej kwestia rozgrywająca się „na płaszczyźnie filozoficznej” ani „debata o absolutach” – skutki tej debaty dziesiątki tysięcy polskich kobiet odczuwają co roku na własnej skórze.

Chyba najwyższa pora, żeby media w Polsce wzięły odpowiedzialność za język i sposób, w jaki opowiadają o problemie aborcji. Nieświadomość naprawdę nie stanowi żadnego usprawiedliwienia.

Katarzyna Nowakowska,
Fundacja Feminoteka

Od autora

Zwolennicy prawa do aborcji na życzenie wrzucają żądanie tego prawa do jednego worka z wszystkimi innymi prawami kobiet, które należy im przyznać, żeby równouprawnienie stało się w Polsce faktem.

W moim tekście, jak i w rozmowie z redaktorem Jakubem Janiszewskim w TOK FM, pozwoliłem sobie zauwa-

Tekst o spustoszeniu, jakie w ciągu minionych kilkunastu lat dokonało się w umysłach i wrażliwości ludzi w Polsce

żyć, że spór o aborcję różni się – i warto to zaakceptować – od innych światopoglądowych konfliktów dzielących polskie społeczeństwo. W tych konfliktach prawie zawsze po jednej stronie są zwolennicy uprzedzenia (najczęściej powodowane religią lub nią usprawiedliwiane), a po drugiej żądanie poszanowania dla racjonalnych argumentów i – przede wszystkim – praw człowieka. Moje serce, umysł i zaangażowanie – czego dowodem niejedna publikacja – są zawsze po stronie praw człowieka, czyli po stronie kobiet, homoseksualistów, osób z niepełnosprawnością, narkomanów i wszystkich innych grup, którym w Polsce odmawia się pełnego uczestnictwa w demokracji.

W przypadku aborcji nie mamy jednak do czynienia ze zwykłym uprzedzeniem – dla którego nigdy nie szukam usprawiedliwień – tylko z wiarą, z przekonaniem, że kobieta ciężarna nosi w swoim łonie człowieka. Uważam, że do takiego przekonania należy zostawić ludziom prawo. Co za tym idzie, trzeba uszanować, że według nich ofiary (w sensie jak najbardziej dosłownym) są po obu stronach, i to, że domagają się, aby człowiek w lo-

nie kobiety był chroniony, a jego prawo do życia było ważniejsze od prawa do wyboru kobiety. Antyaborcjonści mają w tej jednej kwestii moralne argumenty, które dla mnie – i wielu innych osób niewierzących, dla wielu kobiet – nie pozostają bez znaczenia. Nieograniczoną prawnie aborcję na życzenie w każdym momencie ciąży (jak w Kanadzie) należy odróżnić od pełnego zakazu przerywania ciąży (jak w Nikaragui). Tekst jest wyrazem zrozumienia (choć wcale nie poparcia) dla przeciwników aborcji w pierwszym, a nie w drugim przypadku. Z drugiej strony – jak sama Pani zauważa – miejscami dosadnie opowiadam o tym, ile złego wynika z aborcyjnego podziemia, a w rozmowie z redaktorem Janiszewskim klarownie i krytycznie wyraziłem się o hipokryzji, z jaką wielu przeciwników aborcji podchodzi do edukacji seksualnej i antykoncepcji.

Jak Pani i redaktor Janiszewski doskonale wiecie, w demokracji istnieje coś takiego jak wstrzymanie się od głosu. Mój tekst jest wyrazem takiej postawy w kwestii aborcji na życzenie i dlatego – choć przyznam, że mógł zostać napisany precyzyjniej – obiektywnie przedstawiam w nim argumenty obu stron.

Maciej Jarkowiec

O alpinistach i Górny Śląsku

„To wielkie wyróżnienie dla władz samorządowych stolicy Podkarpacia, a dla jego mieszkańców powód do dumy i zadowolenia (...). Jestem przekonany, że publikacja wyników to wspaniała forma promocji miast – pisze w liście do „Przekroju” Tadeusz Ferenc, prezydent drugiego w rankingu miast przyjaznych obywatelowi Rzeszowa. – Jego wartość i miarodajność podnoszą dążenie do obiektywizacji kryteriów oraz liczba aż 24 czynników podanych analizie. Nie jest to więc ranking przypadkowy czy powierzchowny – czytamy dalej. – Doświadczeni alpinisci mówią, że łatwiej jest wejść na szczyt, niż się na nim utrzymać. Wierzę jednak, że Rzeszowowi to się uda” – dodaje na koniec Ferenc.

W tabeli popełniliśmy błąd. W danych dotyczących Katowic wpisaliśmy przez pomyłkę liczbę bezrobotnych w tysiącach zamiast w procentach. Wpisując 1404 dane liczbowe, nie ustrzegliśmy się też omyłkowego wpisania danych przy współczynniku liczby dróg w Gliwicach, które powinno otrzymać za nie 15 punktów. Miasto to znalazło się na 16. pozycji (zmiana o jedno miejsce).

Po poprawieniu pomyłek kolejność miast (pomiędzy 7. a 17. pozycją) wygląda następująco: 7. (*ex aequo*) – Szczecin i Katowice (po 363 punkty), 9. (też *ex aequo*) – Toruń i Białystok (po 360 punktów), 11. – Gdynia (357), 12. – Bydgoszcz (347), 13. – Warszawa (341), 14. – Opole (340), 15. – Lublin (326), 16. – Gliwice (310), 17. – Częstochowa (306).

Mieszkańców Katowic, Gliwic i wszystkich czytelników przepraszamy. Aktualną tabelę znajdziecie na www.przekroj.pl.

Marcin Cichoński

Kropla szczęścia, kropla radości

Ludzie w około 70% składają się z wody.

Tych którzy piją naszą wodę,

poznasz od razu.

Przyjaźnie nastawieni do świata,

emanujący pozytywną energią.

Wiedzą, że zwyczajny

uśmiech potrafi mieć magiczną moc.

I że po deszczu jest zawsze słońce!

Tak, życie jest prostsze, kiedy zawsze

na wszystko możesz spojrzeć

świeżym okiem.



Powiększenie



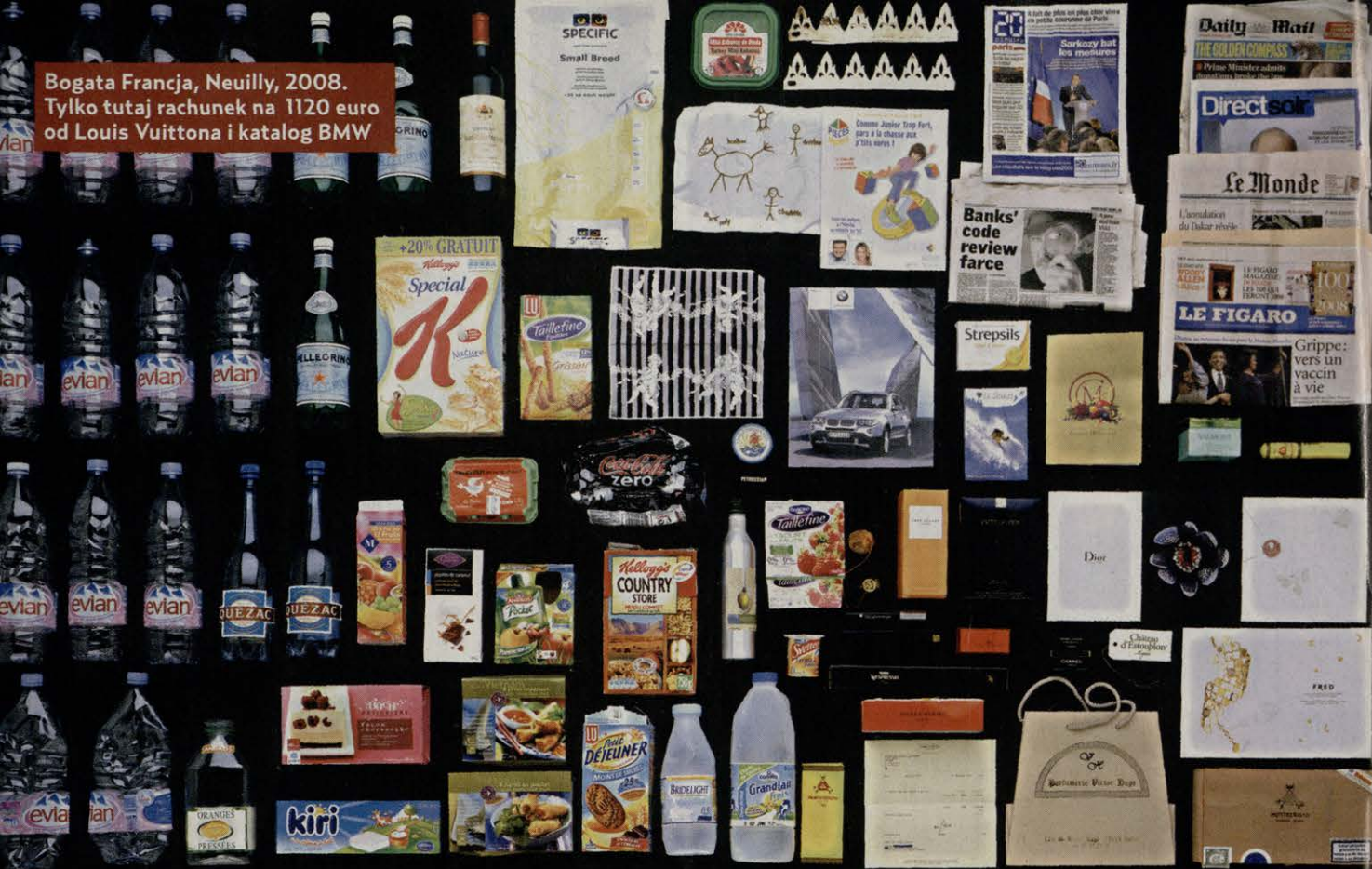
Pekin, 2006. Egzotyczny śmietnik po bliższych oględzinach wyda się nam znajomy. Nestle, RedBull, Knorr, Lipton, Duracell, Campbell's – zachodnie marki i tu się sprzedają

ZDJĘCIA PASCAL ROSTAIN, BRUNO MOURON

Na cudzych śmieciach

CZUJEMY SIĘ JAK ARCHEOLOGODZY NA WYKOPALISKACH – MÓWIĄ AUTORZY SERII „TRASH”, KÓRZY OD 20 LAT GRZEBIĄ W ŚMIECIACH. NAJPIERW SŁYNNYCH, A TERAZ ZWYKŁYCH LUDZI

Bogata Francja, Neuilly, 2008.
Tylko tutaj rachunek na 1120 euro
od Louis Vuittona i katalog BMW



Malawi, 2009. To jeden
z najbiedniejszych krajów świata
– a dzięki temu najczystszych

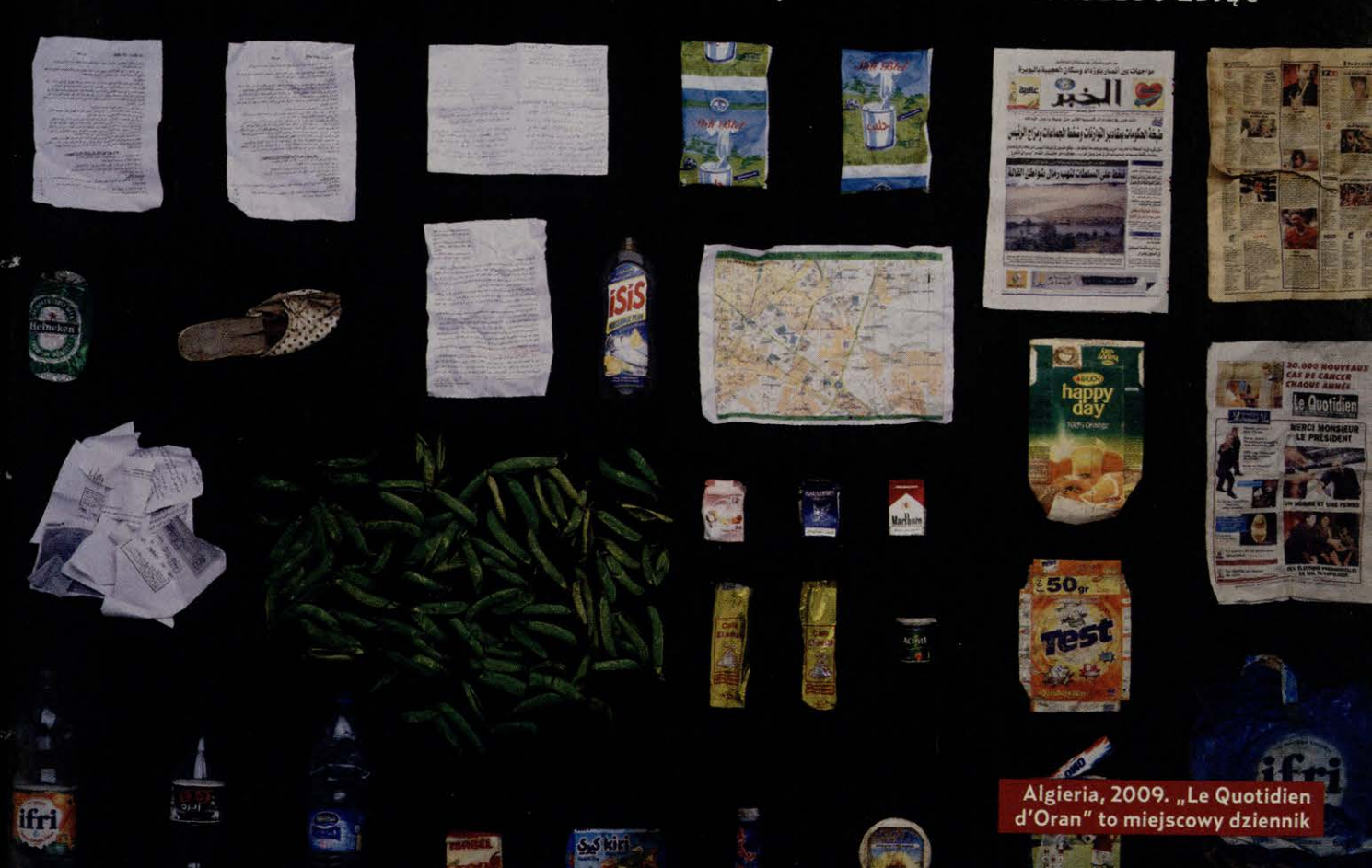


W NIEKTÓRYCH KRAJACH RÓŻNICE SPOŁECZNE SĄ TAKIE, ŻE SFOTOGRAFOWALIŚMY DWA RÓŻNE ŚMIETNIKI: BOGATY I BIEDNY. W USA TRZEBA BĘDZIE ZROBIĆ CHYBA SZEŚĆ ZDJĘĆ

Francja biedna,
Ivry-sur-Seine,
2008. Tu królują
produkty sieci
supermarketów:
Lidl i Carrefour



Algieria, 2009. „Le Quotidien
d'Oran” to miejscowy dziennik



Moskwa, 2007. Tutaj zaskakuje przede wszystkim bogaty wybór damskiej bielizny. Ale podobny wybór produktów można znaleźć w polskim zyspie



Przeglądając dziennik „Le Monde” pewnego popołudnia 1988 roku, Pascal Rostain trafił na tekst, dzięki któremu złapał bakcyła. Profesor socjologii tłumaczył w nim wyniki badań, w ramach których jego studenci przeszukali przez okragły rok śmieci 10 francuskich rodzin. Rostain nie wiedział, że wspólnie z Bruno Mouron [fotografem, kolegą z „Paris Match” – przyp. red.], zajmą się za chwilę światem równoległym, pełnym zgniecionych puszek, zatłuszczonych opakowań i rybich ości.

Zainspirowany artykułem Rostain namówił najpierw Serge’a Gainsbourga, by ten pozwolił mu zabrać zawartość swojej śmietniczki. „Przewiozłem śmieci do studia, rozłożyłem i sfotografowałem. To, co z tego wynikało, było wręcz karykaturalnym odbiciem sposobu życia Gainsbourga: paczki gitane’ów, butelki ricarda... To było tak charakterystyczne dla niego, że zastanawialiśmy się, czy w ogóle to publikować” – wspomina Rostain.

Ale wirus działał i szybko rosła lista celebrytów, których duetowi fotografów – przy okazji codziennej pracy dla prasy – udało się namówić do udziału w eksperymencie. Śmieci Ronalda Reagana, Sharon Stone czy Madonny dołączyły niezależnie od woli swoich właścicieli do odpadków ze śmietnika Le Pena, Brigitte Bardot czy Yannicka Noaha. Wystawa zatytułowana „Trash” objechała cały świat – od Nowego Jorku, przez Paryż, Moskwę i Singapur, do Genewy. Obecnie można ją zobaczyć na Tajwanie, a wkrótce na Art Basel Miami.

Teraz jednak pomysł, który mógł się wydawać wariacją na temat polowania na celebrytów – do czego Mouron i Rostain są przyzwyczajeni – znacznie się poszerzył. Dziś zamienia się w inwentarz odpadków anonimowych mieszkańców naszej planety. Dwójka ogarniętych śmietnikową gorączką autorów chce się o ludziach dowiedzieć tego, co ci chcą przed światem ukryć. Czyli chodzi z grubsza o to samo co w wypadku wcześniej fotografowanych celebrytów.

Jak to się stało, że po serii „Trash” postanowiliście dalej robić zdjęcia śmietników, tyle że anonimowych ludzi?

PASCAL ROSTAIN: Po tamtej serii skontaktowała się z nami Yamna Djellouli, profesor rudologii [gałęzi nauki zajmującej się śmieciami – przyp. red.] na Universite du Maine (w Le Mans). Chciała, byśmy pokazali nasze zdjęcia na jej uczelni. Postanowiliśmy, że zrobimy da niej coś więcej: fotograficzne studium globalizacji.

BRUNO MOURON: Zdaliśmy sobie sprawę z tego, że wachlarz produktów pokazywanych w cyklu „Trash” nie dotyczy tylko celebrytów. Że rzadko zajmowała się tymi produktami konsumpcji fotografia, z wyjątkiem Warhola. Ich sakralizacja, pokazanie śmieci na eleganckim czarnym akksamicie niczym drogiej biżuterii, wydała nam się pociągająca.

Od kiedy pracujecie nad nowym cyklem?

P.R.: Trzy lata. Do pierwszego śmietnika zajrzeliśmy w Katarze w roku 2005.

Ile krajów odwiedziliście?

P.R.: Do tej pory 12 z przewidzianych 42: Katar, Singapur, Chiny, Rosję, Szwajcarię, Francję, Malawi, Algierię, Fakaravę w Polinezji, Marie-Galante na Antylach, Japonię, Mauritius.

W jaki sposób prowadzicie prace?

B.M.: Jedziemy tam, gdzie wiodą nas robione przez nas na co dzień reportaże, i przy okazji przeszukamy śmietniki.

P.R.: Co prawda pracujemy jako artyści, a nie naukowcy, ale staramy się dotrzeć do „przeciętnych” rodzin i śmieci przeglądamy przez cały tydzień.

B.M.: Choć w niektórych krajach rozpiętość między bogatymi i biednymi jest tak wielka, że zbieramy dwie różne próbki.

P.R.: We Francji „biedny” śmietnik znaleźliśmy w wiosce Evry, a „bogaty” – w miejskim pałacu w podparyskim Neuilly. W podobny sposób postępowaliśmy w Moskwie. W Stanach Zjednoczonych potrzeba będzie chyba sześciu śmietników. Właśnie wróciłem z Malawi: 80 procent ludzi na wsi, 47 procent bezrobotnych, milion sierot... Haiti to przy tym jak księstwo Monako. Ale za to jaki piękny był ten śmietnik! Bez papierów, opakowań, jedzą tam kukurydzą, którą gotują, paląc kukurydzą, więc nie ma odpadków.

Te fotografie mówią nam coś o trosce o środowisko naturalne?

B.M.: Oczywiście! Zdajemy sobie sprawę, że tryb życia się zmienia, zresztą nasza praca to współczesna archeologia. Warto zwrócić uwagę na to, że nie ma szans, by zlokalizować te odpady później, bo zostają zniszczone lub zakopane.

P.R.: Pozytywne jest to, że ludzie, którzy oglądają te zdjęcia, pomyślą przez moment o własnych śmieciach. Już samo zadanie pytania to początek odpowiedzi.

B.M.: Są dwa sposoby odczytywania tych zdjęć. Ludzie najpierw oglądają ogólną kompozycję, potem koncentrują się na szczegółach produktów.

P.R.: Bruno dba o stronę artystyczną projektu, a ja staram się zachować wartość informacyjną.

Jak wygląda techniczna strona tej pracy?

P.R.: Większość odpadków musimy zabrać do naszego studia w Paryżu, co bywa kłopotliwe. Czasem zdjęcia trzeba robić na szybko, jeśli autochtoni nie kupują w supermarketach i jedzą nieopakowane produkty organiczne.

Nie macie problemów na granicach?

P.R.: Biorą nas za oryginałów, gdy widzą walizki wypchane śmieciami. Ale przepustką jest dla nas zawsze katalog wystawy „Trash”.

Co wykorzystujecie w studiu?

B.M.: Używamy wielkoformatowego aparatu 20x25 i klisz Velvia 50 ASA Fuji.

P.R.: Robimy zdjęcia w ustawieniu na 1/125 sekundy przy przesłonie 64. Negatywy wywołujemy w Central Color, a odbitki są powiększane do formatu 180x230 centymetrów na potrzeby galerii i muzeów.

Od lewej: Bruno Mouron i Pascal Rostain



Podobno przechowujecie od 20 lat te wszystkie fotografowane śmieci? Po co?

– 20 lat temu, gdy skontaktował się z nami rzeźbiarz Arman, proponując współpracę, zdecydowaliśmy już nigdy nie wyrzucać tego, co fotografujemy. Zresztą mówiliśmy już, że czujemy się jak archeolodzy – odczuwamy więź z obiektem badań.

Kiedy uznacie, że cykl został zamknięty?

B.M.: Na razie temat nie wydaje nam się wyczerpany.

P.R.: To nie jest hobby. W tej chwili to już dla nas jak nałóg. Nie mogą wyjechać na jakiś reportaż zagraniczny i nie przywieźć stamtąd śmieci. Bruno podobnie.

A kto miałby podjąć decyzję o zamknięciu projektu?

– Na pewno nie my, bo temat ewoluuje i nigdy się nie wyczerpie. Świat dalej będzie konsumował, może nieco inaczej ze względu na podejście ekologiczne, a zatem po co zamykać coś, co wciąż trwa? □

Wywiad przeprowadził Christian Gauffre dla pisma „Photo” w maju 2009 roku.

KRAJ

Sporna mediacja

Do mediacji nie dochodzi, bo strony klóć się, kto za nią zapłaci

W POLSCE PRZEPROWADZANYCH jest o wiele za mało mediacji sądowych, choć może się nimi kończyć wiele sporów, na przykład rodzinnych, które trafiają na salę rozpraw. Strony, głównie małżonkowie, już na wstępie jednak nie dochodzą do porozumienia, kto zapłaci 60 złotych za pierwsze spotkanie z mediatorom – sąd opłaca bowiem tylko mediacje w sprawach nieletnich lub karnych. Rzecznik praw dziecka zwrócił się więc do resortu sprawiedliwości o zniesienie opłat za cywilne mediacje. – *mil*

Mniej dymu na granicach

Straż graniczna chce oszczędniej gospodarować pedałem gazu

EKONOMICZNA JAZDA MOŻE dać aż 125 tysięcy złotych oszczędności rocznie na każde sto samochodów straży granicznej. Gdy to wliczono, straż przeszkoliła w Kętrzynie instruktorów takiej jazdy – 19 kursantów ze wszystkich 12 okręgów straży granicznej. Uczyli się rozruchu silnika bez dodawania gazu, dynamicznego ruszania bez wciskania pedału do dechy, trzymania stałej prędkości na najwyższym biegu. Teraz przekazują wiedzę na szkoleniach lokalnych. – *aj*

Dwójka nie wytrzymała

Przerwiemy nadawanie na dobę – taki protest ogłosił zespół radiowej Dwójki

PRZY KOLEJNEJ KOREKCIE ramówki okazało się, że nasza wytrzymałość się skończyła. Nawet zmniejszenie honorariów dziennikarzy nie rozwiązało problemu – mówi Małgorzata Małaszko-Stasiewicz, wicedyrektor rozgłośni. Dwójka nie ma pieniędzy na nagrania, koncerty i festiwale, które ma organizować. Obawy budzi też brak gwarancji poziomu finansowania w nowej ustawie medialnej. – Politycy o nas nie myślą, bo nie są do nas zapraszani – twierdzi wicedyrektor. – Wkrótce zamilkniemy na dobre. – *mh*

Odgryziony dowód

Przekazany policji palec nie wskazywał, że chodzi o kobietę

NA KLATCE LUBELSKIEGO bloku w środę 1 lipca mężczyznę napadł rabuś. Poszkodowany tak się bronił, że odgryzł napastnikowi mały palec dłoni. Bandyta uciekł, a 47-letni lokator oddał palec policji. Zdjęto odcisk i zabrano się do szukania. W niedzielę jednak zgłosili się napastnik bez palca i napadnięty. Oświadczyli, że była to bójka, nie napad, i już nic do siebie nie mają. Nieoficjalnie wiadomo, że powodem sporu była miłość obu panów do jednej kobiety. – *iggy*



Wypuszczono 60 tysięcy gołębi, a te od razu były zdezorientowane. Do dziś połowa się nie odnalazła

ŻYWIŁY AGATA JANKOWSKA

Burze zgubiły gołębie

Powódź przyniosła ogromne straty także hodowcom gołębi pocztowych – aż 30 tysięcy ptaków nie wróciło na Śląsk z konkursu w niemieckim Schöningen

POŁUDNIOWO-WSCHODNI WIATR ZEPCHNĄŁ z trasy wracające podczas nawałnic gołębie. Poleciały w Sudety i tam trop się urywa.

Kto chce wystawiać gołębie pocztowe na mistrzostwach kraju, musi między innymi dwa razy w roku brać udział w konkursach, w których ptaki przelecą powyżej 500 kilometrów. To dlatego polskie gołębie startowały ze wsi Schöningen w Dolnej Saksonii.

Na konkurs ten zawieziono ponad 60 tysięcy gołębi od około 5 tysięcy hodowców z dwóch okręgów: Kattowice oraz Śląsk Południe. O wypuszczeniu ptaków po dojeździe decydował Krystian Bednarz, prezes Polskiego Związku Hodowców Gołębi Pocztowych do spraw lotowych. W sobotę 24 czerwca około godziny siódmej rano klatki zostały otwarte. – Od razu wiedziałem, że lot nie będzie łatwy. Gołębie od początku leciały w złym kierunku – wspomina Bednarz.

Według hodowców są dni, gdy gołębie tracą orientację i się gubią. Przyczyn

ny nie są znane, może winne są zmiany w atmosferze, może nasilenie sygnałów transmisyjnych? – Gdy w 1999 roku Jan Paweł II był w Gliwicach, zgubiło się nam 70 procent ptaków – wspomina Bednarz. Podczas ostatnich wyborów do europarlamentu lot z Kamienia Pomorskiego ćwiczył okręg krakowski. – Straciliśmy ponad 30 procent najlepszych gołębi – mówi Stanisław Obierzyński z zarządu okręgu.

Śląscy hodowcy o ostatnie straty obwiniają jednak Bednarza. – Powinien sprawdzić prognozy. Brakuje mi trzech czwartych stada, nie wystartuję w kolejnym konkursie – martwi się jeden z hodowców z Knurowa.

Bednarz nie zgadza się z zarzutami, ale honorowo rzekł się stanowiska prezesa związku.

Gołębiarze mają nadzieję, że ptaki wrócą, gdy odpoczną. Ale obawiają się łapaczy, którzy chwytają cudze ptaki, a potem sprzedają je na bazarach. Dlatego hodowcy także tam poszukują swoich gołębi. □

Powodzie. Co nas jeszcze czeka?

• RAPORT SPECJALNY • RAPORT SPECJALNY • RAPORT SPECJALNY •

Czytaj tylko w serwisie wiadomosci.wp.pl



INFORMACJE KOMENTARZE RELACJE ZDJĘCIA REPORTAŻE OPINIE FELIETONY

Biedni, ale zadowoleni

ZUPEŁNIE NOWY RANKING SZCZĘŚCIA

W JAKIM PAŃSTWIE ŻYJE SIĘ NAJSZCZĘŚLIWIEJ, najdłużej i w największej harmonii ze środowiskiem? W Kostaryce. Tak wynika z rankingu Indeks Szczęśliwej Planety (Happy Planet Index, HPI) przygotowanego przez londyńską Fundację na rzecz Nowej Ekonomii (NEF). Drugie miejsce zajmuje w nim Dominikana, trzecie zaś Jamajka. Wynika z tego, że najszczęśliwszym regionem na Ziemi są Karaiby i Ameryka Łacińska. Rozwinięte kraje Zachodu zaczynają się pojawiać w połowie tabelki (Holandia tuż za Haiti na 43. pozycji, Niemcy za Jemenem – na 51.). Polska wylądowała na miejscu 77., a Stanom Zjednoczonym najbliższe jest do państw biednej Afryki – są między Nigerią a Madagaskarem. Pozycja 114.

Jak to możliwe? Dotychczas znaliśmy rankingi amerykańskie czy brytyjskie oparte na danych agencji ONZ. Brały one pod uwagę takie wskaźniki, jak opieka zdrowotna,

dostęp do edukacji, a przede wszystkim dochód na mieszkańca (albo PKB). Prowadziły w nich regularnie kraje skandynawskie, z Danią na czele.

HPI jest inny. – To radykalne zerwanie z obsesją PKB – wyjaśnia profesor Herman Daly z Uniwersytetu Maryland w raporcie opisującym ranking. – Koncentrowanie się na wzroście dochodów doprowadziło ponad miliard ludzi do życia w ubóstwie, a planetę do skrajnego wyczerpania zasobów naturalnych – dodaje. Dlatego HPI bierze pod uwagę długość życia, poziom zadowolenia z życia oraz koszt tych dwóch pierwszych – stopień zanieczyszczenia środowiska. Kostaryka, kwitnąca demokracja na Przesmyku Panamskim, czerpie 99 procent energii z zasobów odnawialnych, zamiast utrzymywać armię, inwestuje w pakiety socjalne, pielęgnuje więzi rodzinno-przyjacielskie oraz tradycje równouprawnienia kobiet. – *joa*

INDEKS SZCZĘŚLIWEJ PLANETY

Miejsce w rankingu	Długość życia	Zadowolenie z życia	Szkody dla środowiska	HPI
1. Kostaryka	78,5	8,5	2,3	76,1
2. Dominikana	71,5	7,6	1,5	71,8
3. Jamajka	72,2	6,7	1,1	70,1
4. Gwatemala	69,7	7,4	1,5	68,4
5. Wietnam	73,7	6,5	1,3	66,5
43. Holandia	79,2	7,7	4,4	50,6
74. Wielka Brytania	79,0	7,4	5,3	43,3
77. Polska	75,2	6,5	4,0	42,8
114. USA	77,9	7,9	9,4	30,7
143. Zimbabwe	40,9	2,8	1,1	16,6

TURCJA RELIGIJNY SHOW

Telegra o wiarę

Po jednej stronie 10 ateistów. Po drugiej – duchowni czterech największych religii. Stawką jest wiara, a wszystko dzieje się na ekranach tureckiej telewizji publicznej



FOT. BARTOSZ BOBROWSKI/AG, STRAŻ GRANICZNA. ISTOCK

PROGRAM „WYŚCIG POKUTNIKÓW” BĘDZIE EMITOWANY od września, a już wzbudził kontrowersje. Zapowiada się jako rywalizacja największych religii świata. Zasady są proste: buddyjski mnich, żydowski rabin, prawosławny pop i muzułmański imam będą na wizji walczyć o nawrócenie niewiernych. Konkretnie – 10 zdeklarowanych ateuszów zapro-

szonych do udziału w teleturnieju. W kolejnych odcinkach zostaną oni wystawieni na argumenty duchownych, a zwycięży ten, kto da się przekonać. Do wygrania jest bowiem „największa z możliwych nagród” – wiara. A oprócz tego pielgrzymka do świętego miejsca wybranej religii. Jerozolima dla nowo nawróconych chrześcijan i żydów, Mekka dla neofitów islamu, Tybet – dla buddystów. Producenci programu zapowiadają, że dokładnie sprawdzą, czy delikwenci rzeczywiście zaczęli wierzyć, czy też chcieli się załapać na wyścig. Tureccy imamowie oburzają się, że to próba osłabienia dominującej w kraju religii – islamu. – *joa*

WŁADZE WIOSKI OKTABRSKOJE NA UKRAINIE CHCĄ JĄ NAZWĄĆ MICHAEL JACKSON

ŚWIAT

Zimne piwko...

...łagodzi stres i daje zdrowie – głosi slogan reklamowy północnokoreańskiego piwa Taedonggang. Pamiętając o tym, że w gospodarce komunistycznej nie ma konkurencji, zastanawiamy się, o co chodzi w telewizyjnej kampanii państwowego browaru. Mogłoby chodzić o rozpijanie obywateli w ramach prowadzonej od pokoleń indoktrynacji... gdyby tylko obywatele mieli telewizory.

Piraci się sprzedali

Czterej Szwedzi skazani w kwietniu na rok więzienia za prowadzenie strony The Pirate Bay (TPB) umożliwiającej wymianę plików w sieci oddali ją firmie produkującej gry komputerowe za 7,7 miliona dolarów.

Użytkownicy TPB nazwali to zdradą. Nowy właściciel, Global Gaming Factory, zapowiada, że będzie respektował prawo – co oznacza koniec piractwa w „zatoce piratów”.

Czarnuchy...

...to nazwa nigeryjsko-rosyjskiej spółki, która będzie eksploatować złoża gazu w Nigerii. Tak przynajmniej twierdzą oburzeni Nigeryjczycy. Według nich słowa *Nigaz* nie da się przeczytać tak, żeby nie brzmiało jak rasistowski epitet *niggers*. Rząd odpowiada: jak zwiał, tak zwiał, ważne, że Rosjanie dali kasę.

Jasność zakodowana

Wioska Dörentup w środkowych Niemczech jest pierwszym miejscem na planecie, gdzie uliczne latarnie włącza się telefonem. Między 23 a 6 wieś pogrążona jest w ekologicznych, oszczędnych ciemnościach. Żeby oświetlić sobie drogę z gospody do domu, wystukujesz na komórce kod odpowiadający danemu kwartałowi wsi.

Słonie wygrały z ludźmi...

...w międzygatunkowym konkursie na wielkie zarcie na Coney Island w Nowym Jorku. Trzy cyrkowe słonie zeżarły w 6 minut 505 hot dogów, a trzyosobowa reprezentacja człowieka – zaledwie 143. Kapitan naszych tłumaczył, że byli niewystarczająco głodni i skoncentrowani.



The Pirate Bay



BIZNES

Co mówią liczby

1 dzień

ma prawo trwać oczekiwanie na przeniesienie numeru do innej sieci komórkowej – wynika z najnowszego rozporządzenia ministra infrastruktury, które obowiązuje od 5 lipca. W przypadku sieci stacjonarnej operacja ma trwać 7 dni. Dotychczas trwała około miesiąca. Usługa musi być też darmowa.

5,7 mld złotych

wydała w tym roku na budowę dróg Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad z zaplanowanych 32 miliardów złotych. To zaledwie 18 procent zrealizowanego budżetu. Zdaniem ekspertów w tym roku planu na pewno nie uda się wykonać.

Dziedziczenie

DZIADEK DOSTANIE SPADEK

MAJĄTEK ZMARŁEGO, KTÓRY NIE POZOSTAWI ani małżonka, ani dzieci czy wnuków, w pierwszej kolejności odziedziczą jego rodzice, a nie jak do tej pory rodzeństwo – wynika z nowelizacji prawa spadkowego, która właśnie weszła w życie. Prawo do dziedziczenia będą mieli także dziadkowie, jeśli nie będzie innych spadkobierców. Dotychczas w takich sytuacjach majątek przejmowała gmina. Nowe prawo nie obejmie toczących się dotąd spraw spadkowych – te będą rozpatrywane na starych zasadach.

– mil

Boski operator

KARKOSIK W RODZINIE Z RYDZYKIEM

11 LIPCA PODCZAS PIELGRZYMKI słuchaczy Radia Maryja do Częstochowy zadebiutuje telefonnia komórkowa w Rodzinie utworzona przez ojca Tadeusza Rydzika oraz firmę, którą kontroluje

Roman Karkosik. Ceny rozmów wewnątrz sieci są najniższe na rynku, póki nie dzwonimy do innych operatorów. W Rodzinie daje darmowe połączenia (na zawsze) z Telewizją

Trwam i Radiem Maryja. Pracownicy infolinii mają być przeszkoleni do rozmów z osobami, które nigdy nie miały w ręku komórki. W Częstochowie na pielgrzymów czekać będą też polowe oddziały SKOK Stefczyka. A gdzie czas na modlitwę?

– szczep

> **Oferty burzowo-ulewne.** Bank Inteligo, reklamując się hasłem: „Bądź szybszy od burzliwych skutków gwałtownej ulewy”, zaoferował polisę domu, która obowiązuje już dzień po wypełnieniu formularza online. Firma Kroll Ontrack daje zaś 50% zniżki na odzyskanie danych z zalanego w powodzi komputera.

MIKROPOŻYCZKI MILENA RACHID CHEHAB

Polska w Trzecim Świecie

Kraje rozwijające się potrzebują ryby, nie wędki. Jeśli więc nie chcesz tamtejszym przedsiębiorcom fundować paczek z żywnością, możesz udzielić im pożyczki

Chcesz pomóc mieszkańcom Trzeciego Świata, a masz poczucie, że nie wiesz, gdzie ostatecznie trafiają twoje pieniądze? Możesz udzielić pomocy bezpośredniej. Umożliwia to na przykład KIVA, amerykańska organizacja non profit. W ciągu czterech lat pomogła już stanąć na nogi prawie 200 tysiącom ludzi.

Jak to działa? Wchodzisz na Kiva.org i wybierasz w jednym z 48 krajów rozwijających się osobę, która próbuje rozwijać mały biznes. Dowiadujesz się, czym dotychczas się zajmowała, jak wygląda jej sytuacja rodzinna, jakie ma potrzeby finansowe.

Na przykład potrzebą Men Sopha z Kambodży jest kupno nowego motoroweru dla męża, który używa go jako taksówki i w ten sposób utrzymuje rodzinę. Dotąd zarabiał sześć dolarów dziennie, ale taksówka jest tak stara, że klienci nie chcą nią jeździć. Rodzina potrzebuje tysiąca dolarów. W ciągu dwóch dni zebrała już sto. Ma rok na spłatę. Rezyzy za nią kambodżańska organizacja pozarządowa.

Jaką mamy pewność, że pieniądze odzyskamy? – Selekcję przedsiębiorców i obsługę finansową przeprowadzają współpracujące z nami miejscowe organizacje mikropożyczkowe, a my dodatkowo kontrolujemy ich dzia-

łalność. 98,5 procent pożyczek jest oddawanych w terminie – mówi „Przekroju” Fiona Ramsey z Kiva.org. Organizacje mikropożyczkowe żyją z odsetek, które spłacają pożyczkobiorcy. To najwyżej 15 procent w skali roku, czyli niewiele, bo uzyskanie kredytu w kraju rozwijającym się jest dużo droższe niż w rozwiniętej części świata.

Na stronie Kiva.org zarejestrowanych jest już około trzech tysięcy przedsiębiorców, w tym kilkudziesięciu Polaków. Minimalna kwota udzielanej pożyczki to 25 dolarów. Możesz za-

płacić kartą kredytową lub przez system PayPal, który za tę transakcję nie pobierze prowizji. W ciągu roku pieniądze otrzymasz z powrotem, ale bez zysków. Możesz je zabrać lub przekazać innemu potrzebującemu.

Ideę mikrokredytów jako sposobu walki z nędzą stworzył i rozwinął bangladeski ekonomista Muhammad Yunus, który w 2006 roku dostał za to Pokojową Nagrodę Nobla. Kiva.org jest największą organizacją tego typu. 520 tysięcy internautów pożyczyciło tą drogą już ponad 80 milionów dolarów, obecnie

co 20 sekund ktoś udziela drobnej pożyczki małym przedsiębiorcom, zmieniając w ten sposób życie nie tylko ich i ich rodzin, ale nierzadko również całych społeczności.



W ciągu ostatniego roku liczba osób udzielających pożyczek przedsiębiorcom z krajów Trzeciego Świata wzrosła dwukrotnie. Do pożyczających dołączyli także Polacy

Cena minuty połączenia w ofertach pre-paid

POŁĄCZENIA WEWNĄTRZ SIECI:



POŁĄCZENIA NA STACJONARNE:



tu.biedronka

ŹRÓDŁO: PORÓWNYWARKA USŁUG TELEKOMUNIKACYJNYCH SKRZYDEŁKO.PL

Dziczyzna wróci na polskie stoły

MYŚLIWI WYPOWIADAJĄ WOJNĘ SKLEPOM

OD WRZEŚNIA MIĘSO SARNY CZY dzika kupimy dużo taniej, i to bezpośrednio od myśliwego.

Dotychczas myśliwi upolowaną zwierzynę mogli sprzedawać tylko do punktów skupu albo zatrzymać na własny użytek. Wykorzystywali to sprzedawcy, którzy promowali dziczyznę jako produkt ekskluzywny i sztucznie windowali jej ceny. Ceny w sklepach przekraczały kwoty oferowane myśliwym nawet

dziesięciokrotnie. Przykładowo za 50-kilogramowego dzika myśliwy dostawał 154 złote, podczas gdy w sieci Makro kosztował on ponad 1400 złotych (choć podzielony już na porcje).

Polski Związek Łowiecki chce w ten sposób doprowadzić do obniżenia cen mięsa na rynku i wskrzesić tradycję jedzenia dziczyzny. – Dzczyznę nie każdy musi lubić, ale każdy powinien móc jej spróbować. To w końcu

nasz produkt narodowy – przekonuje Bartłomiej Popczyk z PZŁ. We wrześniu przy siedziach kół łowieckich i leśnicówkach w całej Polsce ruszy około tysiąca punktów sprzedaży wyposażonych w chłdnie. Mięso będzie poddawane oględzinom przeszkolonego myśliwego, a w przypadku dzika – obowiązkowemu badaniu na włośnicę. Na razie dziki trzeba kupować w całości.

– aj



W przyszłości myśliwi będą sprzedawać dziczyznę w porcjach

REKLAMA

Ziołolecznictwo

OJCIEC KLIMUSZKO PRZEWRAÇA SIĘ W GROBIE

URZĄD OCHRONY KONKURENCJI I konsumentów nałożył karę na firmę El-dex-Medical, która produkuje ziołowe preparaty lecznicze pod marką Ziola Ojca Klimuszki. Konkretnie chodzi o pastylki i napary, które mają służyć odchudzaniu. Zdaniem UOKiK są one reklamowane za pomocą hasła, które konsumentów wprowadzają w błąd („maksymalna skuteczność”, „chudniesz w zgodzie z naturą bez żadnych skutków ubocznych ani efektu jo-jo”). Tymczasem po badaniach w Instytucie Żywności i Żywienia na zlecenie UOKiK okazało się, że nie ma żadnych gwarancji, że produkty faktycznie mają takie właściwości. Potwierdzić to (lub wykluczyć) mogą jedynie specjalistyczne badania kliniczne, których nigdy nie było. Dlatego producent ma zmienić reklamy, zapłacić 5,6 tysiąca złotych kary oraz wykupić w prasie ogłoszenie z przeprosinami.

Całą sprawę z zaświatów z pewnością przygląda się sam ojciec Czesław Klimuszko. Franciszkanin, słynny zielarz i domniemany jasnowidz zmarł w roku 1980.

– iggy



Ziola franciszkanina należało najpierw zbadać w Instytucie Żywności i Żywienia

5 TYGODNI TRWA WARZENIE PIWA, KTÓREGO UNIKALNY SMAK GORYCZKI CZUJESZ PRZESZ KRÓTKĄ CHWILĘ.

PO TAK BOGATYM PIERWSZYM WRAŻENIU SZUKAJ W PILSNERZE SŁODYCZY KARAMELU, SMAKU MIODU I ORZECHA. ONE NAPRAWDĘ TAM SĄ.

PRZECIEŻ SAMEJ GORYCZKI NIE WARZYLIBYŚMY AŻ 5 TYGODNI.



WYTRAWNY SMAK RODZI SIĘ Z CZASEM

WYDARZENIA Kraj

Przez Polskę prowadzą trzy międzynarodowe drogi wodne:

E-70 Z Antwerpii, przez Berlin, Wielką Pętlę Wielkopolską, do Bydgoszczy, Elbląga, aż do Kaliningradu i Kłajpedy.

E-40 Z Gdańska Wisłą do Bugu i dalej Dniestrem aż po Morze Czarne.

E-30 Ze Sztokholmu, przez Bałtyk, do Świnoujścia, a dalej Odrą do Ostrawy i dalej do Dunaju.

WIELKA PĘTLA WIELKOPOLSKA: prowadzi od Kostrzyna nad Odrą: **Wartą** – **Notecią** – **Kanałem Bydgoskim** – **Górnym Noteciem** – **jeziorem Gopło** – **Kanałem Ślesińskim** i dalej znów **Wartą**.

Kostrzyn nad Odrą – stąd możesz wypłynąć na Odrę do kanałów Odra–Szprewa (w lewo) i Odra–Hawela (w prawo). Oba zaprowadzą cię do Berlina.

Polska ma jedną z najdłuższych sieci rzecznych w Europie i wyjątkowo dużo atrakcji turystycznych położonych wzdłuż szlaków wodnych.

I co z tego, skoro te atuty nie są wykorzystywane?

Marzenie o rzekostradach

TURYSTYKA ŚRÓDLĄDOWA

KRZYSZTOF SZCZEPANIAK

Polacy nie wykorzystują rzek nie tylko turystycznie, ale także do przewozu towarów. Choć z badań wynika, że spalając litr paliwa, barkę przewieziemy na dystansie kilometra 127 ton ładunków, koleją 97, a tirem jedynie 50.



Gorzów – stąd popłyniesz „Kuną”, najstarszym rzeczonym łodziem na świecie. W 1981 roku statek zatonił w bażenie portowym Gorzowa, a po 20 latach został wydobyty i odrestaurowany. Dziś ma już 125 lat. Więcej: kuna.gorzow.pl

Wieleń – tu szlak spotyka się z międzynarodową trasą rowerową z Boulogne we Francji do Moskwy. Niestety, inaczej niż na Zachodzie, gdzie wypożyczalnie rowerów wzdłuż rzek to norma, tu wypożyczonego jednoślada nie oddasz na przykład w Bydgoszczy.

Czarnków – mały zabytkowy browar w budynku z 1893 roku założony przez niemiecką rodzinę piwowarów. Dziś to jedyny w Polsce browar państwowy.

Nakło nad Notecią – stąd w rejsy po Noteci wyrusza „Władysław Łokietek”, statek, na którym często spotykają się politycy i ludzie show-biznesu, zdarzają się też śluby. Więcej: www.zszzstatek.neostrada.pl

Osiek – skansen, w którym obejrzysz XVIII- i XIX-wieczne chałupy, zagrody, wiatraki, budynki gospodarcze, a także dawną wiejską szkołę.

Krostkowo – jedyna w Europie sprawna służa o ziemnych (a nie betonowych) nabrzeżach.

Drawa – można znaleźć kilkanaście bindug, czyli miejsc nad rzeką służących niegdyś flisakom do przygotowania drewna do spławu. Dziś to idealne miejsce na rozbiście namiotów.

Puszczykowo – muzeum Arkadego Fiedlera, które prowadzi synowie podróżnika.

Rogalin – zobaczysz dęby, których wiek przekracza 600 lat, a obwód pnia 10 metrów.

Śrem – dawnym holownikiem „Bajka” możesz popłynąć do największego w Europie centrum nauki jazdy konnej w Jaszowie. www.spbajka-srem.cop.pl

Żerkowsko-Czeszewski Park Krajobrazowy – spotkasz tu rzadkie gatunki ptaków, takie jak: krogulce, myszolowy, jastrzębie, czarne bociany, żurawie i czaple siwe.

Wrocław – nie ma w Polsce drugiego tak dużego miasta, które prowadzi regularne rejsy dużymi statkami pasażerskimi.

W powstałej dwa lata temu marinie **Port Uraz** nad Odrą odbywają się koncerty szantowe. Stworzono tu też dużą wypożyczalnię sprzętu wodniackiego.

Gdańsk

Żuławy – tylko tu zobaczysz krowę brodzącą w wodzie i żującą wodorosty. Przepłyniesz też ulicówką, czyli rzeką płynącą przez centrum wsi w miejscu dawnej głównej drogi.

Bydgoszcz – pierwsza w Europie trasa regularnej żeglugi śródlądowej obsługiwana przez statek napędzany energią słoneczną.

Toruń – niewiele jest w Polsce takich miejsc jak bulwar Filadelfijski. To długi trakt spacerowy nieoddzielony od rzeki ulicą. W przyszłości po drugiej stronie Wisły ma powstać port z mariną.

Kruszwica – podczas rejsu „Rusalka” wyruszającą spod Mysiej Wieży przeżyjesz służowanie, podczas którego statek podniesie się o cztery metry. Popłyniesz nim po historycznym jeziorze Gopło.

Nadwarciański Park Krajobrazowy – łęgi wierzbowe i towarzyszące im zarośla wiklinowe – ten rodzaj lasów należy do najrzadziej spotykanych w Europie. Możesz tu też dostrzec, jak kąpią się białe gęsi, a wydry łapią ryby.

Ślesin – tu popatrzyś z rzeki na największy w Polsce kościół – bazylikę w Licheniu. W restauracji zjesz miejscowy pyrczek, czyli babkę ziemniaczaną z boczkiem, cebulą i kielbasą.

Łódź – jedna z największych marin w Polsce. Jest tu nawet boisko do gry w boule i tor łuczniczy. Na umocnienie jej brzegów zużyto 800 ton kamieni.

Kraków – tramwajem wodnym popłyniesz z centrum miasta do opactwa w Tyńcu. Rejs prowadzi ładną widokowo trasą biegnącą obryzkiem Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Można też wybrać się bocznokółowcem (trochę takim jak na rzecze Missisipi) w godzinny rejs po Wiśle (www.statek-krakow.pl).

Tczew – niedawna rewitalizacja nabrzeża Wisły sprawiła, że tutejszy bulwar stał się jednym z najlepiej zagospodarowanych miejsc w Polsce. Z punktu widokowego rozciąga się piękna panorama Żuław.

Narwiański Park Narodowy nazywany polską Amazonią słynie z licznych bagien i rozlewisk, po których możesz pływać łodzią pływającą.

Park Nadbużański – największy w Polsce park krajobrazowy.

Drohiczyn – do dawnej stolicy Podlasia przyjeżdża się dla wąskich uliczek, zabytkowych kościołów i jednej cerkwi. Z przystani można wybrać się na wycieczkę po Bugu stateczkiem „Drohiczyn”.

Mielnik – wypożyczysz tu rower, którym będziesz mógł zwiedzić jedyną czynną w Polsce odkrywkową kopalnię kredy. I pojechać szlakiem tworzących linię fortyfikacji radzieckich z 1940 roku (tak zwaną linią Mołotowa). Malowniczo położona miejscowość na wysokiej skarpie.

Park Krajobrazowy „Podlaski Przełom Bugu” – spotkasz tu rzadkie gatunki roślin ciepłolubnych, takich jak goryczka krzyżowa czy wężymord stepowy, oraz dziko żyjące łosie, jelenie szlachetne, lisy i czarne bociany.

Kazimierz Dolny – Pływa tu kilka statków, w planach są rejsy do Puław, a być może nawet do Warszawy i Sandomierza.

Biebrzański Park Narodowy – między ścianami trzcin możesz płynąć nawet kilka godzin, obserwując dzikie zwierzęta. Przepisy zabraniają używania silników spalinowych, ale przecież mogłyby pływać tędy statki zasilane energią słoneczną.

Janów Podlaski – najstarsza w Polsce stadnina koni arabskich.

Przy opracowywaniu mapy korzystałem z książki „Wielka Pętla Wielkopolska” Mirosława Słowińskiego i Grzegorza Nadolnego.

Plan był ambitny. Niemiecki właściciel statku wycieczkowego „Frederic Chopin” uruchomił rejsy po najdłuższej dzikiej rzece w Europie, czyli po Wiśle, z Gdańska do Warszawy. „Frykowi” kilka razy udało się dopłynąć do stolicy, częściej jednak – w obawie przed mieliznami – stał w porcie i czekał na wyższą wodę. – Raz nawet pasażerów, gości z zagranicy, musieliśmy wysadzić w Toruniu i autokarem transportować do Warszawy – wspomina Darek Stankiewicz, właściciel firmy Baltic Gateway, polskiego agenta niemieckiego armatora. Choć ceny rejsów zaczęły się od 900 euro, zainteresowanie było duże. Ale to było pięć lat temu. Dziś „Chopin” pływa z czeskiej Pragi do niemieckiego Poczdamu.

Dla niemieckiego wycieczkowca o ponadmetrowym zanurzeniu Wisła była za płytka. I statek już u nas nie pływa

Rzeki kopalnią pieniędzy

Fatalny stan techniczny naszych rzek to główna przyczyna braku ofert turystycznych, które łączyłyby zwiedzanie miast, podziwianie przyrody i rejs statkiem wraz z noclegami, co jest o tyle praktyczne, że nie zmusza turystów do codziennego pakowania się. Po największych polskich rzekach statki właściwie nie płyną. A nawet jeśli, to zwykle są to prywatne inicjatywy fascynatów wodniactwa, rejsy nieregularne, kilugodzinne i niewielkimi jednostkami.

Nie ma co marzyć o ofercie dużych statków wycieczkowych, znanych z Dunaju czy Renu, którymi podczas dwutygodniowej wyprawy można by zwiedzić Gdańsk, Żuławy, Warszawę, zatrzymując się na obserwację chronionych rycyków na wyspach w okolicach Dębina i kończąc wyprawę w Krakowie lub Oświęcimiu. – Szkoda, bo rzeki mogłyby stać się dla Polski kopalnią pieniędzy – podkreśla Darek Stankiewicz.

Polska zajmuje piąte miejsce w Europie pod względem długości rzek. Unia Europejska, aby połączyć najważniejsze porty Starego Kontynentu, wytyczyła przez nasz kraj trzy międzynarodowe drogi wodne. Gdyby udało się nam je udrożnić (budowa zapór, śluz, umocnienie nabrzeży, oczyszczenie koryt rzecznych), moglibyśmy z Polski dopłynąć do Amsterdamu, Paryża, Berlina, a także na Ukrainę i do Czech. I dalej do Morza Czarnego. Ale nie popłyniemy. I w najbliższym czasie nic się nie zmieni.

Gospodarza pilnie zatrudnić

Po pierwsze, w Polsce mamy zbyt dużo decydentów, którzy czują się odpowiedzialni za gospodarkę wodną. Przy czym nikt z nich nie czuje się upoważniony, by myśleć o rzekach jako o całości i jak o terenie, który należy zagospodarować. Trudno na-

wet powiedzieć, ile ministerstw zajmuje się rzekami. Wiadomo na pewno, że poziom wód jest nadzorowany przez

Ministerstwo Środowiska, przyznawanie patentów żeglarskich to zadanie Ministerstwa Infrastruktury, rozwojem oferty turystycznej zajmuje się Ministerstwo Sportu, a kontrolowaniem kanałów melioracyjnych – Ministerstwo Rolnictwa. Do tego dochodzą kwestie nadzoru nad śluzami, który sprawuje Instytut Meteorologii, ale w przypadku śluz zabytkowych (dużo ich) także Ministerstwo Kultury.

Ministerstwa pilnują, by nie wchodzić sobie w drogę. Dlatego trudno się dziwić, że od dziesiątek lat przeróżni ministrowie zajmują się ciągle tylko pisaniami planów.

Ale na przykład w zeszłym roku powstała strategia, która obowiązywać ma do roku 2030. Przygotował ją Krajowy Zarząd Gospodarki Wodnej, czyli organ zajmujący się stanem torów wodnych w Polsce. – W przeciwnieństwie jednak do tytułu strategii, która mówi o „planie gospodarowania wodami”, to głównie plan oczyszczania rzek. O transporcie wodnym jest tu zaledwie parę akapitów – ocenia Zbigniew Garbień, prezes Związku Armatorów Żeglugi Śródlądowej. Zrzesza on 67 prywatnych polskich przewoźników towarowych, którzy z braku pracy w Polsce przenieśli swoje barki do Holandii czy Niemiec. – Czemu tu się jednak dziwić, skoro

PLANY RZECZNE

Projekty, które mają być zrealizowane w ciągu najbliższych 10 lat:

- Stworzenie sieci marin i przystani na Żuławach oraz Noteci.
- Wybudowanie nowoczesnych miejskich nabrzeży i bulwarów w Warszawie, Krakowie, Opolu.
- Pogłębienie Wisły, Noteci i Odry od Brzegu Dolnego do dół rzeki. Wybudowanie zapory w Niepołomicach i zbiornika retencyjnego w Raciborzu.

Krajowy Zarząd Gospodarki Wodnej podlega Ministerstwu Środowiska, a jemu nie zależy, aby pozyskiwać większe pieniądze na rozwój transportu rzeczno. Najlepiej, gdyby polskie rzeki były jednym wielkim rezerwatem przyrody – dodaje Zbigniew Garbień. Dlatego wielu specjalistów podkreśla, że KZGW powinno być instytucją niezależną i samodzielną, natomiast Ministerstwo Środowiska powinno jedynie kontrolować, czy rzeki są użytkowane zgodnie z przepisami ochrony środowiska.

Z Wiejskiej bliżej do premiera

Brak gospodarza to zwykle kłopot większy niż brak pieniędzy. Skoro więc rząd przez ostatnich 20 lat nie był w stanie przedstawić całościowego planu zagospodarowania polskich rzek, w którym oszacowano by realne zyski z inwestycji, trudno się dziwić, że rzeki są pierwszą pozycją, którą premierzy odkładają na ostatnią półkę.

Problem dobrze widać na przykładzie planu rewitalizacji szlaku wodnego E-70 (patrz mapa), dzięki któremu Odrę można połączyć z Wisłą, co ma umożliwić przepływanie dużymi jachtami i małymi stateczkami pasażerskimi z Berlina, przez Bydgoszcz, do Gdańska.

O pomyśle mówiło się od lat, dopiero jednak przygotowanie go w formie „wieloletniego planu” (czyli należącego do kluczowych projektów wymagających nadzoru premiera) dało szansę na realizację. Ale tylko szansę, bo w podobnym czasie marszałkowie sześciu województw położonych wzdłuż szlaku E-70 postanowili wyłożyć na podobny projekt pieniądze z własnych budżetów. – Czekamy teraz na wynik ich pracy, by nie stało się tak, że publiczne pieniądze pójdą dwa razy na to samo – tłumaczy Piotr Głowski, senator PO, szef zespołu parlamentarnego do spraw dróg wodnych i turystyki wodnej.

To właśnie w jego zespole, istniejącym od ponad roku i składającym się głównie z zapalonych wodniaków, powstał wieloletni plan rewitalizacji drogi E-70. Czyżby na neutralnym gruncie pracowa-

ło się lepiej? – Może trochę tak, bo zajmujemy się wybranymi tematami z wielu zadań, którymi obciążone są ministerstwa – przyznaje Głowski.

Kiedy szlakiem Odra-Wisła będzie można pływać bez oglądania się na pogodę i mielizny? Jeśli w tym roku plan udałoby się przyjąć, kanał pogłębiany byłby w przyszłym, całość prac trwałaby 10 lat. Dlaczego aż tyle? Bo w zwrot pieniędzy z inwestowania w rzeki nie wierzy rząd. Choć nie są to duże pieniądze. Potrzeba około miliarda złotych, czyli mniej niż na budowę kilometra drugiej linii metra w Warszawie.

Funduszy na rzeki jest rzeczywiście mało. Na przykład jeden z gdańskich specjalistów wyliczył, że przywrócenie żeglowności Wisły między Włocławkiem a Gdańskiem przy obecnych dostępnych środkach z budżetu państwa zajęłoby 130 lat.

Kibole nie będą czekać do zimy

Odsuwanie inwestycji rzecznych w bliżej nieokreśloną przyszłość widać dobrze na przykładzie niedawnej decyzji Polskiej Organizacji Turystycznej, która przyznawała dotacje na projekty zwiększające atrakcyjność Polski w kontekście Euro 2012. Wniosek budowy szlaków narciarskich w Szczyrk, choć odrzucono, uznano za pilniejszy niż projekty wielu szlaków wodnych. – Niezależnie od tego, jak kibole zachlają, przekonywałem, że zapewne nie zostaną po mistrzostwach aż do zimy – mówi Mirosław Czerny, dyrektor do spraw programowych Centrum Turystyki Wodnej PTTK, który wspierał przygotowujących rzeczne wnioski.

Przeszkodą w sprawnym poprawianiu żeglowności rzek jest również brak porozumienia w środowisku wodniackim. Wodniacy transportowcy (ci od barek) domagają się na przykład udrożniania tras przynajmniej do 1,8 metra głębokości (to poziom umożliwiający pływanie jednostką o tonażu 500 ton), a żeglarze w tych staraniach ich nie wspierają, choć takie pogłębianie przyrodzie nie szkodzi. – Ci kochani żeglarze często potem proszą kapitanów naszych statków o wypchnięcie ich z mielizny – wypomina Zbigniew Garbień.

Między wodniaków miesza się ekolodzy, którzy zarzucają transportowcom, że regulując rzeki, chcą je zabetonować. Zbigniew Garbień odpowiada: – Nikt z nas o tym nie mówi, chodzi o umocnienie kanałów na przykład narzutami kamiennymi, tak by umocnienia brzegowe zapobiegały nanoszeniu namulów w dół rzeki i zapobiegały rozlewaniu się rzeki coraz szerzej.

Transportowcy zaś nie rozumieją, że pewne szlaki wodne warto zostawić wyłącznie przyrodnikom.

Dziś polskimi rzekami transportowanych jest zaledwie 0,6 procent towarów, podczas gdy w Belgii 11 procent, a we Francji – 15 procent. – Żegluga transportowa mogłaby być przecież siłą napędową żeglugi turystycznej – tłumaczy Zbigniew Garbień. W Polsce przy dość krótkim lecie nie opłaca się utrzymywać dla turystów przystani, marin czy budować hoteli z restauracjami na nabrzeżach. Co innego, gdyby urządzenia te mogły służyć też wodnym transportowcom. Dziś barki ze Śląska do Berlina lub Szczecina płyną bardzo rzadko i tylko z lekkimi ładunkami. Na transport węgla czy granitu Odra jest już za płytka.

– Sytuacja na polskich rzekach nie jest dobra, ale nie można powiedzieć, że nie dzieje się na nich nic – mówi Mirosław Czerny.

W Toruniu ma powstać port schodkowy, w którym pojawiłyby się nabrzeża o różnej wysokości, by statki mogły cumować przy różnych poziomach Wisły. W Tczewie ma zostać wybudowana marina z aquaparkiem i pierwszym w Polsce nabrzeżem dla barek mieszkalnych, z możliwością podłączenia do nich sieci kanalizacyjnej. Obok Krakowa ma stanąć zaporą w Niepołomicach, by łódki płynące do dawnej stolicy Polski nie musiały kończyć biegu w Nowej Hucie (Wi-

śła jest tu tak płytka, że nawet kajakiem można zahaczać o kamienie). W wielu miejscach w Polsce mają się też pojawić stateczki pasażerskie, na przykład z Krakowa do Oświęcimia czy z Warszawy do Kazimierza. Ważne, by plany dotyczyły także usuwania mielizn, bo w przeciwnym razie zakupione – często z dotacji unijnych – statki zostaną w portach.

Na szczęście są to zwykłe inicjatywy publiczne, gdyż na przystaniach przekazywanych w prywatne ręce „obcy” wodniacy są źle widziani (w Danii na przykład przystanie buduje się z publicznych pieniędzy, a firmy nimi zarządzające mają obowiązek udostępniać je wszystkim).

Z niektórymi tego typu nowościami naszym władzom trudno się czasem oswoić. – Gdy któregoś razu przypłynąłem do przystani na Noteci w Santoku, zbudowanej z unijnych pieniędzy, zauważyłem, że przy nowych sanitariatach zabrakło karteczki, do kogo zadzwonić, by ktoś mi je otworzył. Okazało się, że po klucz trzeba było pójść do sekretariatu wójta w urzędzie gminy – opowiada Mirosław Czerny.

Na dziko, ale skutecznie

Niechęć władz do dotowania rzek martwi, bo zainteresowanie żegluga śródlądową jest coraz większe. Na przykład w Warszawie bilety na rejsy nad Zalew Zegrzyński wyczerpują się tydzień przed rozpoczęciem wycieczki. Oby nie stało się tak, że zaczniemy nasze rzeki udrożniać na dziko. Jak próbował to robić pewien przedsiębiorca, który 10 lat temu postanowił sprowadzić do Polski tanie barki z Ukrainy.

Ponieważ Bugiem koło miejscowości Muchawiec nie dało się przepłynąć, wynajął koparkę i przekopał kilkaset metrów kanału. Przepłynął, po czym cały wykopany kanał – bo było to jednak nielegalne – kazał z powrotem zasypać. □



BARKI RZEKI OŻYWIĄ

NA ZACHODZIE Europy pływani na barkach mieszkalnych (ang. houseboat) to moda. W Polsce jeszcze nie, ale Ministerstwo Infrastruktury chce zlikwidować patent żeglarski na jednostki motorowe o długości do 13 metrów, pływające

maksymalnie 15 kilometrów na godzinę. Barki mieszkalne spełniają te normy. Politycy chcą, by w Polsce pojawiły się zachodnie firmy, które wypożyczałyby barki na przykład w Bydgoszczy i odbierały od turystów

w Gorzowie. Kilkudziesięciu posiadaczy barek w Polsce głównie w nichi mieszka, bo pływanie z powodu płycizn to ryzyko. Największy ich problem to jednak brak możliwości zameldowania się. Niestety, jeśli mieszkańcy barek nie są zameldowani na przykład

u rodziny, z punktu widzenia prawa są bezdomni, bo nie mieszkają przy konkretnej ulicy, a ich dom nie ma nadanego numeru. W praktyce na barce może mieszkać tylko osoba zatrudniona na umowę o pracę, bo barka jest miejscem jej pracy. – mil, szczep



Czy nad brzegami rzek większości miast w Polsce zacznie tętnić życie? Czy warszawiacy przejdą się atrakcyjnym bulwarem wzdłuż Wisły, a poznaniacy popłyną Wartą wycieczkowym statkiem? Między innymi o tym 9.07 w „Zapraszamy do Trójki” od 16 do 19. Zaprasza Michał Olszański



Trzeźwy jak Zakopane

Zakopane będzie pierwszym kurortem na świecie, który w imię trzeźwości narodu zakreśli turystom kurki z alkoholem

Pierwszą jaskółką zwiastującą nadejście prohibicji było oświadczenie redaktora naczelnego Radia Alex Piotra Sambora. Stwierdził on, że „od czasu, gdy Podhale odwiedził Ojciec Święty, jest wiele sił, które chcą rozpić naród pod Giewontem”. – Mamy do czynienia ze świadomym działaniem wielu ludzi, którym zależy, by alkohol lał się w górach strumieniami – wyjaśnia Sambor „Przekrojowi”. – A łamaniu prawa towarzyszy bierność lub obojętność prokuratury, sądów i policji. Ja obojętny być nie mogę. Tym bardziej że w Zakopanem alkohol płynie dziś rzeką. Czy pani wie, że sprzedaje się go tu więcej niż we Wrocławiu?!

Naród miewa się kiepsko

Sambor, znany z przedrzeźniania na antenie Adama Michnika oraz innych „bezbożników”, wystąpił ze swoim oświadczeniem dwa lata temu.

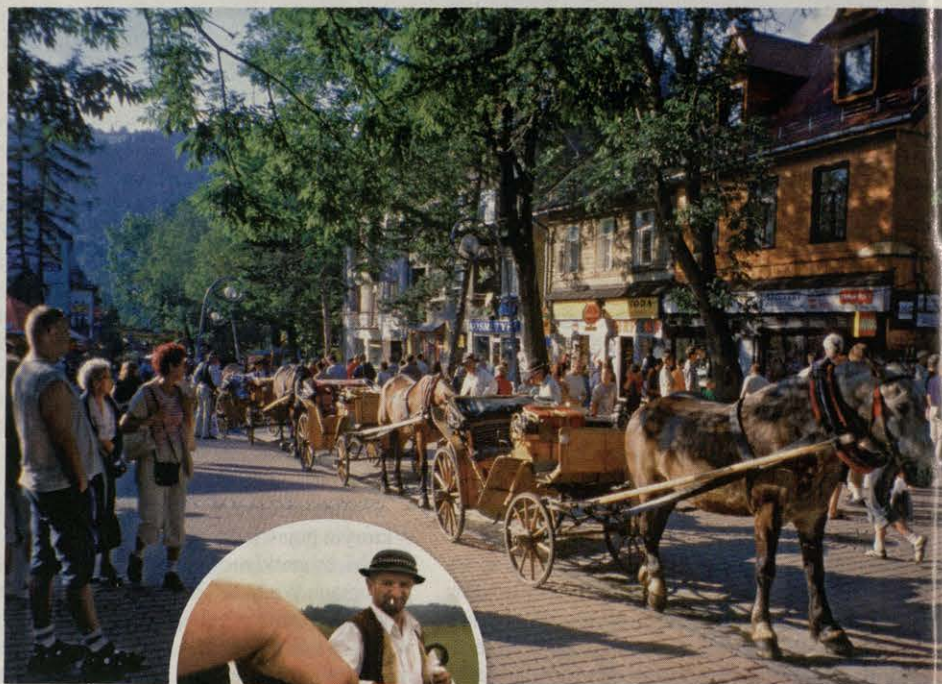
W tym samym czasie zakopiański radny Józef Figiel (PiS) dowiedział się, że holenderska telewizja sfilmowała tuż przy zatłoczonym rondzie przy wjeździe do Zakopanego dwóch panów o zdecydowanie ogorzalych twarzach raczących się w pozycji horyzontalnej wysokoprocentowym trunkiem. – Wstyd i hańba – mówi poirytowany Figiel.

Przyznaje, że do końca nie wiadomo, czy byli to górale, czy cepry. Cokolwiek by powiedzieć, w Zakopanem ani jedni, ani drudzy nie wylewają za kołnierz. – O czym zawsze, jak w przypadku sylwestrowej bójki pod Gubałówką, dowiaduje się cała Polska, a czasem nawet cała Europa – śmieje się Janusz Majcher, burmistrz miasta, były zakopiański restaurator.

Są na świecie ważniejsze sprawy niż lokalne interesy – stwierdził Józef Figiel. Dla radnego, który jest też kościelnym w jednej z podhalańskich parafii, sprawą najważniejszą jest naród (rzecz jasna, polski), który od dłuższego czasu miewa się kiepsko. – Rozpijali nas i wciąż rozpijają – wyjaśnia rzeczowo radny. – Najpierw Sasi, potem zaborcy, a od zawsze Żydzi budujący karczmy obok kościołów.

Józef Figiel przypomina tym, którzy nie wiedzą, że przed wojną, gdy naród (w tym naród góralski) z kościoła wychodził, to Żyd mu się w pas kłaniał, a potem zapraszał do wyszynku. A góral, naiwny, korzystał.

Być może skutek takiej właśnie działalności wrogów narodu w narodzie góralskim ukuło się



Zabudowa w mieście jest tak ciasna, a kościołów i szkół tak dużo, że niemal każdemu można zabronić prowadzenia wyszynku

rymowane powiedzonko: „Chwała Panu Bogu, Panu Bogu chwała, że się kościół spalił, a karcma została”.

Znienacka za blisko

Co prawda, to prawda. Nie tylko w polskich górach wyszynki przed wojną prowadzili przede wszystkim karczmarze wyznania mojżeszowego. Z małymi jednak wyjątkami. Taką na przykład restaurację, w której jadła i piła niejedna bohema, założył w 1907 roku lwowski restaurator, który ożenił się z wnuczką Józefa Krzeptowskiego, brata Sababy. A za chwilę U Wnuka ani bohema, ani lud prosty się nie pojawia, bo z szuflady karczmy zniknie koncesja na sprzedaż alkoholu.

Właścicielka knajpy U Wnuka, jak wielu innych restauratorów, kilka miesięcy temu dowiedziała się, że w Zakopanem nie można już podawać alkoholu w wyszynkach znaj-

dujących się bliżej niż sto metrów od szkół, internatów, przedszkoli oraz świetlic i schronisk młodzieżowych. A także od noclegowni dla bezdomnych i kościołów. U Wnuka nie będzie można, bo jest stamtąd mniej niż sto metrów do przedszkola (otwartego oczywiście później niż słynna knajpa). Z kolei Gazdowa Kuźnia nieoczekiwanie znalazła się za blisko kościoła.

Wszystko to skrupulatnie wymierzili miejscy urzędnicy. – Musieliśmy – wzdycha burmistrz Majcher. – Takich mamy radnych. Kiedy próbowałem złagodzić dotychczasową, i tak najbardziej w Polsce rygorystyczną, uchwałę dotyczącą odległości lokali od miejsc publicznych, na złość mnie i całemu miastu radni jeszcze zaostrzyli przepisy [pozwała im na to ustawa o wychowaniu w trzeźwości – przyp. red.]. Tym samym staniemy się wkrótce pierwszym w Europie kurortem z prohibicją*.

W jaki sposób przepisy zostały zaostrzone? – Dotychczas obowiązywała zasada, że odległość od knajpy

do kościoła mierzyliśmy od drzwi do drzwi. Po zmianach na przełomie tego roku mierzymy od granicy posesji do granicy posesji – wyjaśnia z dumą w głosie radny Figiel. – Zwiększyliśmy tym samym obszar chroniony od pijaństwa.

Trudno będzie teraz prowadzić wyszynk zgodnie z przepisami – w Zakopanem wydanych jest 300 koncesji na sprzedaż alkoholu, a zabudowa jest bardzo ciasna: kościołów, szkół i podobnych placówek stoi tam bez liku. Także przy słynnych Krupówkach, gdzie w jednym z lokali nad barem wisi napis: „Wielgie brzuchy macie, piwo wypijcie, już się zatacacie”. Najpewniej niedługo zniknie, bo jaki sens ma wywieszanie głupawych wierszyków o piwie do ceprów, gdy nie będzie już ani piwa, ani – zapewne – wielu ceprów?

Jestem strzępkim nerwów

Zakopiańska wojna o trzeźwość narodu rozpoczęła się w ubiegłym roku. Wkrótce po tym, jak miejscowy urząd miasta zaczęły zalewać pierwsze donosy. O tym, że zakopiańscy restauratorzy, jak też właściciele sklepów monopolowych nagminnie łamią lokalne prawo.

Z kolei donosy informujące, że nieprzestrzegana jest ustawa o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi, zalały prokuraturę, sądy i policję w Zakopanem.

Autorem okazał się, ku zdumieniu większości Podhalań, Piotr Sambor, wtedy już były właściciel Radia Alex (bo sprzedał udziały), ale wciąż jego redaktor naczelny. Jeszcze wcześniej był aktorem znanego zakopiańskiego teatru imienia Witkacego.

Koncesje na alkohol

przyznaje się zwykle na pięć lat. Wielu zakopiańskim restauracjom, które mieszczą się w zakazanej odległości na przykład od obiektów sakralnych lub placówek oświatowych, wygasną one w ciągu najbliższego roku lub dwóch lat. Na ich przedłużenie ze względu na nowe przepisy liczyć nie mogą

To Sambor sprawił, że o zakopiańskich restauratorach zrobiło się głośno, to po jego donosach urzędnicy obudzili się z wieloletniego letargu. Wycieczki do knajp w poszukiwaniu błędów i wypaczeń rozpoczęła gminna komisja antyalkoholowa, a zakopiańscy rajcy, w tym radny Figiel, poculi, że w swojej walce z pijaństwem mają nowe wsparcie.

Jestem strzępkim nerwów, bo grozi mi potężna kara finansowa i pięcioletni wpis do rejestru skazanych – żali się teraz właściciel jednego z lokali na Krupówkach. Jego zdaniem, choć czasem prawo jest po stronie Sambora, to na pewno nie stoi za nim przyzwyczajenie.

Podobnie myśli wielu innych górali. Nie tylko ci, którzy prowadzą knajpy i do których od miesięcy często, jak nigdy wcześniej, zaglądają policjanci i urzędnicy, by kontrolować oraz mierzyć.

Gdyby ktoś rozsypał worek z nieprzychylnymi przymiotnikami pod adresem tego pana, jakie w ciągu ostatnich miesięcy usłyszałam, to zakryłyby pewnie Giewont – mówi Maria Gruszka, znana działaczka społeczna z Zakopanego. – My po prostu nie lubimy skrajności.

A Sambor znany jest ze skrajności. Na przykład z suto zakrapianych imprez dla

załogi Radia Alex, z biegania po rozgłośni z szablą w ręku, z ekscentrycznych wystąpień na swojej antenie, w której wiadomości z „Naszego Dziennika” przetykane były góralskim disco polo. – Praca w Radiu Alex nie przynosiła nam zaszczytu – przyznaje jeden z byłych dziennikarzy stacji. – Górale po prostu go nie słuchają albo słuchają po to, by pękać ze śmiechu.

Trzy prawdy i hipokryzja

Jesienią ubiegłego roku Piotr Sambor wystąpił w programie Jana Pospieszalskiego „Warto rozmawiać” poświęconym problemom coraz bardziej rozpitej polskiej młodzieży. Górale ze zdumienia przecierali oczy, bo wcześniej Sambor miał być znany z tego, że za kołnierz nie wylewał.

Problem w tym, że – jak zapewnił mnie fiaker z Krupówek – w górach rozróżnia się trzy prawdy: prawda, tyż prawda i gówno prawda.



Redaktor naczelny Radia Alex Piotr Sambor chce zatrzymać rzekę alkoholu, która płynie przez Zakopane

Niestety, jest jeszcze hipokryzja. A ta w Zakopanem dobrze się mieści – dodaje ze smutkiem burmistrz Janusz Majcher. – Ci, którzy głosowali za uchwałą prowadzącą do upadku polskiego kurortu, w Popradzie, słowackim kurorcie, pili słowackie piwo na schodach słowackiego kościoła. Widziałem to na własne oczy.

Ja na własne oczy widziałam strach w oczach zakopiańskich restauratorów. Co zrobią turyści przyzwyczajeni do zabaw pod Giewontem? Niewykluczone, że na wzór zakopiańskich radnych wybiorą knajpy nie w Zakopanem, ale w Popradzie.

REKLAMA

Cypr zaprasza całą rodzinę

Zosia Klepacka
Mistrzyni Świata Windsurfingu

Wyspa na cały rok



love Cyprus



PRZESTĘPCZOŚĆ SYLWIA PIECHOWSKA

KOBIETOBÓJSTWO

Porywane, torturowane, gwałcone i wreszcie wyrzucane na ulice jak śmieci. Tak giną każdego roku setki kobiet w Meksyku, Gwatemali, Hondurasie i Salwadorze. Dewiacja? Raczej lokalna kultura. Pewnie właśnie nadchodzi jej zmierzch, bo zajął się nią Międzyamerykański Trybunał Praw Człowieka

Meksykańskie Ciudad Juárez – jedno z najbardziej niebezpiecznych miejsc dla kobiet. Różowe krzyże stoją w miejscu, gdzie odnaleziono ciała kilku dziewczyn. **Wszystkie nosiły ślady tortur.** Obok: 22-letnia prostytutka uduszona w miejscowym hotelu Royal oraz matka jednej z zamordowanych domagająca się osądzenia sprawców



Feminicidio to morderstwo kobiety ze względu na pogardę i nienawiść wobec jej płci. Czyli kobietobójstwo. Ofiary nie giną tak po prostu – najpierw muszą sporo się nacierpieć. *Feminicidio* dotyczy zwykle kobiet biednych, z niskich klas społecznych, których rodziny nie mają ani pieniędzy, ani koneksji, by walczyć z systemem. A trzeba z nim walczyć, bo on stoi wyraźnie po stronie winowajcy. Sprawcy niemal zawsze pozostają bezkarni. W zeszłym roku w Meksyku zamordowano ponad 600 kobiet, w Gwatemali – 841, w Hondurasie – 186 i w Salwadorze – 348 (te statystyki obejmują wyłącznie przypadki okrutnych mordów). Rządy tych państw zaprzęcały do tej pory, że chodzi o jakiś szczególny rodzaj przestępstwa. Dla nich była to zwykła przemoc domowa, przyłanie prostytutki czy zabójstwo, o które ofiara sama się prosiła. Teraz, gdy przypadki *feminicidio* zainteresowały Międzyamerykański Trybunał Praw Człowieka w Chile, będą musiały zmienić swoją retorykę.

Ciad Juárez, ponadpółtoramilionowe miasto przy granicy z USA. Bieda, bezrobocie. Starcia wojska z gangami narkotykowymi oraz porachunki między gangsterami pochłaniają co roku setki ofiar. Porwania dla okupu, wymuszenia, kradzieże i zabójstwa są tu na porządku dziennym. – Ten, kto nie czuje strachu w Ciudad Juárez, nie ma wyobraźni – mówi „Przekrojowi” Emilio →



→ Ginés, hiszpański adwokat, członek Europejskiego Komitetu Zapobiegania Torturom.

Ginés zna się na rzeczy. Był doradcą w procesie przed Międzyamerykańskim Trybunałem Praw Człowieka, który odbył się w kwietniu w Santiago de Chile. Oskarżenie wystąpiło przeciwko władzom państwa Meksyk w sprawie znanej jako Campo Algodonero (dawne pole bawełny na terenie Juárez). W 2001 roku znaleziono tam ciała ośmiu zmasakrowanych kobiet. Śledztwo utknęło w miejscu i w kwietniu tego roku matki trzech ofiar (przez opieszałość władz pięciu ciał nie udało się na czas zidentyfikować) zdecydowały się poszukać sprawiedliwości w trybunale.

– W Ciudad Juárez zobaczyłem całkowitą bezsilność ofiar. Nie ma tam prawników, którzy by im pomagali – opowiada Ginés. – Boją się. W ostatnich latach kilku adwokatów zostało zamordowanych, w tym dwóch prowadzących sprawę Campo Algodonero. Doszło do tego, że nikt w stanie Chihuahua (gdzie znajduje się Ciudad Juárez) nie chciał się zająć poszkodowanymi.

Zdecydowali się na to dopiero prawnicy z Mexico City Karla Michele Salas i David Peña. Podobnie jak Emilio Ginés porusza-

Powyżej: Mieszkanka Ciudad Juárez na przystanku autobusowym. Gdyby została teraz zaatakowana, większość lokalnych policjantów zapewne uznałaby, że **sama się o to prosiła**. To powszechna postawa władz w Meksyku. Dlatego ci, którzy szukają sprawiedliwości (obok), zazwyczaj słyszą, że **nic się nie da zrobić**



ją się po Ciudad Juárez tylko pod specjalną ochroną. Przed trybunałem zażądali rzetelnego śledztwa w sprawie Campo Algodonero (do tej pory nie znaleziono winnych), usunięcia funkcjonariuszy odpowiedzialnych za zaniedbania, zadośćuczynienia ofiarom, szacunku i godnego uczczenia ich pamięci. Przy okazji procesu po raz pierwszy ktoś wysłuchał zeznań matek trzech zamordowanych dziewcząt.

Kobiety były do tej pory traktowane z pogardą, do dziś żyją w strachu przed zemstą przebywających na wolności sprawców śmierci ich córek. Sprawa Campo Algodonero jest idealnym przykładem dla sądu, bo pokazuje całą gamę zaniedbań i złej woli władz ciągnącą się przez lata.

Proces w Chile to przełom nie tylko dlatego, że po raz pierwszy dotyczy kobietobójstwa, ale także dlatego,

że władze Meksyku mogą spotkać dotkliwe sankcje. Od 1993 roku Meksyk otrzymał ponad 400 zaleceń w sprawie Ciudad Juárez (w tym między innymi od ONZ, Unii Europejskiej, Amnesty International), ale nie zmieniło się zasadniczo nic.

W Ciudad Juárez zabójstwo kobiety to podobno przestępstwo doskonałe. W pozostałych częściach kraju czasem udaje się skazać winnych, w Juárez nigdy. Od 1993 roku w mieście zamordowano ponad 800 kobiet. Władze nie mają pojęcia, ile kobiet zginęło; szacuje się, że ta liczba waha się między tysiącem a czterema tysiącami. Przez lata Ciudad Juárez obrosło legendą, powstało wiele teorii o tym, kto zabija tamtejsze dziewczyny: szajki kręcące filmy pornograficzne (z zabójstwem ofiary), gangi narkotykowe, wpływowi bogacze... Antropolog Rita Segato twierdzi, że zabójstwa uświatniają rytualne ceremonie wśród gangów narkotykowych – inicjacje, świętowanie zwycięstwa, składanie ofiary. Marisela Ortiz z fundacji Nasze Córkę w Drodze do Domu uważa, że dziś wszystkie teorie są do pewnego stopnia prawdziwe: całkowita bezkarność sprawia, że wielu mężczyzn kopiuje opisane w gazetach scenariusze zbrodni. Jedno jest pewne – w zabójstwa zamieszane są osoby na wysokich stanowiskach, które od lat nie dopuszczają do tego, by skazano choć jednego mordercę.

Do Ciudad Juárez przybywa codziennie kilkuset imigrantów w poszukiwaniu pracy. Na północy Meksyku najłatwiej znaleźć ją w *maquilas*, fabrykach należących głównie do Amerykanów. Zatrudnia się tam przeważnie młode dziewczyny. Praca dała im niezależność, która nie podoba się przyzwyczajonym do dominacji mężczyzn. Bezrobotni Meksykanie zauważyli też, że bez względu na to, ile kobiet zginie, na ich miejsce i tak przyjadą inne. To wzmacnia przekonanie o tym, że kobieta jest jak rzecz, którą można wyrzucić i zastąpić nową.

W Meksyku toczy się wojna wojsk rządowych z kartelami narkotykowymi. Jedni i drudzy przy okazji mordują kobiety. Stały się one swoistym łupem wojennym – gangsterzy i żołnierze zabijają żony, córki, siostry swoich wrogów. Co więcej, państwo robi wszystko, by ukryć przestępstwa popełniane przez armię. Yuriia Rodríguez z Krajowego Obywatelskiego Obserwatorium Kobietobójstwa podaje przykład kobiety zgwałconej i zmasakrowanej przez żołnierzy na oczach jej córki. W szpitalu jako przyczynę zgonu podano zapalenie żołądka mimo ewidentnych śladów pobicia i gwałtu na ciele ofiary.

Orzeczenie trybunału w sprawie *femicidio* (ma zapaść jesienią) będzie obowiązujące nie tylko dla meksykańskiego



Santos Macias i Appolinar Lechuga – czyli matka i ojciec z portretem córki, która zaginęła w noc sylwestrową w 1996 roku. Do dziś nie udało się jej odnaleźć

rządu. Trybunał określi standardy dla wszystkich państw Ameryki Łacińskiej. I choć na wokandę trafiły tylko trzy zabójstwa (te popełnione na polu bawełny), to oskarżenie przedstawiło dowody, że chodzi nie o indywidualne przypadki, lecz o stale powtarzający się schemat.

Do tej pory wszystkie wyroki trybunału udawało się egzekwować. Dlatego adwokaci biorący udział w sprawie wierzą, że tak będzie i tym razem, i planują dalsze działania. Następnym przystankiem ma być Gwatemala.

Gwatemala to jeden z najbardziej niebezpiecznych krajów na świecie. Trwająca 30 lat wojna domowa między prawicową juntą wojskową a lewicowymi partyzantami pochłonęła tysiące ofiar. Charakterystyczna dla tego konfliktu była niespotykana gdzie indziej przemoc wobec kobiet: gwałty zbiorowe, tortury, okaleczanie miejsc intymnych, porwania, zabójstwa. Jak w Ciudad Juárez. Wystawiane na widok publiczny niemilosierne okaleczonych ciał kobiet miało wywołać strach wśród ludności. Większości sprawców nigdy nie ukarano. Wielu wojskowych po zakończeniu walk przyłączyło się do grup przestępczych.

Raport Międzyamerykańskiej Komisji Praw Człowieka podaje, że bezkarność sprawców wynika ze społecznego przyzwolenia na tego rodzaju →



Powyżej: 20-letnia Helena Simental – kolejna mieszkanka Ciudad Juárez, która wyszła z domu i już nie wróciła. Pewnie skończyła jak ta dziewczyna z komiksu o kobieto-bójcach, który codziennie publikuje jedna z lokalnych gazet



Oskarżony o zamordowanie dwóch kobiet. Czekają na wyrok, ale tylko dlatego, że schwytali go Amerykanie. Twierdzi, że jest niewinny

→ zachowania wobec kobiet. Potwierdza to w rozmowie z „Przekrojem” Norma Cruz, założycielka gwatemalskiej fundacji Ocalałe, która pomaga kobietom będącym ofiarami przemocy i ich rodzinom. – Mamy do czynienia z przemocą systemową i nie chodzi tu tylko o zabójstwa. Przez całe życie kobiety są traktowane z pogardą. W Gwatemali najczęściej giną żony oraz dziewczyny gangsterów lub przypadkowe kobiety zabijane „dla zabawy”. – Kiedyś to były zwykłe bandy wyrostków, teraz zabijają kobiety, żeby udowodnić swoją „męskość”. Uważają, że dziewczyny, które mieszkają na ich terytorium, należą do nich – mówi Cruz. W wywiadzie dla hiszpańskiej gazety „El Mundo” podała przykład gangstera, który porwał nastolatki, następnie gwałcił je i w trakcie penetracji zabijał strzałem w głowę. Rok temu jednej nocy zastrzelił w ten sposób trzy dziewczyny, z którymi widział go w dyskotekę.

– Mężczyźni zabijają się w inny sposób – mówi „Przekrojowi” Claudia Herrmannsdorfer z Centrum Praw Kobiet w Hondurasie. – Ich ciała nie noszą śladów okrutnych tortur: mają związane ręce i torbę foliową na głowie. Nienawisć wobec kobiet widać na ich ciałach. Często zwłoki mają odcinane głowy, piersi, noszą oznaki tortur w miejscach intymnych. W takim stanie wyrzuca się je na ulice. To ma wzmóc przerażenie wśród społeczeństwa.

W Salwadorze mordercy mają jeszcze więcej fantazji. Wykorzystują ciała swoich ofiar jako swoisty nośnik informacji. – Zostawiają na nich rozmaite napisy – mówi „Przekrojowi” Silvia Juárez z Organizacji Kobiet Salwadoru „Ormusa”. – Najczęściej pogróżki wobec innych gangsterów albo krótkie uzasadnienie morderstwa. Pamiętam przesłanie, które brzmiało: „Jeśli nie możesz być moja, to będziesz niczyja”.

FOT. NADAV NEUHAUS/WP/FOTOLINK (3), GUILLAME HERBAUT/OEIL PUBLIQUE/THOMAS KERN/LOOKATEK PICTURES

Lista zaniedbań i złej woli państwa w tych krajach jest podobna: nieprzyjmowanie zgłoszeń, zastraszanie osób zgłaszających zaginięcie, obrażanie ofiar, rażące błędy w śledztwie, ukrywanie dowodów, fałszowanie raportów (lub niepisanie ich w ogóle), oszukiwanie rodzin ofiar, wrogość wobec świadków, próby zniechęcania adwokatów, brak oskarżenia mimo rażących dowodów, stosowanie minimalnych kar. Gdy władze Ciudad Juárez znalazły się pod międzynarodową presją, by wreszcie znaleźć winnych, policja zaczęła torturami wymuszać zeznania. W ten sposób do więzień zaczęli trafiać niewinni ludzie.

W tym regionie Gwatemala to jedyny kraj, w którym obowiązuje prawo przewidujące kary do 50 lat więzienia za zabicie kobiety ze względu na jej płeć. Jednak, jak wskazuje Norma Cruz, samo prawo nie wystarczy. Ważne jest, kto je stosuje. Gdy policjantów w jednym z komisariatów w stolicy zapytano, czy mordowane kobiety były w jakiś sposób winne swojej śmierci, 83 procent odpowiedziało „tak”. Funkcjonariusze twierdzili, że ofiary zadawały się z bandami narkotykowymi lub nie szukały pomocy, gdy bił je mąż lub ojciec. Rodziny ofiar słyszą też często, że ofiara była „sama sobie winna”, bo chodziła wieczorem po mieście, ubierała się w krótkie spódniczki lub robiła sobie mocny makijaż. Większość urzędników odpowiedzialnych za walkę z przemocą wobec kobiet nie ma żadnego przeszkolenia w tym zakresie.

Najłatwiej więc mówić, że zabójstwa kobiet to przypadki „sporów sentymentalnych” lub zwykła przemoc domowa, i dodawać, że państwo nie może przecież pilnować wszystkich w swoich domach. Gdy za winnego uznaje się bandy narkotykowe, tym bardziej nie ma sensu się wysilać, skoro grupy te są od dawna bezkarne. Ich powiązania z władzą sięgają najwyższych szczebli, więc nikomu nie zależy na dodatkowych kłopotach. Dlatego wielu spraw się po prostu nie bada. – W Hondurasie prawie wszystkie przypadki, którymi zajmuje się policja, to przemoc domowa. Inne się pomija – możemy się tylko domyślać, kto był sprawcą i jaki był motyw – mówi Claudia Herrmannsdorfer.

– Trzeba cały czas wywierać presję – odpowiada Norma Cruz. Fundacja Ocalałe udaje się każdego roku doprowadzić do skazania około 10 przestępców. Herrmannsdorfer: – Sędziowie zawsze patrzą, czy jesteśmy na rozprawie i czy pilnujemy, aby wszystko odbywało się zgodnie z procedurami.

By walczyć o prawa kobiet w kraju takim jak Gwatemala czy Honduras, trzeba być przygotowanym na wszystko. Normie Cruz wielokrotnie grożono śmiercią. Dziś jest pod stałą ochroną w domu i w pracy. Za swoją postawę otrzymała tytuł Międzynarodowej Kobiety Odwagi przyznawany co roku przez Departament Stanu USA.

Mężczyzna z Gwatemali, który zabijał kobiety podczas penetracji, trafił pod sąd i pewnie wkrótce zostanie skazany.

Mieszkanka centrum Ciudad Juárez boi się pokazać twarz. Tatuaż na jej plecach to symbol zagrożenia, z którym żyje



REKLAMA

OFF FESTIVAL

najważniejszy festiwal alternatywny w Polsce już po raz czwarty

2009
6-9 SIERPNIA
MYSŁOWICE
SŁUPNA PARK

4 dni, 5 scen i ponad 60 zespołów:

Spiritualized, The National, Fucked Up, The Thermals, Jeremy Jay, Handsome Furs, The Week That Was, Health, The Pains of Being Pure at Heart, Crystal Antlers, These New Puritans, Ólafur Arnalds, Monotonix, The Field, Errors, Final Fantasy, Micachu and The Shapes, Lech Janerka gra „Historię Podwodną”, Maria Peszek, Miłość i wielu innych...

gość specjalny: Jonathan Poneman, założyciel legendarnej wytwórni Sub Pop

dyrektor artystyczny: Artur Rojek

bilety:
www.ticketpro.pl
www.ticketportal.pl
www.eventim.pl

szczegóły:
www.off-festival.mbank.pl
www.myspace.com/offfestival

OFF Festival 2009 dedykowany jest 70 rocznicy wybuchu II wojny światowej

1939

mbank ZAPRASZA

onet.pl gazeta.pl ams.pl

EXKLUSYV

Patroni medialni

Organizator Współorganizatorzy Partnerzy

Pokazujemy język angielskiemu

W APOGEUM SVOJEJ GLOBALNEJ DOMINACJI JĘZYK ANGIELSKI WYMYKA SIĘ SPOD KONTROLI ANGLOSASÓW



W połowie kwietnia w Paryżu zmarł wybitny pisarz Maurice Druon. Jako członek Akademii Francuskiej przez 40 lat tropił zaśmieszające język francuski fast foody, jeansy i bowlingi. Tropił

równie niezmordowanie co nieskutecznie.

Na początku czerwca, dwa miesiące po śmierci Druona, teksaski instytut Global Language Monitoring (GLM) ogłosił na swojej stronie internetowej, że Web 2.0 (druga generacja sieci WWW) to milionowe słowo w języku angielskim. Według GLM oznacza to, że angielski ma już dwa razy więcej słów niż kantoński, cztery razy więcej niż hiszpański i (o zgrozo!) dziesięć razy więcej niż francuski.

Jak oni to policzyli? Na kalkulatorze. Szef GLM Paul J.J. Payack tłumaczy, że to rezultat wykorzystania skomplikowanego algorytmu. Payack zebrał słowa z najważniejszych słowników (około 600 tysięcy) i stworzył bazę języka. Następnie wymyślił algorytm, który analizuje częstotliwość pojawiania się nowych angielskich słów w mediach. Wyszło mu, że bariera miliona pęknie 29 kwietnia. Nieco się pomylił, ale liczy się efekt: było to prawdopodobnie pierwsze „wydarzenie lingwistyczne” relacjonowane na żywo jednocześnie przez stacje CNN, CBS i BBC.

Fiński zamiast angielskiego

Twierdzenie, że angielski ma milion słów, to czysta szarlataneria – mówi „Przekroju” profesor Clive Upton, socjolingwista z uniwersytetu w Leeds. – To tak, jakbym stanął przy drodze, zaczął liczyć przejeżdżające samochody i po milionowym stwierdził, że na świecie jest milion samochodów. Tego nie da się policzyć, bo na przykład jak potraktować czasowniki modalne, 84 miliony związków chemicznych czy milion gatunków owadów?

Ale nawet profesor Upton w końcu przyznaje: – W pewnym sensie GLM jednak trafił w sedno. Angielski nigdy jeszcze nie był tak powszechny. Jeszcze nigdy nie miał takiej przewagi nad innymi językami.

O ile przerzucanie się liczbą słów w danym języku jest tylko przejawem „populistycznego imperializmu słownikowego”, jak twierdzą niektórzy lingwiści, o tyle już inne liczby nie pozostawiają wątpliwości. W Europie pięć razy więcej młodych ludzi w wieku 15–24 lata lepiej zna angielski niż jakiegokolwiek inny język. Jak obliczył brytyjski uczony David Gradol, 80 procent informacji dostępnych w In-

ternecie jest po angielsku. Dziś już każda licząca się na świecie gazeta ma angielską wersję w Internecie. 90 procent najważniejszych wydawnictw akademickich jest w języku Szekspira.

Mimo kryzysu również „eksport” angielskiego idzie nadzwyczaj dobrze. Od dwóch lat w prestiżowej francuskiej uczelni École Normale Supérieure dochodzi do systematycznych strajków z powodu rosnącej liczby przedmiotów w języku angielskim. W Chinach już więcej ludzi zna angielski niż w USA, a książki o Harrym Potterze w wersji oryginalnej sprzedają się lepiej w krajach nieanglojęzycznych niż w anglojęzycznych.

British Council szacuje, że dziś na świecie angielskim posługuje się blisko półtora miliarda ludzi, czyli prawie co czwarty człowiek. W 2050 roku będzie to już co drugi. „Imponująca jest już nie tylko dominacja angielskiego na świecie, ale także tempo, w jakim dystansuje on inne języki – pisze profesor Nicholas Ostler, światowej sławy lingwista, autor bestselleru „Empire of the Word” („Imperium słowa”).

– Pozycja angielskiego, stuleciami budowana przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone, teraz została przypieczętowana przez Internet. To dzięki tym trzem potęgom, bo na pewno nie dzięki prostocie i przystępności, angielski tak jak niegdyś łacina i francuski stał się językiem globalnym.”

Gdyby ludzkość kierowała się prostotą i przystępnością, to globalnym językiem byłby dziś fiński. Wielu lingwistów uważa go za najłatwiejszy do nauki, nie tylko z powodu przejrzystej gramatyki. W porównaniu z językiem angielskim fiński ma jedną zbawienną dla obcokrajowców cechę – do konkretnej litery przyporządkowany jest zawsze ten sam dźwięk. Czego nie można powiedzieć o angielskim, w którym

nawet słowa *phonetic* nie czytamy fonetycznie.

Ale to nic, że w angielskim słowa *flammable* i *inflammable* znaczą to samo. To nic, że *cleave* i *cleave* w zależności od kontekstu mogą być wyrazami przeciwstawnymi (przyklejać się lub rozczepiać). To nic w końcu, że słowo *set* ma w oksfordzkim słowniku 464 znaczenia. Jak widać na przykładzie angielskiego, najważniejsza dla pozycji języka jest jego zdolność do podkradania słów innym językom.

Język złodziejski

Stare afgańskie przysłowie mówi, że „ten, kto zna jeden język, jest jedną osobą. A ten, kto zna wiele języków, jest wieloma osobami jednocześnie”.

Jeśli znasz angielski, to jesteś jednocześnie 35 osobami – właśnie z tylu języków, jak twierdzi grupa lingwistów z uniwersytetu w Manchesterze, czerpie współczesny angielski.



Trudno powiedzieć, czy ci lingwiści mają na to jakiś algorytm, ale bez wątpienia angielski to język złodziejski. Bo na przykład *ketchup*

to wcale nie jest słowo angielskie, tylko malajskie. *Pyjamas* (piżama) jest angielskim łupem z języka urdu. Jednak największy „import” słownictwa odbył się przez kanał La Manche.

Co drugie słowo w języku angielskim ma romańskie, żeby nie powiedzieć: francuskie, pochodzenie. To efekt ostatniej udanej inwazji na Wyspy Brytyjskie, którą prawie tysiąc lat temu przeprowadzili sfrankonizowani Normanowie. Ten romański wpływ widoczny jest i dziś. *Art* (sztuka), *taxi*, *orange* (pomarańcza, pomarańczowy), *train* (pociąg), *surprise* (niespodzianka) – wszystkie te słowa mają romańskie pochodzenie. Przez kanał przybyły również *baby* (słownik oksfordzki podaje kilkanaście znaczeń), →



NAJDŁUŻSZE SŁOWA W JĘZYKU ANGIELSKIM

methionylthreonylthreonylglutaminyl...isoleucine (189 819 liter)

– chemiczna nazwa tytyny, jednego z białek

pneumonoultramicroscopicsilicovolcanoconiosis (45 liter) – najdłuższe słowo

w „Oxford English Dictionary” – nazwa choroby płuc spowodowanej wdychaniem dymu z silikonu

floccinaucinihilipilification (29 liter) – oznacza robienie z (uwaga!) widel igły,

czyli umniejszanie znaczenia

antidisestablishmentarianism (28 liter) – w XIX-wiecznej Anglii pogląd sprzeciwiający się stanowisku, według którego Kościół Anglii nie powinien być Kościołem państwowym w Irlandii i Walii

→ word (słowo) i grass (trawa), choć to akurat zaciąg niderlandzki.

Druga fala obcych słów w angielskim to już efekt kolonializmu. Brytyjczycy z Indii importowali *shampoo* (kiedyś masaż włosów, dziś szampon), *bungalow* i *dam*, słowo znane z popularnego sformułowania „G... mnie to obchodzi” – *I don't give a dam* (obecnie wyparte przez *damn*), a oznaczające dawny indyjski środek płatniczy. Najnowsze kradzieże w angielskim pochodzą z Afganistanu: *gadwadation* od słowa *gadwad* (bałagan) i *garbaration* od *garbar* (chaos).

Taka elastyczność sprawia, że angielski jest dziś narzędziem wielofunkcyjnym – dostosowuje się do każdego otoczenia kulturowego. A jest to możliwe, bo kanon tego języka nigdy nie został formalnie wytyczony. To najbardziej odróżnia angielski od takich języków jak francuski czy hiszpański. W obu tych przypadkach o poprawność językową dbają specjalnie do tego powołane instytucje państwowe: oddziały Akademii Francuskiej (na którego czele stał nieboszczyk Druon) i hiszpańskiej Akademii Królewskiej.

W tych krajach istnieje specjalna procedura akceptacji nowego słowa. W angielskim, jeśli brakuje jakiegoś słowa, to można je zawsze wymyślić. Efekty? *Bangsters*, czyli popularne ostatnio połączenie bankierów i gangsterów. *Sexting*, czyli wysyłanie MMS-ów z własnymi roznieglizowanymi zdjęciami. Albo *wonderstar*, czyli gwiazda z przypadku.

Taka „demokratyzacja” angielskiego jest też związana ze wzrostem poziomu edukacji, szczególnie w takich krajach jak Indie, gdzie angielski przestaje być wyłączną domeną elit. Ale tu jest też ukryty początek końca angielskiego jako języka globalnego.

Około 300 roku łacina, oficjalny język Imperium Rzymskiego, za-



Język jest najwspanialszym wynalazkiem człowieka. Tylko że nigdy nie został wynaleziony

GUY DEUTSCHER, LINGWISTA

częła się „wulgaryzować” – powszechność jej użycia sprawiła, że najniższe warstwy społeczne w odległych zakątkach Imperium zaczęły mieszać ją z lokalnymi językami. 500 lat później łacina nie miała już swojego państwa, a w Europie istniały trzy języki powstałe na bazie łaciny: hiszpański, francuski i włoski.

Ten sam los może podzielić angielski. Język ten, choć o globalnym zasięgu, tak jak łacina nie osiągnął statusu pierwszego języka (czyli takiego, w którym się myśli) wśród większości znających go ludzi. Dziś myśli po angielsku zaledwie 25 procent go używających. Według British Council w 2020 roku będzie to tylko 15 procent. Już dziś większość konwersacji w języku angielskim odbywa się między ludźmi, dla których ten język jest językiem pierwotnym.

To prosta droga do tworzenia nowych języków. W ten sposób na pograniczu amerykańsko-meksykańskim powstał już *spanglish*, połączenie hiszpańskiego i angielskiego. W tym języku wydano już „Don Kichota”. W Azji Wschodniej od lat mówi się o *singlish* i *tanglish*, czyli odpowiednio singapur-

skiej i filipińskiej odmianie angielskiego. Ale najciekawszym przypadkiem jest *chinglish*.

Ojciec jeszcze nie tu

Ta mieszanka kantońskiego i angielskiego ma ogromny potencjał. – Znamość angielskiego stała się w Chinach przepustką do awansu społecznego – mówi nam profesor Andrew Lingnan z uniwersytetu w Hongkongu. – Już w 2020 roku 500 milionów Chińczyków będzie znać lub poznawać angielski. Z drugiej strony już dziś chronicznie brakuje tu nauczycieli angielskiego, dla których byłby on pierwszym językiem. Miejscowi nauczyciele przekazują uczniom już „zmodyfikowany” angielski, który coraz szybciej będzie oddalał się od współczesnego angielskiego.

I wcale nie chodzi tu tylko o wprowadzanie kolejnych chińskich słówek do angielskiego. Azjaci zawsze mieli tendencję do polikania samogłosek w angielskich słowach. Już dziś większość z nich mówi *tink* zamiast *think*, lub *tioris* zamiast *theories*. Poza tym w *chinglish* pytania nie zawierają charakterystycznego dla języka angielskiego operatora (na przykład *do*).

Ale co najciekawsze według profesora Lingnana, Chińczycy wyrzucają ze zdań oznajmujących orzeczenia, co kończy się sentencjami typu *My father not here yet*, czyli „Mój ojciec jeszcze nie tu”. Poza tym w *chinglish*, tak jak w kantońskim, znaczenia zaczyna nabierać również intonacja. Tak samo pisane, ale inaczej zaakcentowane kantońskie słowo może oznaczać coś zupełnie innego. Wkrótce może się okazać, że Brytyjczyk, przyjeżdżając do Chin, będzie musiał na nowo uczyć się swojego języka.

No właśnie. Czy jeszcze „swojego”? – Już dziś dla większości ludzi posługujących się angielskim nie jest on pierwszym językiem – mówi Lingnan. – Ale to nie zmienia faktu, że to oni będą teraz decydować, jak ten język będzie ewoluował. To czysta demokracja.

Angielski został już Anglosasom uprowadzony, tak jak kiedyś świat uprowadził Anglikom piłkę nożną. Dziś jest ona dobrem wspólnym, a jej uroda tylko w niewielkim stopniu zależy od angielskich piłkarzy. O ile w przypadku piłki można się z tego tylko cieszyć, o tyle w przypadku języka angielskiego trochę będzie szkoda kolejnej zmarnowanej szansy na prawdziwie globalny język.

Ale być może już wkrótce właśnie Chińczycy wynajdą automatycznego tłumacza, który będzie w stanie symultanicznie tłumaczyć litewski na urdu (co nie jest już takie nieprawdopodobne), i wszystkie powyższe dywagacje staną się nieaktualne. □



W czwartek 9 lipca po godzinie 16.45 o języku angielskim słuchaj w audycji „Popołudnie Radia TOK FM”. Zaprasza Cezary Łasiczka



NAJZIWNIEJSZE SŁOWA W JĘZYKU ANGIELSKIM

rastaquouere – karierowicz

mesonoxian – okolo północny (chodzi o porę dnia, nie o kierunek geograficzny)

nihilarian – ktoś zajmujący się drobiazgami

erinnacleous – jeżopodobny

nudiustertian – przedwczoraj

pulveratricious – przykurzony

mungo – szambonurek

tyrotoxism – zatrucie serem

widdiful – ktoś, kogo należałoby powiesić

limerance – próba naukowego wglądu w naturę miłości romantycznej

ZABIJAM
SZTYWNE NEWSY



DESER.PL

WWW.DESER.PL



ZA MŁODĄ NA PREZYDENTA

Może jak będę starsza, zmienię
mój stosunek do polityki – mówi
Jolanta Kwaśniewska – ale na razie
dziką radość sprawia mi zdjęcie tego
gorsetu, w którym tkwiłam przez 10 lat
jako żona prezydenta

Nadal pani płacze tak często jak kiedyś czy łyż trochę obeschły?

– Nadal jestem płaczką. Ostatnio płakałam 21 czerwca, kiedy Krystyna Janda czytała genialnie napisaną przez Kazię Szczukę laudację na cześć Heni Krzywonos, naszej Polki 20-lecia. Wszystkie panie na kongresie miały mokre oczy.

A może łyż są pani kobiecą bronią?

– Nie, mój mąż jest już przyzwyczajony, że jestem takim chliptkiem, że jak oglądam filmy, to czy się kończą tragicznie, czy happy endem, to popłakuję. I dlatego dla mnie wizyty w hospicjach, na oddziałach onkologicznych to był naprawdę duży wysiłek. Powtarzałam sobie: „Nie rycz, trzymaj się”, ale w końcu musiałam przetrzeć oczy.

A kiedy patrzyła pani, jak Henryka Krzywonos, legendarna tramwajarka roku 80., dostaje tę nagrodę, nie myślała sobie pani: dlaczego moje życie inaczej nie wyglądało, dlaczego nie byłam po tamtej stronie?

– Co to znaczy, że nie byłam po tamtej stronie?

Nie była pani częścią opozycji, a pani mąż nie był opozycjonistą zamykanym w więzieniu.

– Nie jest pan chyba fanem hasła: kto nie jest z nami – jest przeciwko nam? Jestem i zawsze byłam wierna swoim przekonaniom. Wyjechaliśmy z Gdańska w 1979 roku. Część moich najbliższych przyjaciół zaangażowała się w opozycję. Kiedy mieszkaliśmy w Gdańsku, chodziliśmy na spotkania z Leszkiem Moczulskim, które organizowane były w domu Piotra Dyki, a w mojej grupie byli na przykład Jurek Hall, Sławek Czarlewski...

Czyli była pani blisko, trzeba było tylko zrobić krok...

– Tak, tylko ten krok to była Warszawa. Tu zamieszkaliśmy w wielkim blokowisku na Ursynowie, bez żadnego osadzenia, ani rodzinnego, ani przyjacielskiego. A jak przyszedł stan wojenny, to nasz los był losem Polaków, Polaków, a nie wyłącznie opozycjonistów. Mąż wtedy stracił pracę w „Itd”, a ja nie zarabiałam żadnych pieniędzy. Mieszkaliśmy w pustym mieszkaniu, na płytkach PCV leżały dwa materace, nasz i naszej Oli, i nasze rzeczy w pudełkach.

Tak żyła wtedy większość młodych Polaków.

– A jakby się potoczyły moje losy, gdybym została w Gdańsku? Mam wrażenie, że gros osób jest przekonana, że żyliśmy w jakichś uprzywilejowanych warunkach. Pan prezydent Wałęsa nawet kiedyś powiedział: Kwaśniewska? Cóż ona może powiedzieć o rodzeniu, ona przecież w szpitalu rządowym rodziła. Rodziłam na Starynkiewicza i przeleżałam pierwsze doby na korytarzu, upokorzona jak większość innych kobiet. Nie byłam beneficjentem tego systemu.

Wtedy jeszcze nie, ale potem mąż się piął, był takim młodym wilczkiem PZPR, a w efekcie usiadł jako ważny działacz partii przy Okrągłym Stole, stał się częścią nomenklatury.

– Mąż był członkiem PZPR jak wielu innych działających dzisiaj w różnych partiach polityków, ponieważ miał wrażenie, że istnieje szansa na zmianę naszej rzeczywistości od wewnątrz. Mówił: „Musimy zmieniać Polskę i jesteśmy w stanie przekonać ludzi takich jak pan premier Rakowski, że pewna formuła funkcjonowania państwa się przeżyła”. Pan ciągle mówi „wy”, a ja jestem odrębnym bytem, nigdy nie chciałam należeć do żadnej struktury partyjnej i w związku z tym widziałam troszeczkę inaczej to, co się działo i dzieje, ponieważ to ja stałam w kolejkach wśród innych kobiet.

Ale czy pani nie zazdrości takim ludziom jak Henryka Krzywonos, którzy wcześniej stanęli przeciw władzy, zaczęli walczyć o wolność? Ich życie w jakimś sensie było dużo prostsze, choć potem trudniejsze.

– Jest we mnie ogromna empatia, kiedy widzę autentyczną nierówność, krzywdę, biedę, ból i cierpienie, staram się pomagać, jak tylko potrafię. Często jest to walka, którą podejmuję, wiedząc, że jej skutki mogą być dla mnie przykre. Cały więc czas stoję przed jakąś barykadą. Podziwiam i ogromnie szanuję panią Henrykę Krzywonos, ona też nadal pokonuje różne barykady, myślę więc, że dużo nas łączy. Z Henią Krzywonos nie tylko się przyjaźnimy, ale również solidarnie wspieramy swoje działania.

A jak pani – z jej empatią – daje sobie radę z tym odwiecznym dylematem, że dający zawsze będzie miał dużo więcej niż obdarowywany? Pani, dając, zawsze będzie spotykała się z zarzutem: daje, bo ma dużo, bo się „napasła u żłobu”, a i tak sobie zostawia najwięcej.

– Nie mam takiego dylematu, ponieważ właśnie dzięki mojej empatii należę do ludzi, którzy mogą dawać, czują się szczerze obdarowani. Nie zaprzęgam sobie głowy rozstrzygnięciem, kto ma więcej, kto mniej, kto, co i z jakiego powodu daje. A jeśli chodzi o dochody, to co to znaczy „dużo”? Nasze dochody, przy pensji mojego małżonka, przy pieniądzach, które zarabiam na wykładach, są przyzwoite, ale bez przesady.

Ale żyjemy w Polsce i ci, którzy tak mówią, też.

– Wystarczy jeździć po kraju, nawet ktoś, kto ma średnią urzędniczą pensję czy pracuje w rolnictwie, może postawić porządną dom. Jak przelatywałam z Ojcem Świętym helikopterem w okolicach Krakowa, to wspominał, że to, jak bogaty jest kraj, najlepiej widzi się po nowych dachach, po nowo budowanych domach. Polak w czymś oku dostrzeże żdźbło, ale nie zobaczy belki we własnym. Ma pan w gronie swoich kolegów ludzi bardzo dobrze zarabiających, znacznie lepiej →



→ od urzędujących polityków, ponoszących większą odpowiedzialność i oni naprawdę żyją w bardzo godnych warunkach, mają świetne domy, dachy, dobre samochody, możliwość spędzania urlopu na całym świecie, a kiedy wracają do kraju, biją w polityków jak w bęben.

Ale ich nie utrzymują podatnicy.

– Podatnicy za to utrzymują nieporównywalnie większą grupę osób, których jakoś działa od lat budzi niepokój i sprzeciw, są to urzędnicy administracji państwowej różnych szczebli. Czy w nich także – równie często jak w polityków – biją pana koledzy? Jesteśmy z mężem państwowcami i społecznikami, on zarabia na to, żebym mogła jako społecznik pracować w mojej własnej fundacji, bo wydaje mi się, że osiągnąwszy już określoną pozycję, powinienam tutaj pozostać, nie chcę walcowerem oddać spraw, które zaczęliśmy prowadzić w naszej fundacji. Niech mnie pan spróbuje przekonać do polityki, do wejścia w tę politykę! W imię czego? A mnie do tego namawiają dziesiątki osób.

Jeżeli pani postulat, że kobiety powinny więcej znaczyć w polityce, jest prawdziwy i przemyślany i zdaje sobie pani sprawę, że jest jedyną kobietą przez najbliższe 5–10 lat z szansą na prezydenturę, to wystarczy to sobie powiedzieć od lustra, by w tę politykę wejść, ja tu do niczego nie jestem potrzebny.

– Nie, tak długo, jak nie będzie tutaj innego postrzegania polityków i przebijania się prawdziwymi argumentami, a nie plotką i sensacją, której my doświadczyliśmy z mężem od pierwszego momentu, kiedy mąż wystartował w kampanii wyborczej. Wiem, że wszystko, co udało mi się stworzyć i osiągnąć, może zostać zniszczone, zbrukane i użyte przeciwko mnie.

Ludzie będą mówili i pisali różne rzeczy, czasem kłamstwa, czasem oszczerstwa, czasem przenikliwą prawdę, różne rzeczy...

– Oczywiście, ale wiem, jak trudno pośród tych „różnych rzeczy” zachować takt, umiar, zwykłą ludzką przyzwoitość. Chciałabym tej przenikliwej prawdy. Bo gdzie było żdźbło prawdy w tych wirtualnych sprawach wokół naszego domu, małżeństwa, rodziny, prezydentury mojego męża? Czy choćby charakter, w jakim zostałam przesłuchana, w komisji orlenowskiej? **Ale to nie media panią przesłuchiwały, tylko politycy, czyli koledzy pani męża.**

– I proszę, mam 75 tomów, które wróciły z prokuratury w Katowicach. Chcieliśmy budować klinikę onkologii dziecięcej, zwróciłam się do różnych podmiotów o pieniądze, otrzymane kwoty zostały wydane dokładnie tak, jak to było zaplanowane. A sprawa Orleń to były cztery zarzuty, dla których została ta komisja powołana. Gdzie tu było miejsce dla fundacji prowadzonej przez małżonkę prezydenta?

Oczywiście, że było to wtedy polityczne, natomiast dzisiaj nieco zabawnie brzmi argument, że nie będzie pani wprowadzać w czyn idei, które tak płomiennie głosi, bo nadal są oszczerzy, którzy chcą pani zaszkodzić. Czy kruczata o miejsce kobiet w życiu publicznym w Polsce...

– Jest ważna, potrzebna. Nigdy nie mówiłam, że nie będę wprowadzać w życie idei, które głoszę i które są dla mnie ważne. Chcę jedynie ochronić swoje programy przed skutkami działań inicjowanych przez oszczerców i ludzi nikczemnych. Mogę to robić znacznie skuteczniej teraz, niż gdybym zaczęła być postrzegana jako polityk.

Chciałabym prawdy. Bo gdzie było żdźbło prawdy w tych wirtualnych sprawach wokół naszego domu, małżeństwa, rodziny?

JOLANTA
KWAŚNIEWSKA

Jak już mi się znudzi robienie zakupów, to może uznam, że warto wejść w tę politykę, żeby coś naprawdę dobrego zrobić?

Skoro jest ważna, to nie każe zapomnieć o głupstwach?

– Pomówienia, przemoc psychiczna, infamia nigdy nie powinny być traktowane jak głupstwa. To są ciosy, po których wielu ludzi już nigdy się nie podnosi, pod którymi upadają wartościowe inicjatywy. Nie mówmy o potrąceniu, gdy ktoś kogoś dotkliwie pobił, lub o przejęzyczeniu, gdy naruszył jego godność osobistą. Dla pana to głupstwa, a dla mnie to jest kwestia życia i śmierci. Moi bliscy odchodzili wtedy, kiedy były te pomówienia, potwarze. Nikt z nas nie ma skóry słonia.

Tekstów insynuacyjnych zawsze będzie mnóstwo. I co z tego?

– To, że im bardziej coś jest nieuczciwe i niesprawiedliwe, tym bardziej boli. Zniechęca natomiast to, że ciągle trzeba się tłumaczyć i usprawiedliwiać. Przez całe życie powtarzałam sobie, że to, co nas nie zabije, to nas wzmocni. Wyciągałam więc wnioski. Przez te 10 lat byłam głęboko przekonana, że w sposób najbardziej sensowny wspieram mojego małżonka, że najlepiej, jak potrafię, staram się służyć państwu, że te działania, w których biorę udział, są na tyle sensowne, że zostały one dostrzeżone nie tylko w Polsce, ale i za granicą. I przychodził taki moment, że kiedy opublikowano w „Polityce” pierwszy ranking „prezydencki”, okazało się, że jestem groźnym kontrkandydatem dla polityków.

Ale pani nim jest, bo pani żyje.

– Żyje, ale...

I nie wiedzą, co w pani siedzi. A od pani męża w odpowiedzi na pytanie, czy pani wystartuje, słyszą dziwne zdanie, które u mężczyzn zawsze wywołuje popłoch: kobieta zmienna jest.

– No cóż, on tak mówi. Oczywiście nie wiem, kim będę, mając ponad 60 lat, może wtedy zmieni się mój stosunek do polityki. We mnie jest przekora i bardzo silna osobowość. Udział w przesłuchaniach komisji śledczej wyzwał energię i ducha walki. Byłam tak przekonana o słuszności swoich działań i wyborów, a także o uczciwości i przejrzystości realizowanych przeze mnie projektów, że nawet gdyby mnie torturowano, nie zmieniałabym zdania. Nie boję się takich przesłuchań i jest dla mnie bez znaczenia, kto i dlaczego to robi.

Prezydentura nie musi być partyjniactwem.

– Niech pan spróbuje to wytłumaczyć swoim kolegom po fachu. Na razie pozostanę prezesem swojej fundacji. I nie potrafię zrozumieć, w imię czego znów zostałam włączona do rankingu „Rzeczpospolitej”? Słowo nie wspomniałam, że ciągnie mnie do polityki. A „Rzeczpospolita” stara się spostonować mnie jako człowieka, jako osobę prowadzącą fundację.

Zlecając takie sondaże, każde medium chce się zorientować, na kogo Polacy by głosowali. Dlatego pani się znalazła na tej liście, a nie z powodu jakichś knoń. Bo to coś mówi o kondycji zawodowych polityków. Na tej samej zasadzie w sondażach występował Tomek Lis. To pozwala zobaczyć, jakiego Polacy chcą prezydenta. Z opisów pani spotkań w Polsce wynika, że ma pani dwie cechy, na których Polakom bardzo zależy u prezydenta: powaga i empatia. I stąd ten wynik.

– Ja uważam, że prezydent jeszcze powinien być bardzo kompetentny.

W jakiej dziedzinie był kompetentny poseł Aleksander Kwaśniewski?

– No, błagam pana...

Tylko pytam: w gospodarce, w ekonomii, w rolnictwie?

– Mam nieodparte wrażenie, że jeżeli dziś jest zapraszany do największych gremiów decydujących w kwestiach kryzysu jako osoba znająca się na mechanizmach politycznych, to znaczy, że upoważnione do tego gremia dokonały już oceny jego kompetencji.

Ale kiedy stawał się prezydentem, nie miał kompetencji w sprawach ekonomicznych.

– Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek kompetencje w sprawach ekonomicznych decydowały o wyborze prezydenta. Mój mąż skończył studia ekonomiczne i wydaje mi się, że całkiem nieźle potrafi się zorientować w tych mechanizmach i ma dar gromadzenia wokół siebie kompetentnych ludzi.

O to chodzi we władzy – mieć mądrych wokół siebie...

– Mąż jest też osobą czytana i ma ogromną wiedzę o sprawach, które go interesują, oraz fenomenalną pamięć, czego mu zazdrościć dziesiątki osób. Wielu polityków ma wrażenie, że są najmądrzejsi i nikt już im nie musi doradzać. To, co zrobił Obama, co zrobił Sarkozy, świadczy o wielkości tych ludzi – oni, zanim decydowali się na walkę o prezydenturę, zastanawiali się, kto będzie odpowiadał za konkretne segmenty ich władzy.

No i pani to wszystko wie. Jaki więc problem? W dodatku „Kobieta” tygodnika „Newsweek” profesor Magdalena Środa mówi: przekonałam się, że Kwaśniewska spełnia wszelkie wymagania kobiety polityczki. Dawniej myślałam o niej „żona prezydenta”, a ona ma charyzmę. Tak jak Wałęsa, wyczuwa ból, nie przygotowuje się, patrzy na ludzi i zaczyna mówić, jest lepsza od swojego męża.

– Z panią profesor odbyliśmy teraz rzeczywiście wiele spotkań w całym kraju, poczynając od Olecka, gdzie miałyśmy spotkanie głównie z kobietami rolniczkami, sołtyskami, po Opolu, Wrocław, Katowice, Sosnowiec. Świetnie mi się z nią współpracowało, ponieważ pani profesor jest wysokiej klasy naukowcem, a ja społecznikiem praktykiem. W obszarach, w których się poruszam w ramach mojej fundacji, mam całkiem dużą wiedzę. Natomiast jak mnie pytają o politykę, o rady na kryzys, to ja mówię: nie gniewajcie się, ale po prostu się na tym nie znam.

A z powodzią co by pani zrobiła?

– Pierwsza rzecz najważniejsza to działać zawczasu. Po 1997 roku, mimo że mój mąż złożył projekt ustawy dotyczącej przeciwdziałania powodzi, nie poczyniono dalszych kroków, aby wprowadzić ją w życie.

I została utopiona.

– I to by było na tyle. Jesteśmy mistrzami od sytuacji kryzysowych, dopiero jak coś się zaczyna walić, to Polak potrafi myśleć i działać.

Nie lubi pani partyjniactwa i równocześnie walczy o władzę dla kobiet. Skoro jesteśmy skazani na prezydentów SLD, PiS albo PO, to dlaczego nie możemy mieć prezydenta kobiet?

– Musimy mieć, jestem za. W SLD, PiS i PO jest bardzo wiele kobiet. Kiedy tylko namówimy Jolantę Szymanek-Deresz czy panią Izabelę Jarugę-Nowacką, czy panią Joannę Kluzik-Rostkowską...

A gdzie pani gotowość do poświęceń, siebie samą może trzeba poświęcić?

– 10 długich, bitych lat funkcjonowałam w bardzo ostrym reżimie. Niedawno powiedziała pani Monice Olejnik: „Wie pani, co jest najważniejsze w życiu? Żeby żyć”. Jeszcze ciągle czuję się młodą osobą, a od 40. do 50. roku życia żyłam w „sztywnym gorsecie”. A teraz siedzę z panem w klapkach, z bosymi stopami i sprawia mi to dużą radość.

Okiełznana bardzo ta dzikość. A dlaczego nie może tak pani zawsze?

– Nie, na oficjalnych spotkaniach nie da rady, są określone zasady.

Może więc by pani przestała być niewolnicą konwenansu?

– Tą wielką polityką rządzą określone zasady, uczyć tych zasad w „Lekcji stylu”. Przydałyby się one niektórym politykom, chętnie za darmo ich udzielię, już poza kamerą... Z tych ram nikomu nie uda się wydostać.

Już do końca życia będzie pani niewolnicą.

– Ale teraz na co dzień mogę sobie pozwolić na wyjście z odsłoniętymi ramionami. I już się nie przejmuję, że na polskiej plaży nie mogę opalać się w dwuczęściowym kostiumie.

No to współczuję.

– Ponieważ każdy ma aparat fotograficzny – to jest niewiarygodne!

No i co z tego?

– Nie mogę. Ja bym chciała częściej być rozluźniona i swobodna... W młodości byłam towarzyską i trochę szaloną osobą.

No to zaszaleć trzeba, pani Jolanto, szaleć!

– Nie, koszmarne się wtedy czuję. Raz mi się zdarzyło, płynęliśmy z mężem statkiem i trafił się nam taki „adorator”, który częstował nas ogromnymi ilościami szampana. Pamiętam to uczucie koszmarnego samopoczucia następnego dnia. Choć czasem przyjemny jest delikatny szmerek w głowie. Przez te 10 lat nie zdarzyło się nigdy, żebym nadużyła alkoholu. Nie chciałam, aby ktoś powiedział, że pani Kwaśniewska jest „wstawiona”. Musiałam żyć w ramach takiego wizerunku, jak żona Cezara, musiałam być absolutnie poza jakimikolwiek zarzutami.

Jednak o Cezarze mówią, że za żołnierz nie wylewa.

– To gigantyczna przesada.

Jolanta Kwaśniewska, 54, urodziła się w Gdańsku jako Jolanta Konty. Od 30 lat żona Aleksandra, byłego ministra w czasach PRL i prezydenta w III RP. Od 28 lat matka Aleksandry, psycholożki i dziennikarki. Zanim została Pierwszą Damą, była dyrektorem do spraw handlowych w firmie produkującej sztuczną biżuterię, potem prowadziła własną agencję nieruchomości, którą ma nadal. Współpracuje z TVN Style, gdzie uczy savoir-vivre'u. Od 14 lat prowadzi fundację Porozumienie bez Barier, która zajmuje się profilaktyką nowotworową oraz pomocą chorym i ubogim dzieciom. Od 2004 roku sondaże dają jej wysokie miejsce do urzędu prezydenta, ale w politykę zaangażowała się tylko raz – w wyborach prezydenckich w 2005 roku była szefową komitetu wyborczego Włodzimierza Cimoszewicza.

Przecież nie badała go pani alkomatem...

– Żyję z mężem pod jednym dachem i wiem, że potrafi sobie sam kontrolę narzucić. I chwalić Pana Boga.

A co Aleksander Kwaśniewski o pani wie, że o pani ewentualnym kandydowaniu mówi: kobieta zmienna jest?

– Nie wiem. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że może za jakiś czas, jak się zaprę, to powiem: ja wam jeszcze pokażę. Jeśli coś takiego we mnie głęboko w sercu czy w duszy nastąpi, to po prostu zacznę poważnie na ten temat rozmawiać, zastanawiać się, jakich mam sprzymierzeńców, z kim mogę to robić. Jeśli będzie taka potrzeba społeczna, jeśli dojdę do wniosku, że to jest coś, co jest potrzebne dla mnie, dla mojej osobowości, a sprawdzałam się wielokrotnie, nie boję się wyzwania.

Pani się jeszcze czuje silna?

– Jestem potwornie silną osobą.

Potwornie – to groźnie zabrzmiało. A może pani ucieka przed czymś w swoją fundację, działalność społeczną? Przed siedzeniem w domu z mężem, który jest na emeryturze politycznej.

– Myślę, że częściej uciekam w coś przed moją fundacją, a dokładniej przed tymi wszystkimi problemami, z którymi codziennie się w niej borykam. To są naprawdę ważne wyzwania i dla nich chciałabym zachować siły i odporność psychiczną. Teraz mamy znacznie więcej czasu dla siebie z mężem, choć jemu emerytura polityczna długo jeszcze nie grozi. Możemy na przykład częściej niż do tej pory gdzieś wyjechać. W Waszyngtonie chodzimy do fajnych knajp jazzowych, umawiamy się z przyjaciółmi. Rano wstajemy, idziemy do gymu, mąż gra w tenisa, ja sobie ćwiczę, wracamy, mąż idzie na uczelnię, ja spotykam się z moimi przyjaciółmi, żyję w zupełnie innym rytmie. Mam czas, żeby prowadzić sprawy swojej fundacji, pracować nad ramówką swojego programu, pracuję nad książką związaną z zasadami savoir-vivre'u, na podstawie „Lekcji stylu”.

To jednak inne wyzwanie niż kampania wyborcza.

– W drugiej kadencji męża jeździłam z nim po kraju. Namiastkę tego miałam też z Magdą Środą, jeżdżąc na te wszystkie spotkania, gdzie trzeba tłuc się godzinami od miasta do miasta, od pełnej sali do kolejnej pełnej sali, to jest naprawdę ogromny wysiłek. I fizyczny, i psychiczny, ponieważ ludzie przychodzą na spotkania jak na pewien spektakl. Przychodzą obejrzeć pana, ocenić, musi pan być zawsze w superformie. Mimo że na krajowych drogach zdarzyły mi się problemy z kręgosłupem, to jeździłam na kolejne spotkania. Prezydentura to jest duże wyzwanie, a ja bym nie umiała ludzi zawieść. A przecież wiem, że nie wystarczy zwyciężyć, to jest początek. Następne pięć lat to jest ta codzienność prezydencka, którą znam. I może pan mieć najlepsze, najszczerze chęci, ale trzeba sobie zdawać sprawę z ograniczoności decyzji, które podejmuje prezydent, ja te prerogatywy doskonale znam.

Omawialiście to z mężem na pewno wielokrotnie.

– Tak, w każdej sytuacji i bez względu na porę dnia.

Z drugiej strony byłaby to pierwsza polska kobieta prezydent.

– Są takie osoby, które pociąga władza, mnie ona nie pociąga. Naprawdę chcę się zachłysnąć tym życiem, niech mi się znudzi ta normalność. A jak już mi się znudzi praca w fundacji, to robienie zakupów, gotowanie itd., to może wtedy powiem: teraz mam jakiś ważniejszy cel. Wtedy powiem: może warto wejść w tę politykę, żeby coś naprawdę dobrego zrobić? A potem skończyć prezydenturę i powiedzieć: teraz mogę umierać. □

Wróbelek prezesa

Czy Marzenę Wróbel, nową gwiazdę PiS w komisji śledczej, ktoś podejrzewa o słabość do róż i wyczynową jazdę na rowerze? Nikt. I nawet partyjni koledzy nie wszystko wiedzą o jej możliwościach

Od kiedy w kwietniu tego roku pojawiła się w sejmowej komisji śledczej do spraw nacisków, posypało się na jej głowę wiele epitetów. Przewodniczący komisji Sebastian Karpiniuk z PO nazwał ją „rozpędzonym pociągiem pancernym”. Jego partyjny kolega Robert Węgrzyn poradził, by przed posiedzeniami komisji spalała nadmiar energii, tańcząc na rurze. A kolejny śledczy Mieczysław Łuczak z PSL stwierdził: – Cieszę się, że moje dzieci wychowały się z daleka od szkoły, w której pani uczyła.

Członkowie komisji zgodnie narzekają na mentorski, nieznoszący sprzeciwu ton Marzeny Wróbel. Irytuje ich jej arogancja i wtrącanie się w pół słowa, przez co dziennikarze okrzyknęli ją rottweilerem PiS – w odróżnieniu od Jacka Kurskiego, który wcześniej zyskał miano bulteriera. W PiS wprost mówi się o pani Marzenie, że to „facet z jajami”.

Prezesa atakuje aborcja

45-letnia Wróbel stała się znana dzięki występom w komisji śledczej. Zastąpiła w niej Jacka Kurskiego odwołanego po zarzutach namawiania świadka do zmiany zeznań. Równocześnie Kurski wystartował do europarlamentu i z Sejmu przeniósł się do Brukseli. – Sam zaproponowałem

Wróbel na moje miejsce. Wcześniej popierałem ją, by weszła do komisji śledczej w sprawie Olewnika – mówi Kurski. – Pamiętałem ją z partyjnych spotkań, gdzie budziła respekt i potrafiła przeciwstawić się nawet prezesowi.

W czym się przeciwstawić? Tego Kurski już nie pamięta. Za to sama zainteresowana i owszem: – Poszło o aborcję. Opowiedziałam się za jej bezwarunkowym zakazem i wpisaniem go do konstytucji. W partii nastąpiło pęknięcie. Posłowie walczący o ochronę życia od poczęcia odeszli z klubu, ja jako jedyna z tej grupy wzięłam udział w kolejnym posiedzeniu i w ostrej dyskusji, w wyniku której zostałam w partii – opowiada.

Prezesowi Kaczyńskiemu miało to dać do myślenia: baba twarzą jak skała. Opoka, na której można budować pozycję PiS. Spodobało mu się także zacięcie, z jakim walczyła o nowelizację ustawy o rekompensatach dla osób represjonowanych. Dotychczasowe prawo dotyczyło tylko poszkodowanych w latach 1944–1956. Wróbel chciała nim objąć również późniejsze

ofiary komunistycznego systemu – zwłaszcza radomskiego czerwca 1976 roku. – Stawałam na głowie i udało się. Nowelizacja przeszła podczas jednego z ostatnich głosowań przed wyborami 2007 roku. To mój największy sukces – wyznaje. I wielki kredyt zaufania, jaki zdobyła u liderów partii.

– Nic dziwnego, że gdy zabrakło Kurskiego, właśnie jej PiS przydzielił zadanie bezwarunkowej ochrony partyjnych interesów przed śledczymi. Rozjuszona umie atakować – uważa poseł SLD Krzysztof Matyjaszczyk. Mieczysław Łuczak z PSL dodaje: – Rola pani Wróbel to mącenie toku prac komisji, bo w mętnej wodzie ryb nie widać.

A ryby, które komisja chce złowić, są grube: były premier Jarosław Kaczyński, były minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, były zastępca prokuratora generalnego Jerzy Engelking.

Sama Wróbel zapewnia, że partyjnych dyspozycji nie dostaje, a z Jarosławem Kaczyńskim rozmawiała o komisji tylko raz: gdy gratulował jej wyboru przez Sejm na stanowisko śledczej.

Nie ukrywam, kocham różę

W PiS, choć podziwiają Wróbel – bo jak mówi poseł Adam Hofman, „w kaszę nie da sobie dmuchać” – to wiedzą o niej mało. Nawet poseł Marek Suski, który w wyborach 2005 roku wciągnął ją na listę w okręgu radomskim, nie wie, z kim i czy w ogóle Marzena Wróbel utrzymuje w partii bliższy kontakt. – Lansowałem ją, bo miała opinię sprawnego radnego – tłumaczy.

Wróbel do polityki weszła z AWS, potem wstąpiła do PiS. Radną w rodzinnym Radomiu została w 2002 roku. Obecna na każ-

dej sesji i w każdej dyskusji. Nienaganna frekwencja została jej do dziś. Z 2550 głosowań, które odbyły się w Sejmie za jej bytności, była obecna na 2403.

W Radomiu pamiętają ją jako osobę, która zawsze broniła swych racji. Gdy uznała, że prywatyzacja rury ciepłowniczej jest dobrym rozwiązaniem, głosowała za tą inwestycją, choć było to wbrew stanowisku radnych PiS.

Do rady miejskiej trafiła jako szefowa radomskiego ośrodka doskonalenia nauczycieli. Tę funkcję objęła, wygrywając konkurs, ale by móc ją sprawować, zrobiła podyplomowe studia z zarządzania w Kaliszu. Jej pierwsze wyższe wykształcenie to polonistyka. Tytuł magistra zdobyła na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim za pracę na temat „Mistrza i Małgorzaty” Michaiła Bułhakowa. Od razu po studiach, w 1991 roku, trafiła w Radomiu do szkoły podstawowej jako nauczycielka. – Nie ukrywam, że moim celem nie była podstawówka. Gdy nadarzyła się okazja przejścia do Zespołu Szkół Elektronicznych w Radomiu, chętnie skorzystałam – wyjaśnia („nie ukrywam” to ulubione powiedzonko Marzeny Wróbel).

Uchodziła za nauczycielkę piłę. Pały sypały się obficie. – Wymagająca, konsekwentna, sroga. Nie przypominam sobie, by jeździła z uczniami na wycieczki. Raczej do teatru czy kina, bo to było kontynuacją lekcji polskiego – wspomina Ewa Chylicka, wicedyrektor zespołu szkół elektronicznych.

– Nie ukrywam, że byłam sroga, ale jak ktoś już doszedł u mnie do matury, to ją zdawał – zapewnia Wróbel.

Do dziś jej koszmarny sen to nieprzygotowanie uczniów do egzaminu dojrzałości. Do Radomia wraca jednak chętnie. A zwłaszcza do swej samotni (jest rozwódką) za miastem. – W lesie, na wzgórzu mam działkę i sadzę na niej różę – przyznaje. Do róż ma słabość i pewnie dlatego, gdy poseł Węgrzyn przyniósł jej jako przeprosiny za „turę” bukiet róż, przyjęła je bez słowa komentarza, co w jej przypadku jest dużym wyczynem.

Jestem długodystansowcem

Pasowe różę okazały się chwilowym przerwaniem w poselskiej szarpaninie w komisji śledczej. „Przyzwyczajcie się wreszcie do tego, że podlegacie kontroli społeczeństwa” albo: „Macie obowiązek odpowiadać tak, by było to zrozumiałe dla szarego obywatela” – tego typu maksymy posłanka Wróbel wygłasza na każdym posiedzeniu komisji. Zarówno w stosunku do przesłuchiwanym świadków, jak i do posłów śledczych.

– Jestem posłem RP i rażą mnie ataki na funkcjonariuszy państwa. A posłowie z PO, PSL i SLD z góry postawili tezę, że były nieprawidłowości w czasie rządu PiS, i za wszelką cenę chcą je udowodnić. Razi mnie zadawanie przez nich pytań z tezą. Temu się sprzeciwiam – tłumaczy swój agresywny, wcinający się każdemu w słowo sposób zabierania głosu w komisji śledczej.

– Do tego jej tembr głosu, jakby wciąż krzyczała. I sposób mówienia na jednym oddechu przez pięć minut. Jak ktoś łapie oddech, to można mu przerwać, a posłanka Wróbel peroruje jak cyborg – martwi się szef komisji Sebastian Karpiniuk. Początkowo wyłączał jej mikrofon, ale wtedy PiS posadził go o praktyki stalinowskie. Zapewnia więc, że na najbliższym posiedzeniu 14 i 15 lipca spróbuje użyć do spacyfikowania nadaktywnej posłanki pewnego nowego kruczka regulaminowego.

Marzena Wróbel nie boi się żadnych kruczków. – Jestem długodystansowcem, tak w polityce, jak w sporcie. Mało kto wie, bo moja postura na to nie wskazuje, ale potrafię bez odpoczynku przepłynąć dwa kilometry. Z jazdą na rowerze jest podobnie.

– O sportowych wyczynach pani poseł nie miałem pojęcia, ale że jest długodystansowcem, wiem doskonale – przyznaje Karpiniuk. – Ostatnio podczas wspólnej podróży do Telewizji Trwam próbowałem wkraść się w jej łaski, porozmawiać po ludzku, nie o polityce. Ale każdą próbę brała za podstęp i nie podjęła rozmowy. Długodystansowiec z założenia.

Posłanka
Wróbel potrafi
uciszyć każdego
oponenta

CLINT EASTWOOD

KOLEKCJA 20 FILMÓW CLINTA EASTWOODA

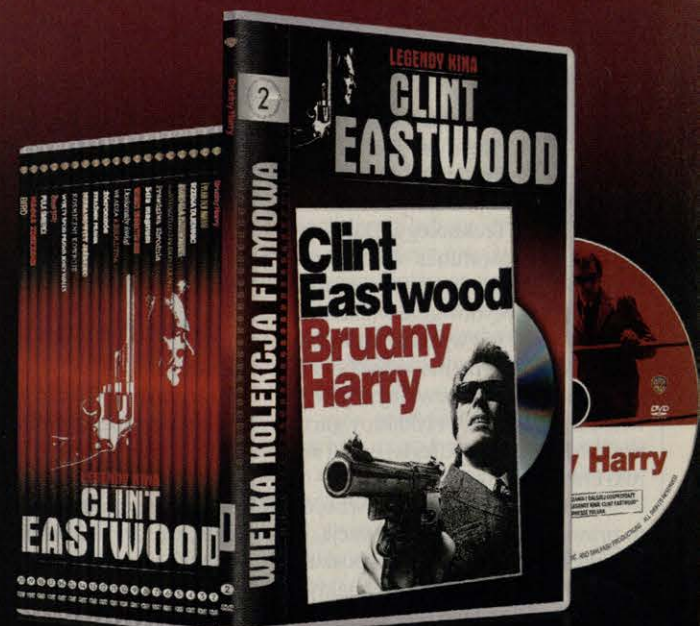
– JEDNEGO Z NAJLEPSZYCH AKTORÓW I REŻYSERÓW HOLLYWOODZKICH

2. część kolekcji Brudny Harry JUŻ W SPRZEDAŻY

tylko z tygodnikiem **PRZE KROJ**

Najlepszy policyjny thriller wszech czasów z Clintem Eastwoodem w roli detektywa Harry'ego Callahana.

Sukces filmu doprowadził do powstania czterech kolejnych części, a sam motyw samotnego gliniarza działającego wbrew naciskom przełożonych, stał się kanwą wielu innych filmów kryminalnych.



Doktor Ekstazy

Oto piewca ekstazy, narkotyku, który zmienił oblicze muzyki tanecznej i sceny klubowej. Choć wciąż nie wiadomo, jakie zagrożenia może przynieść

SYLWETKA IRENA CIEŚLIŃSKA



Shulgin w swoim laboratorium.

Ciekawe, po zażyciu którego z ponad 200 narkotyków przestał sprzątać?

Stałam w tłumie podczas sympozjum w dniu otwarcia Pickower Institute for Learning and Memory na Massachusetts Institute of Technology. Darmowy poczęstunek zawsze gromadzi studentów. Ciastka wzbudzały zdecydowanie większe zainteresowanie niż wykłady neurobiologów. Ale kiedy na mównicy pojawił się starszy pan z rozwianym siwym włosom odziany w przykładny garnitur i pochodzący z odległej epoki szeroki krawat – sala zamarła.

– Ktoś zapytał mnie niedawno, czy to prawda, że główną motywacją, jaka przyświecała mi podczas poszukiwań nowych substancji psychoaktywnych, była chęć odkrycia narkotyku, który by wzmacniał doznania seksualne. To nieprawda. Owszem, MDMA* wzmacnia odczucia związane z do-

tykiem i sprawia, że kontakt fizyczny jest o wiele przyjemniejszy. Prawdą jest też, że porzucałem studia nad związkami, które nie intensyfikują potrzeby dotyku. Ale przede wszystkim chodziło mi o rozszerzenie świadomości. O doznanie Boga*... – rozpoczął wykład.

Aspiryna dla duszy

Alexander „Sasha” Shulgin, profesor farmakologii, odkrył, zsyntetyzował, a następnie wypróbował na sobie, swojej żonie i grupie współpracowników ponad 200 substancji psychoaktywnych: stymulanty, środki uspokajające, afrodyzjaki, środki wywołujące drgawki, narkotyki zmieniające słuch, substancje, które zwalniają lub przyspieszają subiektywne poczucie upływu czasu, narkotyki wywołujące napady agresji, narkotyki uśmierzające wszelkie emocje.

Największą sławę przyniosło mu jednak wypromowanie odkrytej w roku 1912, ale na długie lata zapomnianej MDMA – 3,4-metylenodioksyamfetaminy, znanej świata jako ekstazy. – To fatalna nazwa – oburza się Shulgin. – W MDMA nie ma nic ekstazy. Ja bym raczej sugerował „empatę”, bo głównym działaniem tego związku jest wspaniałe poczucie bliskości, akceptacji oraz głębokiego zrozumienia – i samego siebie, i drugiego człowieka. Czulem się absolutnie czysty, jasny, otwarty. To była łagodna, wszechogarniająca euforia.

Według niego najcenniejszym efektem działania MDMA jest wgląd w głąb samego siebie. – Jest w nas lęk, że kiedy dotrzemy do esencji naszej duszy, odkryjemy zgniłego, słuzowatego pokurcza z odrażającymi mackami – mówiła w jednym z wywiadów żona Shulgina Ann. – MDMA

MDMA (ekstazy) nie należy mylić z MMMA

(5-metoksy-metylenodioksyamfetaminą), stymulantem również odkrytym i opisanym przez Shulgina

usuwa ten strach, pokazuje wszystkie anioły i demony drzemące w tobie i przedstawia ci je, rodząc cudowne uczucie spokojnej akceptacji.

Shulginowie są pewni, że MDMA może być nieocenioną pomocą dla psychoterapeutów przy zmaganiach z zespołem stresu pourazowego lub terapii żołnierzy okaleczonych psychicznie w czasie wojny. – MDMA to aspiryna dla duszy – przekonują.

Mimo to ta sielankowa wizja jest daleka od rzeczywistości. „Aspiryna dla duszy” jest obarczona masą niezbadanych jeszcze do końca skutków ubocznych – zaburza poziom serotoniny, uszkadza pamięć, a może niszczy też delikatną tkankę mózgu. Zamiast w gabinetach psychoterapeutów używana jest dziś w klubach tanecznych, a w skład nielegalnie produkowanych pigulek wchodzi też zwykłe środki podnoszące ciśnienie krwi, co niejednokrotnie prowadzi do poważnych powikłań.

Dziury w mózgu

– Słyszałem, że zażywanie ekstazy niszczy neurony, wypalając dziury w mózgu – pyta Road Dog na internetowej stronie Zapytaj dr. Shulgina. – Nieprawda – odpowiada naukowiec. – Teoria o trwałym uszkodzeniu mózgu oparta jest na badaniach na zwierzętach ekstrapolowanych na ludzi. MDMA powoduje czasową degenerację dendrytów u małp i szczurów. Ale nie ma takiego działania na psy i myszy. Jak jest u ludzi? Nie wiemy. A zresztą skany, które miały dowodzić powstawania tych dziur, to z naukowego punktu widzenia mocne nadużycie, bo pokazywały mózgi dwóch różnych osób, a nie tego samego człowieka, przed zażyciem i po zażyciu narkotyku. Sorry, bojownicy antynarkotykowi. Zero dziurek, zero uszkodzeń, zero rdzy.

Zważywszy na blisko cztery tysiące eksperymentów, jakich dokonywał na delikatnej tkance własnego mózgu, Sasha może służyć jako niepokojący kontrprzykład wobec tezy o szkodliwości dragów. W wieku 84 lat nadal jest bardzo aktywny: pisze kolejną książkę, daje odczyty, a jasności umysłu można mu tylko pozazdrościć. Zdarza mu się zapominać nazwiska i mylić miejsca, ale nigdy nie myli i nie zapomina chemicznych nomenklatur substancji.

Pytany, czy nie boi się eksperymentować na sobie, odpowiada, że przecież nie jest głupi: – Nie pochłaniam całej łyżki nieznanego specyfiku. Zaczynam od rozsądnie oszacowanych dawek i dla bezpieczeństwa jeszcze je dzielę.

Sasha jest przekonany, że testowanie substancji psychoaktywnych na zwierzętach nie ma sensu. W końcu nie sposób dobiec, jak zmienia się własny wzrutek czy empatyczne nastawienie szczeru. Krytycy zarzucają mu z kolei, że eksperymenty, których dokonuje na sobie, nie mają żadnej

wartości – nie ma w nich nawet śladu naukowej metodyki. Shulgin jest jednocześnie eksperymentatorem i obiektem doświadczeń, wie, co bierze i jakich działań powinien się spodziewać. – Jego postrzeganie jest zaburzone przez substancję, którą właśnie testuje – komentuje doktor Neil Fruman, przewodniczący Rady Etyki Centrum Medycznego Johna Muira.

Ekstazy jak nurkowanie

– Kiedy pierwszy raz wziąłem MDMA, znalazłem się w absolutnie magicznym miejscu. I kiedy moja podróż się kończyła, pomyślałem, że chciałbym je odwiedzić jeszcze raz – ciągnął swój wykład Shulgin.

Czy kiedykolwiek miał problem z nałogami? – Tylko z nikotyną – twierdzi. – Jeśli idzie o uzależnienie, nie sądzę, żeby MDMA stwarzało jakiekolwiek inne zagrożenie niż te wszystkie rzeczy, które sprawiają przyjemność, na przykład nurkowanie, wspinanie się czy jazda na nartach.

Na użytek swojej grupy badawczej Shulgin opracował skalę oceny efektów oddziaływania substancji psychoaktywnych, w której najwyższy, czwarty stopień oznacza „rzadki i cenny preparat wywołujący transcendentne przeżycia, doświadczenia religijne, »mistyczny, magiczny stan Samahdi«, oświecenia, połączenia wewnętrznego i zewnętrznego uniwersum”. Jeśli zostanie znaleziona substancja pozwalająca osiągać plus cztery na zawołanie, w dowolnej chwili, będzie to oznaczać – według Shulgina – kres naszych starań, koniec drogi i koniec eksperymentu ludzkiej ewolucji.

– Dotarłem do poziomu plus cztery dwa czy trzy razy w życiu – mówi. – Mogłem po-

Mogłem poruszać rzeczy, nie dotykając ich, mogłem układać chmury na niebie w kształty, jakie sobie wymyśliłem. Byłem Bogiem

ruszać rzeczy, nie dotykając ich, mogłem układać chmury na niebie w kształty, jakie sobie wymyśliłem. Byłem Bogiem. Wyszedłem z laboratorium i na małym wzgórku za budynkiem zobaczyłem kota. Spojrzeliśmy na siebie, kot wyprężył się i uciekł tak szybko i tak daleko, jak tylko dał radę. Odebrał to. Wiedział. Mogłem sobie zażyczyć, żeby wąż ogrodowy rozwinął się i zakręcił w drugą stronę. Mogłem wszystko.

Shulgin przekonuje, że syntetyczne psychodeliki wprowadzają zupełnie nową jakość w odróżnieniu od „drugów starego typu”, w szczególności heroiny i kokainy, które zamiast pogłębiać zrozumienie siebie, powodują ucieczkę od własnego ja, niekiedy w rejony niebezpiecznie oddalone od swojego człowieczeństwa. Zdaniem Sashy heroína powoduje utratę czujności i motywacji. Kokaina przeciwnie – daje poczucie siły, ale i bolesne przekonanie, że to tylko iluzja.

Shulgin często używa imienia Boga, ale indagowany w kwestii wiary określa się jako agnostyk. „Kiedy mówię o doświadczeniu boskości, chodzi mi raczej o doświadczenie, a nie o Boga jako takiego, używam tego określenia jako środka komunikacji”

Czytając relacje Sashy, obawiam się, że środki, które wzniosły go na poziom plus cztery, kreują jeszcze bardziej bolesną metalizację: wrażenie siły bez towarzyszącej świadomości ograniczeń pozwalające wierzyć, że koty czmychają przed boską mocą.

Gorący kartofel

W młodości Sasha pracował dla koncernu Dow Chemical. Gdy opracował recepturę dochodowego środka owadobójczego, firma dała mu wolną rękę – mógł sam wybrać obszar swoich naukowych zainteresowań.

Z czasem jednak nazwisko odkrywcy największej liczby narkotyków na naszej planecie zaczęło być dla Dow Chemical ciężarem.

Shulgin otworzył więc własne laboratorium i został „niezależną psychofarmakologiczną komórką badawczą”. Jest autorem blisko 200 prac naukowych, kilkudziesięciu patentów, był konsultantem naukowym National Institute on Drug Abuse, Lawrence Radiation Laboratory, NASA oraz Drug Enforcement Administration.

Wraz z żoną opublikował dwie książki, obie dostępne za darmo w sieci. W pierwszej, „Pi-KHAL” („Fenetylaminy, które poznałem i pokochałem”) oprócz historii swojego związku Shulginowie zamieścili szczegółowy opis sposobu syntezy oraz oddziaływania połowy znanych psychodelicznych substancji, takich jak ekstazy czy meskalina. Druga połowa (od grzybków po substancje z jadu egzotycznych ropuch) znalazła się w kolejnej książce, „TiKHAL” („Tryptaminy, które poznałem i pokochałem”). Teraz Sasha pracuje nad trzecim tomem, w którym pochyla się nad izochinolinami, substan-



cjami pokrewnymi tym występującym w kaktusach (peyotl, meskalina) i maku. Małżonkowie uparcie stoją na stanowisku, że informacja sama w sobie nie może być szkodliwa.

Nawet najwięksi sympatycy [Shulgina] mają poważne wątpliwości co do etycznej oceny jego postępowania. Punkt widzenia Shulgina przypomina podejście ojców bomby atomowej. Rozwijanie tej zabójczej technologii też miało przynieść dobro – zakończenie wojny. Prawdopodobnie używane specyfiki Shulgina być może rozszerzyłyby naszą świadomość, pogłębiły wzajemne zrozumienie i wyniosły społeczeństwo na inny poziom. Jednak na razie przede wszystkim otwierają ścieżkę destrukcji.

Cóż – odpowiada na te zarzuty Sasha. Warto pamiętać o dwóch istotnych sprawach. Po pierwsze, że średnie IQ wynosi 100. A po drugie, że 50 procent ludzi ma IQ poniżej średniej. Zawsze znajdzie się ktoś, kto nie rozumie właściwie dostarczanych informacji. □

ROZMOWA WALDEMAR PIASECKI, NOWY JORK

Jeszcze polatamy

Rozmowa ze Sławomirem Noszczakiem, dyrektorem PLL LOT na Amerykę Północną i Południową

– Światowy kryzys nie omija linii lotniczych. Was też?

– Wszystkie linie, w tym LOT, notują gorsze wyniki. Ale to chwilowe trudności i wraz ze stabilizacją sytuacji ekonomicznej wyniki linii lotniczych będą się systematycznie poprawiały.

– Podobno w nowojorskim biurze LOT-u zdarzają się telefony z pytaniami, czy linie jeszcze istnieją, bo media podają, że zbankrutowały, i czy w związku z tym można kupić bilet do Polski?

– Wiadomości o naszej śmierci są przesadzone. LOT ma się dobrze, a połączenia atlantyckie, które od lat są naszą wizytówką, realizowane są zgodnie z rozkładem. W tym roku planujemy przewiezienie na połączeniach atlantyckich prawie pół miliona pasażerów, z czego zdecydowana większość kupi bilety w USA. W szczycie sezonu 2009 poza połączeniami, które działają w ciągu całego roku, to jest z Chicago do Warszawy i Krakowa oraz z Nowego Jorku (JFK oraz Newark) do Warszawy, w czerwcu, lipcu, sierpniu i we wrześniu uruchamiamy dodatkowe rejsy z JFK i Newark do Rzeszowa oraz z Newark do Krakowa. Oznacza to 25–26 rejsów z USA do Polski tygodniowo. Ponadto oferujemy bardzo dogodne połączenia przez Warszawę dla pasażerów podróżujących ze Stanów do Lwowa i Kijowa, do Wilna, Moskwy i kilku rosyjskich miast oraz Belgradu. Cieszą się bardzo dużym powodzeniem.

– Niedawno został pan dyrektorem przedstawicielstwa LOT-u w Nowym Jorku, poprzednio pracował pan na podobnych stanowiskach w innych krajach.

– Do Nowego Jorku przyleciałem pod koniec stycznia tego roku po prawie ośmioletnim pobycie w Londynie, gdzie byłem odpowiedzialny za działalność LOT-u na rynkach brytyjskim i irlandzkim. Pracowałem tam w niezwykle ciekawym okresie. Polska weszła do Unii Europejskiej, a rynek przewozów lotniczych pomiędzy Polską a krajami Unii został zderegulowany. Nastąpił gwałtowny rozwój połączeń lotniczych pomiędzy Polską i Wielką Brytanią operowanych przez tanich przewoźników. Mimo to byliśmy przewoźnikiem pierwszego wyboru nie tylko dla Polonii brytyjskiej, ale także dla pasażerów biznesowych.

Rynek atlantycki jest jeszcze bardziej konkurencyjny od brytyjskiego. Mimo to jestem pewien, że LOT, który ma tu 36-letnią tradycję i markę przewoźnika oferującego wysoki standard, wciąż będzie wybierany przez Polonię oraz inne grupy etniczne podróżujące do kra-

jów Europy Środkowej i Wschodniej. Także w klasie biznes.

– Na przestrzeni lat biurem LOT-u w Nowym Jorku kierowało kilku dyrektorów. Pierwszym z nich był legendarny już Zbigniew Stabeusz...

– W Nowym Jorku dyrektorami zawsze byli znakomici fachowcy, poczynając od Zbigniewa Stabeusza, organizatora linii transatlantyckiej, którą otworzył z fantazją 16 kwietnia 1973 roku.

– Był to słynny rejs 007, oznaczony tym numerem dla uczczenia Jamesa Bonda. Cały Nowy Jork oblepiony był plakatami z wizerunkiem Rogera Moore'a z kolejnego filmu o Bondzie „Live and Let Die” („Żyj i pozwól umrzeć”). Kiedy amerykańskie media podały, że polski przewoźnik zza żelaznej kurtyny odwołuje się do Jamesa Bonda, Edward Gierek dostał ponoć szału.

– Zbyszek Stabeusz miał ułańską fantazję, wielką zdolność przekonywania i był bardzo popularny wśród Polonii. Zgodnie ze standardami lot z Warszawy do Nowego Jorku powinien mieć numer nieparzysty, a powrotny parzysty. Jak Stabeusz przekonał zarząd LOT-u, że trasa warszawska ma mieć numer 006, a nowojorska 007, pozostanie jego tajemnicą. Pomijając aspekty polityczne, bondowski numer był znakomitą chwytem marketingowym. O debiutującym na trasie atlantyckiej Locie było głośno. Lepszą promocję trudno sobie wyobrazić.

– Polska debiutowała na Atlantyku radzieckimi ilami-62, co już na starcie obniżało konkurencyjność oferty.

– W tamtych czasach uwarunkowania polityczne decydowały o tym, jakich maszyn mógł używać LOT. Dopiero pod koniec lat 80. możliwe stało się podjęcie przez ówczesnego premiera Mieczysława F. Rakowskiego decyzji o zakupie pierwszych samolotów zachodniej produkcji.

Rejs pierwszego boeinga 767-200ER o imieniu „Kraków” odbył się w kwietniu 1989 roku. Ale od zawsze utrzymywaliśmy wysoki poziom usług i bardzo dobrą frekwencję na pokładach. Moi poprzednicy pracowali w innych warunkach handlowych. Konkurencja była mniejsza. Miejsca sprzedawały się jak gorące bułeczki, a zysk był gwarantowany. Teraz konkurencja jest większa, a tym samym gwarantem wy-

pełnienia samolotów musi być stuprocentowa punktualność, wysoki standard obsługi oraz cena dopasowana do konkurencji.

– LOT jest jedyną linią latającą z Ameryki do Polski bezpośrednio. Czy to przesądza o konkurencyjności?

– Jesteśmy również przewoźnikiem narodowym, mamy 80-letnią tradycję, a nasza nazwa jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych polskich marek na świecie. To coś jak Coca-Cola.

Mieliśmy klientów, którzy korzystali z naszej linii dziesięć lat. Profesor Jan Karski pierwszy rejs LOT-em na trasie krajowej odbył w 1932 roku, a ostatni w czerwcu 2000 roku, krótko przed śmiercią. Oczywiście z przerwą na PRL, bo wtedy do Polski nie latał.

– Ale lata się z wami do Polski drożej niż innymi liniami z przesiadką...

– Można powiedzieć, że za tyle samo. Wciąż analizujemy ceny innych przewoźników i dbamy o konkurencyjność naszej oferty. Mamy teraz promocję, w której bilet z USA przez Atlantyk kosztuje 470 dolarów plus podatki i opłaty lotniskowe. To najtańsza oferta, jaka kiedykolwiek istniała w okresie letniego szczytu. Najtańszy przelot na waka-

cje do Polski w 2008 roku kosztował 875 dolarów plus podatki, czyli dużo drożej.

– Podatki i opłaty to około 300 dolarów. Do kogo adresujecie tę ofertę?

– Tradycyjnie do pasażera polonijnego. Chciałbym, żeby hasło „Polonia lata LOT-em” było stale aktualne. Dotyczy to także podróży polskich Żydów odwiedzających nasz kraj, jak również rodowitych Amerykanów. Dbamy o to, aby nasza oferta była na najwyższym poziomie. Musimy pamiętać o zasadzie *value for money*. Pasażer podróżujący bezpośrednio, oszczędzając czas i unikając niewygód związanych z przesiadkami i tranzytami, płacąc nieco więcej za bilet, musi być przekonany, że to jest atrakcyjna wartość, warta zapłaconych pieniędzy. Jeżeli porównamy podróż do udziału w przedstawieniu teatralnym, to za lepsze miejsca na lepszym przedstawieniu też płacimy więcej. To, że nasze połączenia cieszą się dużym powodzeniem, w pełni tę prawdę potwierdza.

– Czyli jest pan zadowolony z sytuacji?

– Jestem dobrej myśli. Na pewno mamy jeszcze dużo pracy do wykonania. Żeby móc wygrywać bitwę o Atlantyk, cały czas pracujemy nad tym, aby nasza oferta była konkurencyjna. Już niedługo odbędą się pierwsze loty testowe boeinga 787 „Dreamliner”. LOT będzie pierwszą linią lotniczą w Europie, która będzie wykonywać rejsy tą supernowoczesną maszyną. Na pewno pojawi się ona na rejsach transatlantyckich. Naszym celem jest utrzymanie pozycji preferowanego przewoźnika na trasach pomiędzy Polską i Ameryką Północną. □



Rezydujący w Nowym Jorku dyrektor Sławomir Noszczak od kilku miesięcy odpowiada między innymi za szczególnie ważne dla LOT-u połączenia z USA

WIELKI WAKACYJNY KONKURS „Przekroju” i LOT-u

WYŚLIJ SMS I WYGRAJ WEEKEND W NOWYM JORKU



podwójny bilet lotniczy do Nowego Jorku Polskimi Liniami Lotniczymi LOT



3 noclegi dla dwóch osób w Grand Union Hotel 34 East 32nd St. New York, NY 10016 www.hotelgrandunion.com

WDT 1.888.60.60.938

4 karty telefoniczne od World Discunt Telecommunications

PSC POLISH & SLAVIC CENTER

wizyta w polskiej dzielnicy Greenpoint sponsorowana przez Centrum Polsko-Słowiańskie „Twoje okno na świat...” www.polishslaviccenter.org

Aby wygrać nagrodę, wystarczy odpowiedzieć na 5 poniższych pytań:

1. W którym roku po raz pierwszy samolot w barwach PLL LOT przeleciał nad Oceanem Atlantyckim?

- A. 1938
- B. 1968
- C. 1989

2. Do jakiego miasta w USA uruchomiono pierwsze regularne połączenie lotnicze z Warszawy?

- A. Nowy Jork
- B. Chicago
- C. Los Angeles

3. Jakim samolotem odbył się rejs inauguracyjny z Warszawy do Nowego Jorku?

- A. Il-62
- B. B-737
- C. DC-8

4. Ile jest kilometrów drogą lotniczą (ortodromiczną) z Warszawy do Nowego Jorku?

- A. 6843
- B. 9340
- C. 10215

5. Na jakim nowojorskim lotnisku lądują samoloty PLL LOT?

- A. La Guardia
- B. Teeterborough
- C. Kennedy'ego

Wyślij SMS pod numer 7355 o treści PRK.LOT.odpowiedzi, np. PRK.LOT.1A,2C,3B itd. Na SMS-y czekamy od 9 do 14 lipca 2009 roku. Koszt wysłania SMS-a: 3 zł netto (3,66 zł brutto). Regulamin plebiscytu dostępny na www.przekroj.pl (zakładka: Dodatki). Zwycięzca jest zobowiązany do zapłaty podatku dochodowego przed wydaniem nagrody. Organizator konkursu nie zapewnia amerykańskiej wizy. Informacja o danych osobowych dostępna na stronie 74.

POLSKIE LINIE LOTNICZE-POLISH AIRLINES LOT

PRZEKROJ

W tym tygodniu:

PREZENTUJEMY ASTRONAUTÓW, KTÓRZY NICZEGO SIĘ NIE BOJĄ (NAWET NA KSIĘŻYCU), I NAUKOWCÓW, KTÓRZY BOJĄ SIĘ PONAD STU RZECZY. I PRZERABIAJĄ TEN STRACH NA NAUKĘ

Ikony misji Apollo 11: lądownik Eagle, księżycowy odcisk buta i sam Księżyc

11 rzeczy, których nie wiesz o Apollo 11

JAKI BYŁ WKŁAD NAZISTÓW W LĄDOWANIE NA KSIĘŻYCU, CO NAPRAWDĘ POWIEDZIAŁ ARMSTRONG, DLACZEGO TRANSMISJA BYŁA ZŁEJ JAKOŚCI, A JEDEN Z CZŁONKÓW MISJI PRZYJĄŁ NA MIEJSCU KOMUNIE ŚWIĘTĄ



1

CZEGO NIE WIDAĆ W TELEWIZJI

Celem misji Apollo 11 nie było samo lądowanie na Księżycu. Znacznie ważniejsze było POKAZANIE tego lądowania światu, a zwłaszcza Sowietaom. Tak więc w poniedziałek 21 lipca 1969 roku ponad 600 milionów osób na całym świecie z zapartym tchem obserwowało pierwszą w dziejach transmisję prosto z Księżyca. Pierwsze kroki na ziemskim satelicie były co prawda niezwykle doniosłym momentem, ale na ekranach telewizorów wyglądały jak taniec cieni. Wtedy nikomu to nie przeszkadzało (te emocje!), ale po latach owa jakość stała się pożywką dla licznych teorii spiskowych (bez sensu) i wyrzutem sumienia NASA (bardzo słusznie). Rzecz w tym, że w rzeczywistości obraz przekazywany z Księżyca był całkiem niezłej jakości. Sygnał odbierały początkowo dwie stacje – jedna w USA, druga w Australii. Początkowo centrum sterowania w Houston przełączało się między nimi, szukając najlepszego obrazu. Potem jednak sygnał złapał ogromny radioteleskop Parkes położony na południu Australii, która w tym czasie znajdowała się najbliżej Księżyca. Okazało się, że potężna antena odbiera doskonale i reszta dwupółgodzinnej transmisji płynęła właśnie stamtąd.

Niestety, sygnał po drodze przechodził kilka bolesnych przemian. Z Parkes przesyłany

był łączem mikrofalowym do Sydney (300 kilometrów), tam przygotowywany do przesłania (strata jakości) do Houston przez satelitę INTELSAT. Na miejscu wyświetlany był na monitorze, przed którym stała... zwykła telewizyjna kamera. Dopiero ona tworzyła obraz (okropna strata jakości), który trafiał do nadawców rozsyłających go (znowu strata) po całym świecie.

Na szczęście w drugiej z australijskich stacji odbiorczych cały przekaz z Księżyca nagrywany był w oryginalnej jakości na taśmy, które następnie zarchiwizowano i przesłano do magazynów agencji w USA. Problem w tym, że nie wiadomo gdzie. Trzy lata temu NASA przyznała się, że nie ma bladego pojęcia, gdzie znajdują się tamte magnetyczne taśmy, i wszczęła ogromne poszukiwania.

Teraz być może przyniosły one efekt. Nieoficjalnie wiadomo, że taśmy wcale nie dotarły do Stanów, lecz utknęły gdzieś w Australii. Ponoć NASA je odnalazła i zamierza ogłosić to w 40. rocznicę lotu. Gdyby to się udało, zobaczylibyśmy znacznie lepszy, wolny od zakłóceń obraz, który dotąd widziała tylko garstka inżynierów.



W telewizji pierwsze kroki człowieka na Księżycu nie wyglądały nawet w połowie tak wyraźnie. Ale Rosjanie i tak musieli je zauważyć

2



FLAGA UPADŁA

Cały sprzęt, który astronauci mieli zabrać na Księżyc, był testowany przez długie miesiące przed startem. Wychwytywa-

no i eliminowano najdrobniejsze jego niedoskonałości, by wszystko przebiegało płynnie. Zasadę złamano tylko w jednym przypadku – amerykańską flagę, która miała stanąć na powierzchni ziemskiego satelity, dorzucono do ładownika w dniu startu. Wynikało to z politycznej dyskusji, czy na neutralnym Księżycu można postawić amerykańską flagę. Ostatecznie zamontowano ją w specjalnym pojemniku umocowanym do drabinki, po której astronauci schodzili z ładownika. Niestety, z niejasnych powodów stelaż, na którym miała wisieć flaga, nie dał się w pełni rozprostować. To dlatego na zdjęciach **flaga** wygląda, jakby falowała na wietrze. Na koniec zdarzyło się najgorsze. Umieszczona ledwie osiem metrów od ładownika flaga przewróciła się podczas jego startu zdmuchnięta przez silniki.



3

KOMUNIA KSIĘŻYCOWA

Buzz Aldrin, praktykujący prezbiterianin, podczas przygotowań do pierwszego wyjścia na powierzchnię Księżyca potajemnie przyjął komunię (składniki przygotował przed startem pastor z jego Kościoła). Było to niezgodne z przepisami NASA, która zmagala się wówczas z procesem wytoczonym przez ateistkę Madalyn Murray O'Hair. Oskarżyła ona agencję o brak neutralności światopoglądowej, po tym jak załoga Apollo 8 czytała z orbity fragmenty Księgi Rodzaju. Ostatecznie sąd najwyższy stwierdził, że jego jurysdykcja nie obejmuje tego obszaru, ale w lipcu 1969 roku sprawa nadal była w toku.

Lot na Księżyc od początku miał być wydarzeniem medialnym. A rodziny astronautów wspólnie oglądające to wydarzenie w telewizji były kolejną okazją do ładnego ujęcia



4

NIEMIEC I V2

Cały lot na Księżyc nie byłby możliwy, gdyby nie Wernher Magnus Maximilian Freiherr von Braun. Członek NSDAP i major SS był głównym projektantem rakiety V2. W maju 1945 roku poddał się wojskom amerykańskim i wraz z innymi uczonymi trafił do USA, gdzie pracował do 1972 roku. To on był twórcą rakiety Saturn V, która wyniosła Apollo 11.



5

UWAŻAJ NA KABEL!

Kamera, która filmowała pierwszy krok człowieka na Księżycu, umieszczona była na zewnątrz ładownika. Jednym z pierwszych zadań Armstronga było zdjęcie jej stamtąd i ustawienie około 20 metrów od ładownika, tak by mogła objąć całą okolicę. Pozwalało to między innymi na obserwowanie zejścia z ładownika Buzza Aldrina i sposobu, w jaki poruszali się astronauci, oraz dokładne umiejscowienie punktów, z których pobierano próbki. Pojawił się jednak pewien problem. Kamerę musiał łączyć z ładownikiem długi przewód. Podczas testów na Ziemi wszystko było w porządku, jednak na Księżycu okazało się, że grawitacja jest zbyt słaba, by powyginany **kabel** leżał równo. Co chwila więc jakaś jego część podnosiła się, grożąc astronautom wywrotką. W zapisie rozmów astronautów można znaleźć okrzyk Aldrina: „Uważaj, Neil, wchodzisz na kabel!”. W skafandrach astronauci mieli ograniczoną widoczność i z trudem mogli dostrzec swoje stopy oraz grunt pod nimi.

W takim stroju lepiej się nie potknąć...

↑

6

KŁOPOTY ZE SŁOWAMI

Jakie były pierwsze słowa wypowiedziane przez człowieka na Księżycu?

Większość ludzi odpowie bez namysłu, że chodzi o zdanie Neila Armstronga: „To mały krok dla człowieka, ale wielki skok dla ludzkości”. To piękne, ale nieprawdziwe. Pierwsze słowa wypowiedział Buzz Aldrin i brzmiały one dość banalnie: „Contact light!”. Padły w 102. godzinie, 45. minucie i 40. sekundzie misji, w momencie gdy czujniki przymocowane do podpór ładownika dotknęły gruntu, a w kabinie zapaliła się sygnalizująca to kontrolka. Potem posypały się inne techniczne określenia, aż wreszcie Armstrong wypowiedział słynne: „Houston, Tranquility Base here. The Eagle has landed”. Natomiast tekst o małych i wielkich krokach wypowiedziano dokładnie sześć i pół godziny po lądowaniu.

7

ROSJANIE SIĘ SPIESZA

Cała wyprawa na Księżyc była elementem propagandowej wojny między USA a ZSRR. Wygrywali w niej Amerykanie, więc Rosjanie postanowili rzutem na taśmę odebrać im nieco chwały. Ich załogowy program kosmiczny okazał się kompletną porażką, mieli jednak doświadczenie w wysyłaniu na Księżyc bezzałogowych sond Luna. Przed Apollo 11 dwie takie sondy wylądowały na powierzchni satelity (choć kilka innych się rozbiło).

Dlatego postanowiono w tajemnicy wysłać sondę Luna 15, która miała wystartować tuż przed startem Apollo 11, szybko polecieć na Księżyc i przed powrotem astronautów dostarczyć na Ziemię próbki księżycowego gruntu, dowodząc, że kosztowne i ryzykowne misje załogowe nie mają sensu.

Wszystko szło dobrze aż do chwili lądowania. 21 lipca, gdy Aldrin i Armstrong już byli na Księżycu, Rosjanie utracili łączność z Luną, która roztrzaskała się o jego powierzchnię. Całą akcję utajniono na długie lata.

Neil Armstrong bez hełmu, ale w czapeczce nazywanej przez astronautów „snoopy”

Gulasz wołowy – dodać gorącą wodę, poczekać parę minut. Pycha!



A7L, czyli kombinezon księżycowy. Tego używał Armstrong

Księżycowa apteczka z zestawem zastrzyków na wypadek mdłości i bólu, środkami nasennymi, antybiotykami

REKLAMA

traffic
CLUB

największa księgarnia
i salon muzyczny
www.traffic-club.pl

Warszawa, ul. Bracka 25
Wrocław, ul. Powstańców Śl. 2-4

8

SPOKOJNIE, NEIL. Już na Księżycu okazało się, że planujący przebieg misji specjaliści nie docenili złożoności zadań, jakie czekały astronautów. Niska grawitacja i niewygodne kombinezony sprawiły, że wszystko trwało dłużej, niż planowano. Astronauci spieszyli się więc bardzo, pędząc od jednego zadania do drugiego. Ponieważ stale monitorowano ich parametry życiowe, lekarze w Houston stwierdzili, że taki wysiłek zaczyna być dla nich niebezpieczny. Zdecydowano więc o przyznaniu dodatkowego czasu na wykonanie zadań, a Neilowi Armstrongowi przekazano umówionym hasłem polecenie, by się uspokoił i wolniej poruszał.



Po wyciągnięciu lądowiska z oceanu (górne zdjęcie) astronautów przekazano do mobilnego pomieszczenia do kwarantanny. Cała załoga spędziła tam tydzień, zanim przeniesiono ją na kolejne dwa tygodnie do laboratorium



9

ZARAZA Z KOSMOSU

W 1963 roku Narodowa Akademia Nauk wydała zalecenie, by podczas planowanych lotów na Księżyc uwzględniono możliwość przywleczenia stamtąd potencjalnie niebezpiecznych mikroorganizmów. NASA wydała więc 250 tysięcy dolarów na przygotowanie czterech Mobile Quarantine Facility (MQF), mocno zmodyfikowanych, pozbawionych kół przyczep kempingowych, w których zainstalowano systemy filtrowania powietrza i wody. Gdy po lądowaniu otworzyła się kłapa kapsuły, do środka wrzucano kombinezony ochronne, w które musieli się ubrać trzej uczestnicy misji. Przetransportowano ich helikopterem na pokład okrętu USS „Hornet”, gdzie powitał ich Richard Nixon. Natychmiast potem zapakowano bohaterów do MQF. Towarzyszyli im lekarz oraz inżynier z NASA.

10

PODEJRZLIWOŚĆ

Sondaż przeprowadzony w 30. rocznicę lądowania na Księżycu wykazał, że sześć procent Amerykanów uważa, iż cała misja była sfingowana. Niektórzy sądzą, że sfilowano ją w studiu, a inni – że astronauta latali tylko wokół Ziemi.



„Wielki skok dla ludzkości” był przyczyną euforii na ulicach – tutaj akurat na Broadwayu



Zebrał Piotr Stanisławski

11

ZBĘDNE POŻEGNANIE

W archiwach waszyngtońskich znajduje się treść przemówienia, jakie miał wygłosić Richard Nixon, gdyby wyprawa na Księżyc się nie powiodła. Gdyby jej najbardziej ryzykowny etap, czyli start z powierzchni satelity, się nie udał, Nixon powiedziałby wówczas: „Zrządzeniem losu ludzie, którzy wyruszyli na Księżyc, by w pokoju go badać, pozostaną na nim, by spocząć w pokoju. Ci dzielni ludzie – Neil Armstrong i Edwin Aldrin – wiedzą, że nie ma już dla nich nadziei na ratunek. Ale wiedzą też, że z ich ofiary płynie nadzieja dla całej ludzkości”.



Czego powinniśmy się bać

Problemy, o których stale rozmawiamy, zwykle są mało niebezpieczne. Bać się trzeba rzeczy, które ignorujemy – wskazuje Simon Briscoe, współautor książki „Panicology”

Nie sypia pan chyba zbyt dobrze.

– Skąd ten pomysł?

Świadomość tylu problemów, które grożą światu...

– No tak. Gdy siedliśmy kiedyś z Hugh Alderseyem-Williamsem i wszystkie je spisaliśmy, wyszło nam ponad sto kwestii, których się boimy lub którym powinniśmy się martwić. W książce zostawiliśmy 42.

„Panicology” to taki przewodnik po tym, czym się martwić, a czym nie. Każdy problem oceniamie w skali od jednego do pięciu pod względem poziomu społecznej paniki, rzeczywistego ryzyka i wpływu, który ma każdy z nas na dany problem.

– Gdy ją napisaliśmy, od razu zacząłem lepiej sypiać. Bo nagle się okazało, że w większości przypadków, które spędzają nam sen z powiek, naprawdę nie ma czego się bać. Z drugiej

strony jednak są problemy, z których nie zdajemy sobie sprawy lub uparcie je ignorujemy.

Dlaczego?

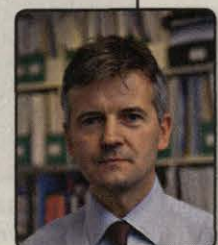
– Bo się o nich nie mówi. A nie mówię, bo po prostu nie są sexy.

Na przykład?

– Chociażby kwestia emerytur i starzenia się społeczeństwa.

Fakt, seksowne to nie jest.

– Ale choć to problem z medialnego punktu widzenia mało porywający, to chyba największa bomba zegarowa, jaka tyka w naszym społeczeństwie – na naszej skali oceniliśmy ryzyko na pięć, podczas gdy zainteresowanie tematem (czyli poziom paniki) jest prawie dwa razy niższe. Gdy równo sto lat temu wprowadzono w Wielkiej Brytanii pierwsze emerytury, mogły je otrzymać tylko osoby po siedemdziesiątce. Teraz ten pułap znacznie się obniżył, zwiększyła się za to długość życia. A emeryci pochłaniają olbrzymią część państwowych pieniędzy.



Simon Briscoe w „Financial Times” jest redaktorem specjalizującym się w statystyce. Ukończył nauki społeczne, przez lata pracował w służbie cywilnej i bankowości inwestycyjnej. „Panicology” traktuje jako element autoterapii

niają olbrzymią część państwowych pieniędzy.

Nie w Polsce.

– To prawda, że należycie do krajów, gdzie odsetek ten jest najniższy, choć i tak w ciągu ostatniej dekady się podniósł. Polska należy do krajów, gdzie na emerytury wydaje się mniej niż 10 procent dochodu narodowego, ale są kraje, takie jak Szwecja, Dania, Francja i Niemcy, gdzie ponad 30 procent dochodu narodowego idzie na świadczenia socjalne.

Jakie inne problemy, o których nie chcemy myśleć?

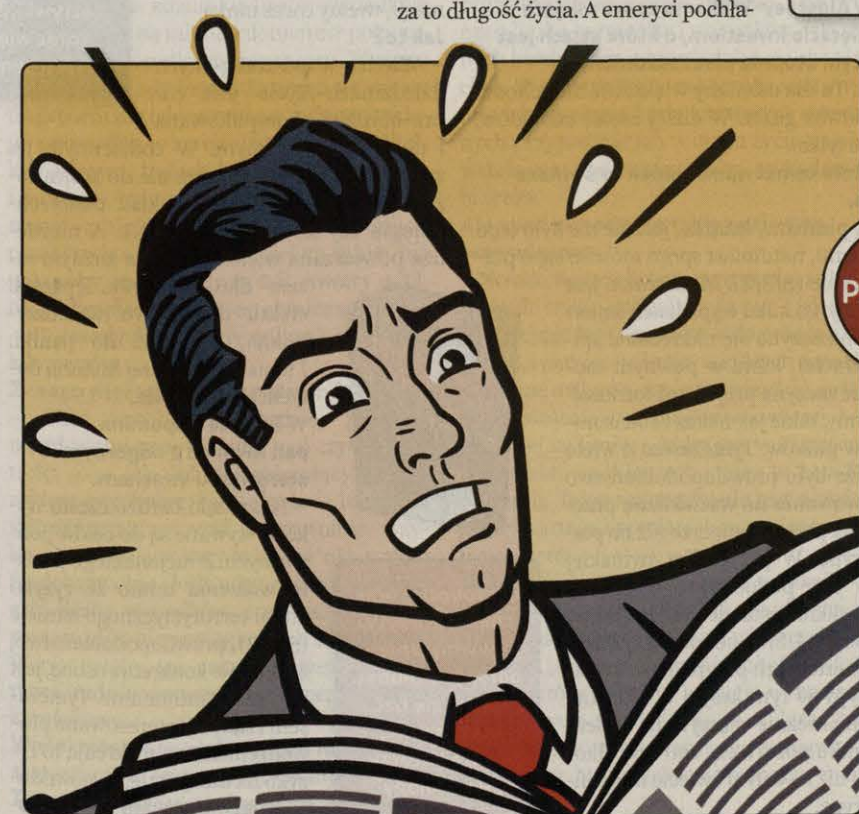
– Bezrobocie lub nisko płatna praca (panika: 2, ryzyko: 5, osobisty wpływ: 2). Ujemny wskaźnik urodzeń (2/5/3). Otyłość (5/3/5). Anomalie pogodowe (4/5/2).

Na ten ostatni temat Anglicy sporo rozmawiają. Ale poruszając pozostałe kwestie, nie zostawia pan duszę towarzystwa.

– Jak będzie pani miała 50 lat, też zacznie się tym martwić. Ja mniej, bo na emeryturę dla mnie jeszcze starczy. Ale ten problem rośnie, więc na pani miejscu nie byłbym specjalnym optymistą. Podobnie jest z pracą (2/5/2). Zanim się pani obejrzy, pani miejsce zajmą o wiele tańsi Chińczycy.

Nie jestem pewna, czy mój naczelny tak chętnie zamieniłby mnie na kogoś, kto włada głównie mandaryńskim.

– Ale na przykład w świecie nauki ekspansja Chińczyków i Hinduśców jest już bardzo zauważalna. Chiny co roku wypuszczają na rynek ponad milion naukowców i inżynierów, a w ciągu kilku lat będą mieli więcej osób z tytułem doktora w tych



PANIKA!

Rozmawiamy o problemach, które są sexy: świńska grypa, atak terrorystyczny czy katastrofy lotnicze, choć tak naprawdę ich ryzyko jest znikome. Tymczasem za plecami tykają nam prawdziwe bomby zegarowe, takie jak coraz większa liczba emerytów.



→ dziedzinach niż Stany Zjednoczone. Pewnie rządy mogłyby częściowo dotować pracę swoich obywateli, lecz przy rosnących kosztach pracy – w tym także tych nieszczęsnych rent i emerytur – jest to coraz trudniejsze.

Z tymi urodzeniami to też chyba nie takie proste. Szczepie powiedział, już się zgubiłam. Czy bardziej mamy się martwić przeludnieniem planety, czy wymieraniem ludzkiego gatunku?

– Jeszcze kilkadziesiąt lat temu w gazetach pojawiały się alarmujące nagłówki o tym, że na świecie jest zbyt dużo ludzi – w końcu od 1950 roku ich liczba się podwoiła, a każdego dnia rodzi się ponad 200 tysięcy osób – i nie wystarczy dla nich naturalnych zasobów, takich jak woda czy paliwo, a także zwiększy się bezrobocie czy zanieczyszczenie środowiska. Dla nas większość tych kwestii brzmi abstrakcyjnie. Jak to? Nie będzie wody? Wolne żarty. Problem polega na tym, że w części miejsc żyje za dużo ludzi, a w innych za mało.

A co z migracjami, które ludzkość zna od zarania dziejów?

– Inwazji imigrantów, jak wskazują badania, boimy się jak mało czego (5/3/1). Świetnie było to widzieć w Wielkiej Brytanii po wejściu Polski i innych krajów do UE i otwarciu dla nas naszego rynku pracy. Podniosły się wtedy protesty, że obcokrajowcy zabierają nam pracę. A prawda dotycząca właściwie wszystkich krajów rozwiniętych jest taka, że ci ludzie zwykle podejmują pracę w zawodach, którymi obywatele danego kraju są mało zainteresowani. Jeśli chodzi o imigrantów, łatwo nastawiać się na najgorsze, bo nie ma pełnych danych dotyczących procesów migracyjnych i motywacji, które kierują co roku trzema milionami ludzi decydującymi się na legalną przeprowadzkę do innego kraju.

Do tego dochodzi jednak cała masa nielegalnych imigrantów.

– To w dużym stopniu mit. W zależności od kraju i czasu nawet 90 procent proszących o azyl go nie dostaje. A w krajach rozwiniętych najwyżej 10 procent imigracji to uchodźcy. To nie tak dużo, jak wynikałoby z alarmujących artykułów w niektórych brytyjskich gazetach.

bakterii MRSA, czyli gronkowca złocistego opornego na metycylinę.

– W Wielkiej Brytanii liczba śmiertelnych ofiar tej bakterii, opornej na część antybiotyków, wzrosła w ciągu 10 lat 15-krotnie. Rocznie w Anglii i Walii umiera na nią blisko półtora tysiąca osób. Zakażenie następuje zwykle w szpitalu, w którym nie jest zachowana odpowiednia higiena. Nie wiem właściwie, dlaczego media poświęcają MRSA stosunkowo mało miejsca (3/5/2), bo to naprawdę ważna i bliska każdemu sprawa. No i jak łatwo stworzyć sensacyjny nagłówek: „Pacjenci umierają, bo leżą w szpitalach” albo coś takiego.

W „Panicology” pan i współautor książki Hugh Aldersey-Williams sporo miejsca poświęca kwestiom, o które strach jest w dużym stopniu nieuzasadniony.

– Tak. Tu dla odmiany większość nie schodzi z czołówek gazet. W dużej części tabloidów, ale nie tylko.

Ostatnie tematy numer jeden to świąska grypa.

– Gdy pisaliśmy książkę, jeszcze nie było tego problemu, natomiast sporo mówiło się o ptasiej grypie (5/3/2). Mechanizm jest podobny. Po kilku wypadkach śmiertelnych zaczyna się nakręcanie spirali strachu, która w pewnym momencie zaczyna przybierać kuriozalne formy, takie jak nakaz zabicia milionów ptaków. Tymczasem o wiele większe było prawdopodobieństwo zachorowania na wściekliznę przenoszoną przez nietoperze niż na ptasią gripę. W przypadku świąskiej grypy jest podobnie – wystarczy na przykład zestawienie liczby ofiar tej choroby w USA z ponad 30 tysiącami śmiertelnych przypadków zwykłej grypy w tym kraju. W Wielkiej Brytanii rocznie więcej ludzi umiera w wyniku pożaru czy zatrucia alkoholem niż na całym świecie na świąską gripę.

Z czego więc wynikają nasze nieracjonalne strachy?

– Przede wszystkim kochamy się bać. Ale dużą rolę w kreowaniu paniki odgrywają media. Ludzie nie korzystają już z nich jako ze źródła informacji, ale rozrywki, więc dziennikarze produkują newsy, które potem ktoś będzie na przykład chciał kliknąć w Internecie. Sensacyjność jest więc nieunikniona. Poza tym coraz szybszy jest przepływ informacji. Gdyby epidemia świąskiej grypy wybuchła w Meksyku 20 lat temu, po drugiej stronie Atlantyku pies z kulawą nogą by się nią nie zainteresował. A teraz wystarczy chwila, by wiadomość o jakimś wydarzeniu ukazała się na czerwonym pasku już nie tylko w telewizjach informacyjnych. Paradoksalnie jednak choć mamy coraz więcej informacji, wiemy coraz mniej.

Jak to?

– Wiedza w poszczególnych dziedzinach życia jest coraz bardziej skomplikowana i dostępna nielicznym. W codziennym języku używamy pojęć, które nie do końca rozumiemy, takie jak na przykład nanotechnologia czy kod wirusa AH1N1. A niewiedza powtarzana wielokrotnie, za każdym razem dla uzyskania lepszego efektu dodatkowo wyolbrzymiana, prowadzi do paniki. I to na skalę, której historia dotychczas nie znała.

W książce wspomina pan również o odgórnym sterowaniu strachem.

– Nasze lęki bardzo często wykorzystywane są do celów politycznych. Z racjonalnego punktu widzenia mimo że ryzyko ataku terrorystycznego istnieje (5/3/2), prawdopodobieństwo, że dotknie konkretną osobę, jest naprawdę minimalne. Tymczasem rządy zainteresowane prowadzeniem wojny kreują to ryzyko na dużą skalę, co powoduje, że według badań 94–97 pro-

Media nie są już źródłem informacji, ale rozrywką. Stąd coraz więcej w nich sensacji



Bezrobocie, brak seksu, kredyty, wymieranie dorsza, ufoludki. Czego się bać, a czego nie, radzą autorzy „Panicology”

cent Amerykanów i Europejczyków jest przekonanych, że atak terrorystyczny to istotne zagrożenie. Oczywiście ryzyko istnieje, ale gdy zestawimy liczbę brytyjskich ofiar terroryzmu (2) z ofiarami wypadków drogowych (3000), różnego rodzaju upadków (3000) czy utonięć (200), to mamy właściwe proporcje. Statystycznie łatwiej jest nawet zginąć od pogryzienia przez szczury.

Z podobnych powodów co strach przed terroryzmem bierze się też lęk przed lataniem. Przecież nie jest spowodowany tylko tym, że nie dowierzamy, jak to możliwe, że w powietrzu utrzymują się takie tony żelastwa.

– Dla wielu ludzi lot samolotem to powód do strachu. Ale prawda jest taka, że to najbezpieczniejszy środek transportu, podobnie jak kolej. Bezpieczeństwo ocenia się na podstawie stosunku liczby wypadków śmiertelnych na milion kilometrów pokonanych danym środkiem transportu. W ciągu ostatniej dekady brytyjski urząd do spraw transportu nie odnotował ani jednego takiego przypadku w zarejestrowanych w Wielkiej Brytanii liniach lotniczych. Autobusy i autokary były odpowiedzialne za śmierć statystycznie 0,3 osoby na każdy milion przebytych kilometrów, kolej za mniej niż pół osoby, samochody za 2,8, rowery – 38. Najniebezpieczniejsze jest chodzenie pieszo – 49 zmarłych na każdy milion przebytych kilometrów.

Z czego więc wynika nasz strach?

– Choć jesteśmy najbardziej zagrożeni, gdy sami przejmujemy nad czymś kontrolę, to – jak obliczył zajmujący się ryzykiem psycholog Paul Slovic – ludzie są skłonni zaakceptować dobrowolnie ryzyko około tysiąca razy większe niż ryzyko niedobrowolne. Jeśli więc chcemy zmniejszyć liczbę wypadków, powinniśmy poruszać się głównie pociągami lub samolotem. Warto byłoby też zakazać przechodzenia przez jezdnię rozmawiającym przez telefon komórkowy.

Wielokrotnie powołuje się pan na dane statystyczne. Jest pan w „Financial Times” redaktorem odpowiedzialnym

za statystyki, więc chyba zdaje pan sobie sprawę, jak często są one manipulowane.

– To prawda. Każdego dnia przychodzi do naszej redakcji przynajmniej kilka e-maili z wynikami mniej lub bardziej przełomowych badań statystycznych. Tylko niewielka część z nich jest wiarygodna i nadaje się do publikacji. Większość finansowana jest przez grupy interesu, takie jak prywatne grupy polityczne, a nawet organizacje dobroczynne. Bo jeśli one inspirują badania, mają w tym swój konkretny cel. Dlatego dla pełnego obrazu zawsze należy czytać to, co obok atrakcyjnie wyglądającego wykresu napisane jest małymi literami. Można w ten sposób uniknąć kilku nieporozumień, na przykład dotyczących idealnych kochanków.

Że niby nie Francuzi?

– No właśnie. Proszę spojrzeć jednak, jak proporcje w słynnych ankietach Dureksa rozkładają się na przestrzeni lat. W 2002 roku Francuzi uprawiali seks średnio 167 razy w roku, Brytyjczycy 149. Pięć lat wcześniej – odpowiednio 141 i 112. A w 2005 roku liczby te spadły do 120 i 118. Uważa pani, że to możliwe, by na przestrzeni kilku lat preferencje tak radykalnie się zmieniły? Albo że Chińczycy w ciągu zaledwie dwóch lat zmienili się z najwierniejszych w najbardziej rozwiązłych kochanków? To mało prawdopodobne.

Co więc sprawia, że tak się dzieje?

– Choć Durex chwali się, że ankietę przeprowadza na dużej, kilkusetosobowej grupie osób, to jednak nie wspomina już, że przeprowadza badania przez Internet, a na pytania o liczbę partnerów i stosunków seksualnych każdy może odpowiedzieć, co chce i ile chce. W praktyce więc ma to taką samą wartość jak ocenianie liczby partnerów seksualnych przypadających w ciągu życia na obywatela na podstawie liczby sprzedanych bidetów.

Ale sami piszecie, że takie analizy są prowadzone.

– No tak, są tacy, którzy utrzymują, że bidet służy do mycia genitaliów (a nie – jak sądzi spora część Brytyjczyków – do prania skarpetek), i patrząc na kraje, w których sprzedają się one najlepiej, można stwierdzić, że tam ludzie zmieniają partnerów najczęściej. A teraz kolej na liczby – bidet jest w 71 procentach toalet we Włoszech i tylko w 2 na 100 w Anglii. Takie rozumowanie jest niewiele mniej wartościowe niż powierzchowna, internetowa ankieta.

OK, ale co to ma wspólnego z paniką?

– No jak to co? Strach przed nieudanym życiem seksualnym to jeden z większych problemów, jakie ma obecnie ludzkość (4/2/5). Firmy, które robią te ankiety, wyznaczają wzorce życia seksualnego, a ci, którzy nie mogą im sprostać, narażają się na naprawdę spory stres. Na szczęście na to mamy wpływ na piątkę.

Już 23 lipca w „Przekroju” weekendowe trasy po...

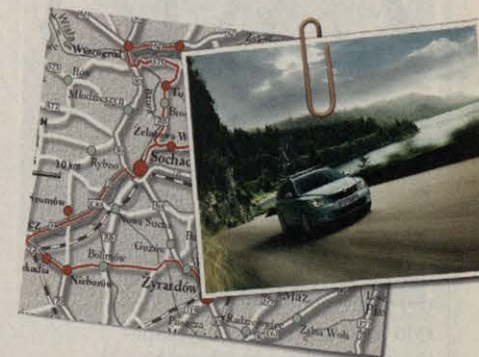
Mazowszu

„Przekrój” z przewodnikiem tylko 5,00 zł



Ostatnia część serii: Pomorze

– już 30 lipca z „Przekrojem”



PRZEKROJ

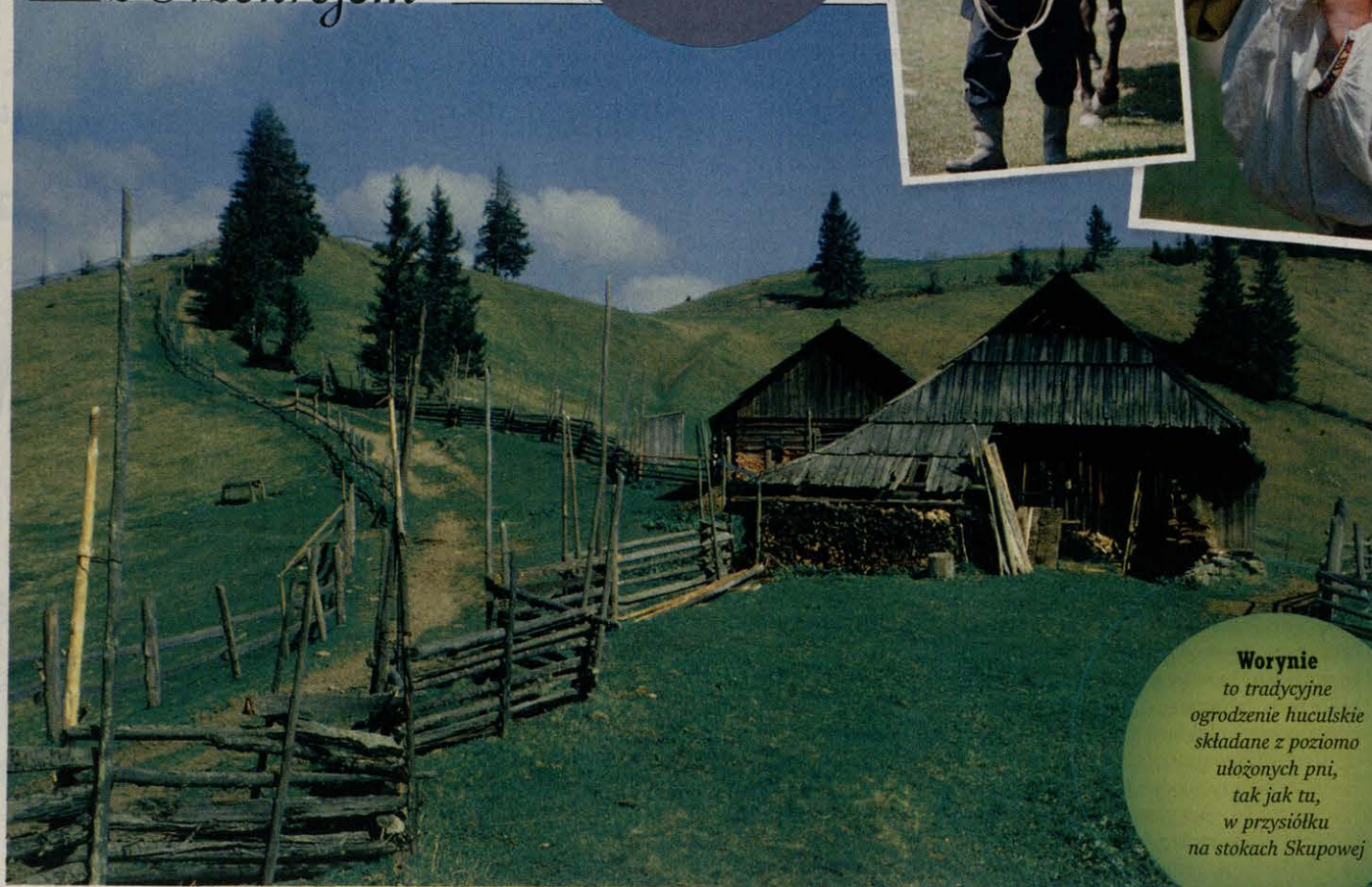
najlepszy w środku

przekrój.pl

WAKACJE

z Przekrojem

Huculi są wciąż w ruchu. Nic dziwnego – gospodarstwa budowane są tak daleko od siebie, że po jednej wsi wędruje się godzinami



Worynie to tradycyjne ogrodzenie huculskie składane z poziomo ułożonych pni, tak jak tu, w przysiółku na stokach Skupowej

HUCULSZCZYŻNA ANNA SZULC

Z wizytą u czarownicy

GDY PO RAZ PIERWSZY DOTARŁAM na Huculszczyżnę, poczułam się jak przybysz z obcej planety. Już sam urozmaicony wieloma przesiadkami dojazd do **Karpat Wschodnich** (przypominających dawne, nieoswojone Bieszczady) wymaga wysiłku, przy którym wędrówki międzyplanetarne to bułka z masłem. Największa przygoda zaczyna się, gdy środkiem komunikacji publicznej – samochód ze względu na stan dróg zdecydowanie odradzam – uda nam się dojechać z Przemyśla lub Lwowa do Iwano-Frankowska. Tam wystarczy przesiąść się do pękającego

150 KILOMETRÓW OD POLSKIEJ GRANICY JEST KRAINA, DO KTÓREJ CAŁKIEM NIEDAWNO OBCY MIELI ZAKAZ WSTĘPU. ZAKAZU JUŻ NIE MA, ALE W ŚWIECIE, W KTÓRYM POD JEDNYM DACHEM ŻYJĄ PASTERZ, CZAROWNICA, JAK TEŻ ZASTĘPY STRYG I WAMPIRÓW, OBCY MOŻE CZASEM POCZUĆ SIĘ NIESWOJO

od ludzi i tobołów autobusu do Krzyworówni bądź do sąsiadującej z nią **Werchowiny**.

W autobusie kierowca z petem w ustach upchnie obok nas sklepikarza z siedmioma workami mąki, emeryta z sześcioma beczkami żentycy, gospodynię z trzema żółtymi kokoszkami w koszyku i gospodarza z jednym różowym prosiakiem. Od czasu do czasu pod większą górką, a **górek jest sporo**, całe nasze towarzystwo będzie musiało opuścić trzeszczący autobus, by wspólnymi siłami (nie licząc kokoski i prosiaka) popchnąć go po werstepach, o jakich nawet zaprawionym w bojach

z drogami Polakom dotąd się nie śniło. Warto jednak się poświęcić, bo istnieje duże prawdopodobieństwo, że w autobusie nauczymy się nowej gry w karty i posmakujemy miejscowych pieśni okraszonych samogonem i tytoniem. Co w konsekwencji może oznaczać niezły odlot, ale Huculom się nie odmawia.

W podróży również najemy się – na tak zwany krzywy ryj – suszonej ryby, prażonego słonecznika i najlepszych na świecie kiszonych warzyw. A gdy będziemy mieć więcej szczęścia, skosztujemy kukurydzianej specjalności regionu, czyli **kuleszy**.

Może też się zdarzyć, że poznamy w autobusie pewną Mariję z Krzyworówni, żonę pasterza, która zaprosi nas do siebie do domu. Zostaniemy u niej tydzień. Za gościnę nie zapłacimy ani kopiejki, za to wydamy sporo środków płatniczych na wróżby i zaklęcia, bo Marija okaże się **czarownicą**.

Musimy też przygotować się na inne wydatki, czyli kolejne butelki samogonu, bez których huculskie, pełne śpiewu, tańca i muzyki wieczory obejść się nie mogą. Warto jednak wspomnieć, że na Huculszczyżnie wszystko jest tanie jak huculski barszcz z buraków pastewnych, którym też została poczęstowana. I żyję.

Oszołomieni używkami, dziwnym górzystym krajobrazem i zaklęciami dowiemy się w końcu, że jesteśmy w miejscu, w którym nie ma znanej nam Europy. Gdzie jest sporo biedy, ale biedy niestraszy, raczej wręcz śmiejącej się z siebie. Gdzie zdarzają się domy oświetlane naftą, gdzie wyrabia się cudowny **owczy ser** bez certyfikatów, gdzie nikt nikogo nie napada, nie okrada, gdzie nie ma krat, kłódek i napisów „obiekt chroniony”. Gdzie choć wokół wilków, a nawet niedźwiedzi jest sporo, to człowiek człowiekowi nie wilkiem jest, lecz gościem i przyjacielem.

Co prawda przyjaźń z Huculami to relacja wypracowana w pocie czoła. Do domu Marii wąską, kamienistą ścieżką wspinałam się dwie godziny. Górale z tej części Karpat po prostu **lubią mieszkać wysoko**, daleko od zgiełku szos. To nie znaczy, że całkiem unikają towarzystwa. Bywa, że dziś zapraszają się do siebie już za pomocą telefonów komórkowych. Ale zdarza się, że nawołują się, zwłaszcza w porze świąt, **trembitami**: długimi, nawet czterometrowymi rurami-piszczalkami. – A gdy trembit nie ma, jest jeszcze telepatia – zapewnia Marija.

W nielicznych przewodnikach po zachodniej Ukrainie można przeczytać, że na wyjątkowość tej pasterskiej, archaicznej krainy wpływ miało wielowiekowe odcięcie od reszty kontynentu, od jego zdobyczy cywilizacyjnych, innymi słowy – od postępu.

Nie jest jednak tak, że Europa nigdy nie interesowała się Huculszczyżną. Mieszkańcy ziemi

leżącej u stóp dzikiej i pięknej Czarnohory byli poddani wieloletni, także polskich. Ich hardych dusz nie był jednak w stanie zniewolić nawet Związek Radziecki, choć to właśnie komuniści najbardziej dali się Huculom we znaki. Tysiące niepokornych pasterzy trafiły na pewną śmierć do gulagów, a odgórnym nakazem Hu-

o magię oskarżył ją... szef miejscowej organizacji partyjnej.

Marija twierdzi, że magia Huculów zaczyna się w górach i tworzy właśnie przez góry. W górach, daleko od szlaków miejscowa czarownica pokazała mi **pustelnicze chaty** odpędzających chmury mędrców, jasnowidzów i takich jak ona czarowników.



W okolicach Werchowiny łatwo zrozumieć, dlaczego w tej krainie wciąż bywają czarownice lub strzygi

culszczyżnę – ze względu na jej niebezpieczne wierzenia i zwyczaje – zamknięto w czasach stalinowskich przed turystami. Jeszcze w latach 70. w kołchozie odbył się **sąd nad czarownicą**: kiedy okazało się, że krowy, którym opiekuje się pewna Huculka, dają mniej mleka, niż zakładał plan, kobietę wezwano na przesłuchanie, podczas którego

Ale nie tylko szamani żyją w tej części Karpat w symbiozie z duchami. Na wigilijną wieczór Huculi oprócz zmarłych przodków spraszają też czorta. Przed złymi mocami chronią się nalewkami na ziołach zbieranych w noc kupały. Do dziś Huculka nie zapomni zamknąć na noc obory, by nie przedarła się do niej ja-

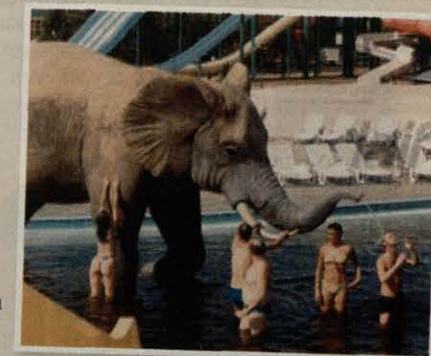
kaś **strzyga**. No, chyba że jak Marija sama jest czarownicą, więc strzygi, czarty oraz wampiry, ale też przybysze z Polski, wpadają do niej, choć czasem czują się dziwnie i nieswojo. Ci ostatni robią to coraz częściej, bo choć to miejsce nieeuropejskie, to najbardziej w Europie prawdziwe. □

W TYM TYGODNIU Z URLOPU POZDRAWIA PAWEŁ WIECZOREK

Jó napot kívánok*

MUSISZ SKAKAĆ W MIEJSCU, BO JEŚLI FALA CIĘ PONIESIE, uderzysz w jedną z dziesiątek osób, które też zmagają się z rozszalałym żywiołem. Woda uderza w piersi, zalewa głowy. Gdy fale zostaną wyłączone, wychodzimy z basenu, prychając i szukając swoich kłapek. Mańka i Jasiek już je znalazły. Biegną do basenu, w którym woda jest na tyle ciepła, że nie opuszczają go przez trzy godziny, i na tyle chłodna, że nie czują się jak kalafiory w garnku (basenów jest kilkanaście, w każdym inna temperatura). Gdy dzieciom znudzi się nurkowanie, a nam trzymanie ich na plecach (bo do dna nogami nie sięgną), pobiegą do betonowego słonia. Wyspa nudystów ich nie pociąga. Nieduże Hajdúszöboszló z wielkim aquaparkiem leży 300 kilometrów od polskiej granicy, we wschodnich Węgrzech. Leży to dobre słowo, bo trudno o coś bardziej płaskiego niż równina wokół. Sterczą na niej wielkie zjeżdżalnie aquaparku – szaleństwo dla dzieci i kondycyjne wyzwanie dla rodziców. A ta czarna rura to prawdziwa czeluść. Zjeżdżam. Zanim wpadnę w panikę, plusnę w wodę.

Paweł



Redakcja „Przekroju”
ul. Wiejska 19
00-780 Warszawa

* Dzień dobry po węgiersku

ZJAWISKO KAROLINA PASTERNAK

ZANIM PRZEJDZIEMY DO „BRÜNA”, A RACZEJ DO tego, jak pod przykrywką naprawy świata zarabia się dziś w rozrywce miliony dolarów, chcę, żebyście przenieśli się na moment do Głodu, niewielkiej cygańskiej miejscowości w Rumunii. Pomoże nam w tym świetny dokument „Carmen i Borat” pokazywany w tym roku na Planete Doc Review, a że nie ma go jeszcze w dystrybucji, musi wystarczyć mój opis.

Głód to wioska, którą przed czterema laty odwiedził z ekipą filmową Sacha Baron Cohen. Od kiedy odszedł, zostawiając tych, którzy dali się wkręcić w udział w „Boracie”, z kilkoma dolarami w kieszeni, pozornie niewiele się zmieniło. Nad rzeką nadal zalegają śmieci, uczeni ludzie pracują, pijackowie przesiadują w miejscowej spelunie, droga jest pełna wybojów, domy w ruinie, a po wodę do kąpieli nawet ci lepiej sytuowani wciąż biegają do studni. Jedyne, co nie jest już takie jak przedtem, to stosunki między ludźmi. Jakis czas po premierze „Borata”, a więc wtedy, gdy mieszkańcy Głodu wiedzieli już, że za ich plecami przedstawiono ich światu jako Kazachów, którzy urządzają pogonę za Żydem i sypiają z rodzinami i zwierzętami, do wioski przybyli prawnicy z Ameryki. „Jeżeli wytoczą Cohenowi proces, możecie dostać 30 milionów dolarów odszkodowania” – powiedzieli. Ojciec i dziadek tytułowej bohaterki dokumentu – nastolatki imieniem Carmen – polecieli więc do Londynu i za namową prawników udali się

na rozmowy do 20th Century Fox, producenta filmu. Narazając się, niestety, po raz kolejny na śmiech i kpiny zamożnych Europejczyków. W tanich garniturach, na tle ekskluzywnych wnętrz siedzący medialnego magnata wyglądali jak zwykli włóczędzy.

Pupą w uprzedzenia

Podczas gdy mieszkańcy Głodu wciąż żałują 30 milionów dolarów, które przeszły im koło nosa, Sacha Baron Cohen właśnie zarobił kolejne 20. Tyle zapłacił mu Universal za następny po „Boracie” film kinowy „Brüno: Przepyszne podróże po Ameryce celem stworzenia heteroseksualnego mężczyzny”,

NA EKRANY WCHODZI „BRÜNO”, A WRAZ Z NIM POWRACA **SPECJALISTA OD WKREĆANIA LUDZI** SACHA BARON COHEN. ZANIM WYDADZIE PIENIĄDZE NA BILET DO KINA, ZASTANÓWCIE SIĘ, CZY I WY NIE JESTEŚCIE WKREĆANI

JAK OSZUKAĆ MILIONY I ZAROBIC MILIONY SACHA BARON COHEN

→ W tym tygodniu:

ZACHWYCAMY SIĘ AWANGARDOWYM KINEM WE WROCŁAWIU, ALE TAŃCZYMY WYŁĄCZNIE PRZY MUZYCE RETRO. A POZA TYM KRADNIEMY TYTUŁ PEWNEJ RECENZJI

który 10 lipca wchodzi na polskie ekrany. Rzecz opowiada o – w założeniu – zabawnych perypetiach znanego już fanom Cohena (gdy pojawiał się w jego „Da Ali G Show”) austriackiego geja, z zawodu dziennikarza specjalizującego się w modzie.

Wytwórnia, tak jak wcześniej 20th Century Fox, stanowczo odżegnuje się od traktowania „Brüna” wyłącznie jako komedii. – Sięgamy po prowokacyjne metody, by rzucić światło na różne rodzaje nietolerancji i ignorancji, w szczególności homofobii – tłumaczą w specjalnym, śmiertelnie poważnym oświadczeniu dla mediów przedstawiciele Universalu. – Stwarzając radykalne sytuacje, zmuszamy zarówno ludzi, którzy spotkali Brüna, jak i samych widzów do zmierzania się z własnymi uprzedzeniami i stereotypami – czytamy dalej.

Prawda jest jednak taka, że to, co do tej pory zaserwował nam w licznych akcjach promocyjnych „Brüna” Sacha Baron Cohen, zmuszało co najwyżej do zmierzania się z widokiem jego pupy i sztucznych genitaliów. Nagi tyłek zaprezentował podczas wręczenia nagród MTV Music Awards, gdy wznosił się na linach ponad widownię, zamiast na scenie wylądował na głowie Eminema (jak się później okazało, akcja oczywiście była wyreżyserowana), a męskie klejnoty – element stroju a to byka (Madryt), a to moherowego pluszaka (Berlin) – na premierach filmu w kolejnych metropoliach.

Ale nawet w rzucanych na premierach dowcipach Cohenowi nie chodzi wcale o wyśmianie homofobii, lecz o spełnienie oczekiwań rozradowanej widowni, do której akurat przemawia. Na premierze w Londynie ubrany w wersję „mini” stroju gwardzisty Jego Królewskiej Mości kpił oczywiście ze skostniałej brytyjskiej tradycji („Kto zaprojektował te niedorzeczne uniformy? Nic dziwnego, że straciliście imperium”), a na australijskiej spóźnił →

W drapieżnej kampanii promocyjnej „Brüna”, kolejnej komedii Sachy Barona Cohena, rolę pierwszoplanową grała jego pupa

→ się na konferencję prasową, tłumacząc, że przeciągnęło mu się śniadanie w łóżku z premierem Kevinem Ruddem.

Jeśli te chwytły naprawdę służą jakimś walce, to chyba tylko tej o miejsce filmu w box office'ach.

Zagraj to jeszcze raz, Sacha

Powody tej intensywniej i wyjątkowo agresywnej kampanii promocyjnej „Brüna” są banalne. O ile kręcąc „Borata”, twórcy nie mieli jeszcze wielkich finansowych ambicji, o tyle obecne sięgają nieba. Universal chce jak najszybciej odrobić 40 milionów dolarów, które wydał na odkupienie praw do filmu od 20th Century Fox. A zapłacił tę niemałą kwotę nie po to, by uczynić świat lepszym, ale żeby powtórzyć sukces „Borata”, który wyprodukowany za zaledwie 18 milionów dolarów przyniósł Foksowi niemal 300 milionów zysku. I to małym kosztem.

W Hollywood minimalny budżet promocji letniej komedii wynosi 40 milionów dolarów. Jednak Universal wydał tyle łącznie na produkcję i kampanię reklamową „Brüna”. Ciężar promocji z tradycyjnych metod – billboardów i spotów w telewizji (których emisja i tak musiałaby być ograniczona, bo film w większości krajów ma oznaczenie „tylko dla dorosłych”) – przeniósł na chwytliwy niestandardowy. Takie, które już sprawdziły się przy „Boracie”. Brüno ma swoje konta na portalu MySpace i Facebooku, a w Polsce także na Naszej-Klasie.

Korzystając z tożsamości austriackiego geja, Cohen promuje się zresztą nie tylko w świecie wirtualnym, ale także w realu. Jako Brüno pokazuje się w publicznych miejscach (będąc chodzącą rekla-

mą filmu), udziela prasowych i telewizyjnych wywiadów (co z powodzeniem rekompensuje niewielką liczbę spotów), a ostatnio pojawił się nawet w roli znawcy mody na okładce brytyjskiego wydania „Marie Claire”, komentując dla pisma styl Pink, Madonny i Naomi Campbell (swoją drogą, wejście w pro-

Sacha Baron Cohen stał się narzędziem w rękach desperacko walczącej o zyski wytwórni

mocny układ z pismem dla kobiet to ciekawy sposób na walkę ze stereotypami, nieprawdą?).

Po podobne chwytliwy sięga także Monolith, rodzimy dystrybutor filmu. Najpierw ogłoszony został casting na polskie dziecko Brüna (było to oczywiście nawiązanie do filmu, gdzie bohater tak jak Angelina Jolie i Madonna adoptuje czarnoskórego niemowlaka, który przylatuje do niego z Afryki... w bagażu), który dostarczył raczej argumentów przeciwnikom gejowskich rodzin, a nie – jak chcieliby autorzy – wątków do dyskusji.

Na niespełna miesiąc przed premierą zaangażowano zaś w promocję Gracjana Roztockiego, gwiazdora Interne-

tu, który zasłynął zasypywaniem sieci nagimi zdjęciami i filmami. – Gracjan tak jak Brüno jest postacią popularną i kontrowersyjną – tłumaczy „Przekroju” decyzję firmy Anna Sanocka, brand manager Monolithu. O zaburzeniach osobowości, które można dostrzec w zachowaniu Roztockiego, nawet nie posiadając dyplomu z psychiatrii, nie pada, niestety, ani słowo. A szkoda. Bo może wtedy potencjalni widzowie spojrzeliby na zalewające się plakaty, na których obok oryginalnego pojawia się „polski Brüno”, nie z rozbarwieniem, ale raczej z zażenowaniem?

Naga prowokacja

To, że Cohen stał się narzędziem w rękach desperacko walczącej o zyski wytwórni, widać też po coraz mniej zabawnych metodach, jakimi wciąga ludzi do produkcji. W zagranicznej prasie od tygodni co rusz któryś z nieświadomych bohaterów „Brüna” opowiada o tym, jak został zmanipulowany.

Żeby sprowokować Rona Paula, byłego republikańskiego kandydata na prezydenta, do nazwania go „dziwakiem”, Cohen na planie rozebrał się do majtek. Z kolei hollywoodzkiemu stylistyście Danielowi Di Criscio Cohen najpierw kazał czekać półtorej godziny na wywiad, a później przez kolejne dwie maglował go serią pytań w stylu: „Kim jesteś?”, „Czym jesteś?”, „Gdzie jesteś?”. Gdy ten skończony nie wiedział już, co odpowiedzieć, Cohen zasugerował, że najlepiej, jeśli powie, że jest „Mesjaszem odnowy wizerunku”, bo tak zatytułowany będzie odcinek o nim. Co też Di Criscio uczynił. Czy się skompromitował? Oczywiście. W dodatku dla kilku marnych minut promocji. Ale czy na tegorocznej gali MTV Music Awards Sacha Baron Cohen nie zrobił dokładnie tego samego?

Te metody nie budziłyby pewnie takiego oburzenia, gdyby faktycznie przynosiły wymierne efekty, prowokowały dyskusję, a nie tylko gromki śmiech w kinie. A że mogłyby, pokazuje przykład Yes Menów Andy’ego Bichlbauma i Mike’a Bonanna, dwóch filmowców alterglobalistów, którzy tak samo jak Cohen są mistrzami wkrętu. Wykorzystują fałszywe tożsamości (byli już między innymi rzecznikami Światowej Organizacji Handlu i McDonald’sa), by wdziarać się na globalistyczne mityngi i konferencje i wygłaszać tam absurdalne referaty, za które, o dziwo, zamiast gwiazdami najczęściej są nagradzani brawami. Tak było, gdy problem głodu na świecie proponowali rozwiązać recyklingiem hamburgerów, czyli przerabianiem odpadów konsumenckich na nowe kanapki, i gdy demokrację amerykańską chcie-

li zastąpić „wolnorynkową”, czyli taką, w której władzę zdobywałoby się, po prostu kupując głosy od obywateli. Podczas jednej z ostatnich akcji udało im się nawet doprowadzić do poważnych finansowych problemów firmę Dow Chemical, która migłała się przed wzięciem odpowiedzialności za spowodowaną przed 20 laty tragedię w Bhopalu (zginęło w niej 3 tysiące



Brüno lubi obnażać. Głównie innych. Premiera w Amsterdamie

osób, a 15 tysięcy zostało rannych). Jeden z Yes Menów, podając się za rzecznika koncernu, wziął udział w emitowanym na żywo programie BBC, w którym oświadczył, że Dow Chemical zrozumiał swój błąd i po latach zwłoki ma zamiar wypłacić ofiarom odszkodowania. Wartość akcji koncernu w ciągu zaledwie paru godzin drastycznie spadła.

Ambicje i alibi

Yes Meni filmują swoje poczynania, które – choć są równie śmieszne jak te Sachy Barona Cohena – zna zaledwie garstka ludzi. Szkoda im czasu i pieniędzy na promocję. W końcu funduszy nie dostają z kieszeni bogatego producenta, lecz głównie od innych alterglobalistów. Co zabawne, w przeciwieństwie do „Borata” i „Brüna” dokumenty Bichlbauma i Bonanna jeszcze nie sprowokowały nikogo do złożenia pozwu w sądzie. Choć wielokrotnie łamali w nich prawo, nigdy nie upokarzali ludzi przed kamerą.

Jest też między Yes Menami a Cohenem jeszcze jedna istotna różnica. To, co dla nich jest życiową ambicją, czyli prowokowanie do myślenia i dyskusji, dla brytyjskiego komika jest tylko alibi, genialną wymówką.

To oczywiście, że łatwiej kupić sobie sympatię tłumy, mówiąc o walce z uprzedzeniami i ignorancją niż o kasie oraz parciu na sławę. Od słów jest, niestety, bardzo daleko do czynów.



Chilli ZET
Nowe radio
w Polsce w pogoni
za kulturą
www.chillizet.pl



Czwarta strona kultury

BARTEK CHACIŃSKI

Dlaczego rok 1969 był lepszy od roku 2009, czyli bardzo stronniczy przegląd wydarzeń

Kategoria: Kosmos

1969. Jesteśmy na Księżycu. No, dobra, Amerykanie są. Ale cały świat bardzo się tym przejmie. 2009. Zaraz, gdzie my właściwie jesteśmy? Pięć lat temu George Bush zapowiedział, że USA wznowią misję załogową na Księżyc do roku 2020. Dziś jesteśmy w lesie, czym przejmie się mało kto. Po wpisaniu słowa moon (księżyc) w wyszukiwarkę Google otrzymamy dwa razy mniej odpowiedzi niż po wpisaniu słowa iPhone.

Kategoria: Muzyka

1969. Przed lądowaniem misji Apollo 11 David Bowie wydał „Space Oddity” („Kosmiczną osobliwość”), wspaniałą piosenkę o zaginięciu wyprawionego w kosmos astronauty zaczynającą się od słów: „Tu kontrola lotów do majora Toma”. 2009. Na zbliżającym się festiwalu TVP w Sopocie gwiazdą będzie Shaun Baker. Też osobliwość kosmiczna (zdjęcie obok), znana z piosenki „Hey hi hello!”.

Kategoria: Narkotyki

1969. Właśnie zdelegalizowano LSD, ale wciąż łatwo dostępna (i legalna) w krajach Zachodu jest amfetamina, można też bez konfliktu z wymiarem sprawiedliwości kupować i zażywać MDMA znaną później jako ekstazy (patrz tekst s. 42).

2009. Narkobiznes napędza świat przestępczy, a polscy posłowie dodają kilkanaście kolejnych substancji na listę zakazanych. Większość krajów europejskich zakazała palenia papierosów we wszystkich pomieszczeniach zamkniętych poza własnym domem.

Kategoria: Komputery

1969. Powstaje ARPANET – przapród Internetu, pierwsza światowa sieć komputerowa oparta na protokole TCP/IP. Pierwszy komunikat miał brzmieć: „Login”, ale po przesłaniu dwóch pierwszych liter sieć się zawiesiła.

2009. Pojawia się Bing.com – konkurencja dla Google’a na rynku wyszukiwarek. Szybko zdobywa zwolenników, a jedną z pierwszych jej cech dostrzeżonych przez internautów jest łatwe wyszukiwanie pornografii.

Kategoria: Lotnictwo

1969. W Tuluzie odbywa się pierwszy próbný lot świeżo wybudowanego concorde’a, najsłynniejszego ponadźwiękowego samolotu na świecie. 2009. Na świecie są dwie dopuszczone do lotów maszyny typu concorde, nie odbywają jednak lotów. Nie ma innych ponadźwiękowych maszyn pasażerskich.

Kategorie: Telewizja

1969. Na ekranie brytyjskiej BBC debiutuje program „Monty Python Flying Circus” z Johnem Cleese’em w obsadzie. W tym samym roku amerykański aktor komediowy Danny DeVito stawia pierwsze kroki w filmie „Dreams of Glass”.

2009. Na polskich ekranach emitowane są jeszcze reklamówki jednego z dużych banków z udziałem Cleese’a, a po jakimś czasie zastępuje go inny aktor. Danny DeVito.

Kategoria: Społeczeństwo

1969. Odbywa się Woodstock. Grupa sympatycznych hipisów urządza bez reklamy i wielkich funduszy koncerty na farmie Bethel w stanie Nowy Jork. Spontanicznie przyjeżdża tam pół miliona ludzi.

2009. Jest pomysł na festiwal w oryginalnym miejscu w 40-lecie Woodstock. Ale gdy ostatnio informowały o tym agencje prasowe, organizatorzy oznajmili, że „szukają sponsorów”. Nie mogli sobie, że tak zapytam, sami zasponsorować? W końcu podobno to podstarzali hipisi rządzą dziś światem.



Kosmos 2009, czyli Shaun Baker

Nikon rozdaje laptopy DELL i Suzuki SX4

Jeszcze do 22 lipca br. kupując aparat cyfrowy **COOLPIX*** możesz zostać właścicielem laptopa **DELL** lub samochodu **SUZUKI SX4**.

Kup aparat, wyślij SMS-a

o treści „NikonXXXXXXXX”
(X = numer seryjny aparatu)
na numer **7193****.

O wygranej dowiesz się w ciągu 3 dni.

Losowania laptopów są codziennie, a samochodu odbędzie się **23 lipca 2009 r.**

Szczegóły na www.barwynikona.pl



* modele COOLPIX: L19, L20, S220, S230, S560, S60, S620, S630, L100, P90, P6000 ** Koszt SMS-a 1 pln netto (1,22 z VAT)

KTÓREGOŚ WIECZORU 1898 ROKU...

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

BAJECZNY,
NIEZWYKLE DELIKATNY,
OWIANY MELANCHOLIĄ
I AURĄ TAJEMNICZEJ KOBIĘCOŚCI
PORTRET.

DAGNY PRZYBYŚZEWSKA





Komiks
Guya Delisle'a
to doskonała
lektura
na urlop.
Najlepiej
tacierzyński

★★★★

LOUIS
NA PLAŻY

Guy Delisle
„Louis
na plaży”,
Kultura
Gniewu,
Warszawa
2009, s. 48,
26,90 zł

★★★★

Spacedog

Hendrik
Dorgathen
„Spacedog”,
Lalida Books,
Warszawa
2009, s. 63,
24,90 zł

Milczeć inteligentnie „Louis na plaży” i „Spacedog” udowadniają, że o uczuciach można świetnie opowiadać, nie mówiąc przy tym ani słowa

SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ

Komiks niemy ma długą tradycję. Rozwijał się jeszcze przed II wojną światową, a jednego z ówczesnych przedstawicieli bezdymkowej narracji Lynda Warda sam Will Eisner uznał za prekursora powieści graficznej. Opowiadanie samymi obrazkami to nie la-da sztuka. Autor takiego komiksu musi zwrócić większą uwagę na zachowanie bohaterów, ich mimikę, gesty i za ich pomocą opowiadać na przykład o uczuciach.

Guy Delisle postanowił przedstawić swoje relacje z synkiem Louisem w formie lekkiej historii. Dla artysty znanego przede wszystkim z komiksów dokumentalno-podróżniczych („Phenian”, „Kroniki birmańskie”) to spora odmiana. Z nowym tematem radzi sobie jednak doskonale. Któż by pomyślał, że jeden dzień nad morzem przyniesie tytułowemu skrabowi tyle niesamowitych wrażeń. W jego przygodach rzeczywistość miesza się ze światem fantazji. Dzięki potężnej wyobraźni ożywia osiołka maskotkę, poznaje ogromną rybę, a nawet udaje mu się poznać mieszkańców zamku z piasku. „Louis na plaży” przypomina storyboard animowanego filmu. Równe, małe kadry wyznaczają rytm narracji i wzmagają jej dynamikę. Ta stylizacja jest nieprzypadkowa – Kanadyjczyk przez lata zajmował się animacją. Album idealny na urlop, szczególnie tacierzyński.

O uczuciach opowiada także inny, wydany ostatnio komiks niemy „Spacedog”. Tym razem poznajemy lo-

sy czworonoga szukającego alternatywy dla nudnego wiejskiego życia, który swoje marzenia realizuje wyjątkowo udanie. Nie dość, że trafia do wielkiego miasta, to jeszcze przegarnia go NASA i wysyła w kosmos. Tam zostaje przechwycony przez obcych, którzy obdarowują go niezwykłą inteligencją. Po powrocie na Ziemię psiak zostaje prawdziwym celebrytą i postanawia wykorzystać swoje zdolności, by ocalić ludzkość przed egoizmem i samozagładą – co oczywiście kończy się po-

rażką. Hendrik Dorgathen z polotem dowodzi, że sława szczęścia nie daje, a show-biznes niszczy. Szczególnie istoty inteligentne. Lepiej już wieść żywot pocziwego kundla i biegać po łączce z uroczą suczką i szczeniakami.

Morały płynące z lektury „Spacedoga” i „Louisa na plaży” trącą oczywiście banałem: dobrze jest kochać, być kochanym i nie szukać szczęścia zbyt daleko. W tych komiksach brzmi to jednak (a raczej wygląda) bardzo wiarygodnie.



Kafką rysowane

Wybierasz się na wakacje koleją? Jeśli tak, przeczytaj „Dworzec centralny”. Ale po powrocie

BOHATER SKROMNEGO ZESZYTU LEWISA Trondheima i Jeana-Pierre'a Duffoura bardzo chciałby wsiąść do pociągu byle jakiego. Ale na dworcu nie znajdzie rozkładu jazdy, a w kasach żywej duszy. Nikt nie zapowiada odjazdów, zegary wskazują różne godziny. Cóż robić? Stać i czekać lub szukać kogoś, kto wie, o co tu chodzi. Protagonista wybiera drugie wyjście i w czasie eksploracji budynków spotyka innych podróżników, którzy odchodzą od zmysłów. Historyjka z Kafki rodem. Prosta kreska i kolorystyka oparta na odcieniach szarości pasują jak ulał do tej historii. Zatem w drodze, jeśli jesteś, czytelniku, miłośnikiem takiej właśnie jazdy.

Sebastian Frąckiewicz

Lewis Trondheim
(scenariusz),
Jean-Pierre
Duffour
„Dworzec
centralny”, Mroja
Press, Warszawa
2009, s. 48,
28 zł

FOT. MATERIAŁY FESTIWALU (2)

KUBA MIKURDA

Garażowy reżyser Kinofil i samouk. Miłośnik dobrej prozy. Ekscentryk. Oto główny bohater Ery Nowe Horyzonty – Guy Maddin. IFestiwal startuje we Wrocławiu już 23 lipca

Pamiętają państwo muzykę grunge? Brudne, chropawe brzmienie, przesterowane gitary? Maddin, kanadyjski reżyser i scenarzysta, tak jak zespoły grunge, które debiutowały w tym samym czasie, z niedoskonałości uczynił swój atut, a nawet zasadę estetyczną. Gdy zobaczą państwo duże ziarno, rysy na celuloidzie, rozmyte krawędzie, niedoświetlenia – pomyślcie o Neilu Youngu, który wychował się dwie przecznice od obecnego domu Maddina w Winnipeg.

Większość jego filmów wygląda tak, jakby powstała w późnych latach 20. i przeleżała na strychu aż do dzisiaj. Jakby Maddin nie tyle je nakręcił, ile odnalazł. Czy to kino popularne, czy awangardowe? Jak coś, co jest ostentacyjnie sztuczne i umowne, może wzruszać do łez? I w jaki sposób ktoś, kto garściami czerpie z archiwum, może jednocześnie odświeżać język kina? Oto zagadki, z którymi będzie musiał zmierzyć się każdy, kto we Wrocławiu zetknie się z jego filmami.

Jest też tak zwany polski akcent. Nie byłoby Guya Maddina bez Brunona Schulza. Od tej pory, gdy ktoś zagadnie was o ekranizację prozy Schulza, oprócz „Sanatorium pod Klepsydrą” (1973) Hasa i „Ulicy Krokodyli” (1986) braci Quay (dobrych znajomych Maddina) pamiętajcie o „Martwym ojcu” (1986) i „Piętnie na umyśle” (2006).

Wystawmy to sobie – w 1977 roku Kanadyjczykowi z Winnipeg (prowincja Manitoba) umiera ojciec, menedżer lokalnej drużyny hokejowej Winnipeg Maroons. Guy Maddin – bo o nim mowa – czyta w tym czasie „Sanatorium pod Klepsydrą” wydane przez Penguin Books (z przedmową Johna Updike'a). Zaskoczony stwierdza, że Schulz opisuje to, o czym sam śni od dłuższego czasu – serię tragicomicznych spotkań z martwym ojcem.

– Budziłem się



Amnezja,
kaziroddstwo,
erotyczne trójkąty
– to tematy
Maddina.
I pomyśleć,
że facet
studiował
ekonomię

często z mieszaniną szczęścia i goryczy, która potrafiła trwać nawet kilka godzin – mówi Maddin. – Właśnie to chciałem przekazać w filmie.

W „Opowieściach ze szpitala w Gimli” (1988), „Archangielsku” (1990) czy „Moim Winnipeg” (2007) fan Schulza odnajdzie również kilka drobiazgów. Ale dopiero „Piętno na umyśle” (którego bohater – zanim stał się po prostu „Guyem Maddinem” – nazywał się Bruno Shade) mierzy się z Schulzem w pełnym me-

trażu. Oprócz Schulza inspirują go Robert Walser, Raymond Roussel, Georges Perec, John Ashbery, których zna państwo dobrze z numerów „Literatury na Świecie”, a czasem i „Przekroju”. Z Ashberym pracuje Maddin nad nowym projektem „Keyhole”, który zakłada między innymi realizację krótkich remake'ów zaginionych filmów. Reżyser podejmował się tego już wcześniej. Na podstawie opisów filmów Abła Gance'a powstały „Odilon Redon” (1995) i „Serce świata” (2000) – najszybszy film, jaki zobaczycie na tegorocznym festiwalu. Jeżeli wasza przygoda z Maddinem miałaby potrwać zaledwie sześć minut, nie przepapcie „Serca świata”. Wróćcie po więcej.

Wypowiedzi **Guya Maddina** pochodzą z wywiadu rzeki Kuby Mikurdy i Michała Oleszczyka „Kino wykołajone. Rozmowy z Guyem Maddinem” który ukazał się właśnie nakładem wydawnictwa Korporacja Ha!art i MFF ENH.



„Moje
Winnipeg”, czyli
Maddina podróż
do przeszłości.
Melancholijna,
jak widać

Słuchaj, kinomanie!

Nawet ci,
którzy bardziej wolą
słuchać, niż oglądać,
powinni ściągnąć
na festiwal
Era Nowe Horyzonty

Przebogata oferta letnich festiwalu muzycznych nie odebrała animuszu szefostwu ENH. Wprost przeciwnie, odpowiedzieli imponującą ofertą (codziennie dwa-trzy koncerty), która zachwyci nawet melomanów kompletnie afilmowych. Z szacunku dla żywych legend wypada zdążyć na inauguracyjny występ Lydii Lunch (23 lipca) oraz koncert Marka Stewarta (dzień później), założyciela The Pop Group. Jednak potencjalnie największe hity festiwalu to wieczór ze szwedzkimi wesolkami z I'm From Barcelona i mistrzem minimal techno The Field (30 lipca), a także finałowe niedzielne spotkanie z duetem Junior Boys (2 sierpnia), bodaj najoryginalniejszym z zespołów inteligentnie wskrzeszających lata 80. A oprócz tego zastępy DJ-ów, odrobina jazzu i eksperymentalnej elektroniki.

– mh

Zanussi czy
Tsai-Ming
Liang? Stare
kino węgierskie
czy współczesne
mocumentaries,
paradocs
i found-footage?
Co znaczą te
tajemnicze
określenia i co
na ENH polecają
recenzenci
„Przekroju”

sprawdź na
www.film.przekroj.pl

Naima (Lubna Azabal) ma wielki apetyt na życie. I jeszcze odwagę, by próbować wszystkiego

KAROLINA PASTERNAK

Naima to Naima Nie macie pomysłu na wakacje? Kierunek wypożyczalnia! W najbliższych numerach recenzentki „Przekroju” przypomną najpiękniejsze filmy o kobietach w podróży. Bo nie tylko chojracy, jak Indiana Jones, Bond czy Jack Sparrow, przemierzali świat w poszukiwaniu awantur, przygód i wolności

Zastanawialiście się kiedyś, dlaczego bohaterowie kina tak często są w podróży? Najprostszy trop jest oczywiście taki, że w kinie musi się coś dziać, a o akcję najłatwiej, gdy bohater porusza się na trasie ciekawszej niż ta z domu do pracy i z pracy do domu. Drugi to stworzenie warunków do tak zwanej przemiany bohatera, która według teoretyków jest podstawą istnienia filmu w ogóle.

I jako tak się dziwnie składa, że gdy my, kobiety, podróżujemy w filmie, to niemal zawsze ta przemiana jest równoznaczna z dosłownym albo metaforycznym wyzwoleniem. W punkcie wyjścia zawsze coś lub ktoś nas krępuje. Uwalniamy się a to od mężczyzn (Frances z „Pod słońcem Toskanii” po rozwodzie rusza z San Francisco do gorącej Italii, gdzie wreszcie zaczyna żyć samodzielnie), a to od zahamowań seksualnych (28-letnia mężatka Luisa z „I twoją matkę też” odkrywa seks dopiero wtedy, gdy udaje się z o 10 lat od niej młodszymi Juliem i Tenochem

w podróż po Meksyku). A w bardziej oryginalnych scenariuszach na przykład od... penisa. Dla Bree (dawniej Stanleya), bohaterki filmu „Transamerica” (w tej roli Felicity Huffman), podróż z Nowego Jorku, gdzie odnalazła swojego syna, do rodzinnego Los Angeles staje się ostatnim etapem zmiany płci – daje jej możliwość poznania smaku macierzyństwa.

Bodaj najciekawiej wyzwolenie bohaterki poprzez daleką wyprawę pokazał w „Exils” Tony Gatlif, swoją drogą, autor jednych z najpiękniejszych filmów drogi w ogóle („Transylwania”, „Gadjo Dilo”). Francuski reżyser urodzony w Algierii, korzystając z własnego doświadczenia, opowiada o kobiecie zakleszczonej między dwiema kulturami:

zachodnioeuropejską i arabską. Przemierzając z chłopakiem tysiące kilometrów z Paryża, przez Sewillę, do Algieru, Naima, Algierka mieszkająca od dziecka

w Paryżu, musi zderzyć się z kulturą, od której uciekała od 14. roku życia, czyli od momentu, gdy uwolniła się spod wpływów muzułmańskiej rodziny. – Wszędzie jestem obca – stwierdza po którymś dniu spędzonym w Algierze. Nie identyfikuje się ani z tą kulturą, w której kobiety separuje się w osobnych przedziałach pociągów, mimo upałów każe im się ubierać od stóp do głów i spuszczać pokornie wzrok przed mężczyzną, ani z tą, w której zawsze będzie wyglądać obco, bo ma arabskie rysy. Gdy któregoś dnia podróży ktoś pyta ją, czy Naima to arabskie imię, bohaterka Gatlifa odpowiada, że „Naima to Naima”.

Nie jest własnością żadnej kultury, która chciała by dyktować jej sposób życia i samopoczucie. Należy tylko do siebie. I właśnie podróż pozwoliła jej to zrozumieć.

Zagłosuj na swój ulubiony film o kobiecie w podróży i wygraj atrakcyjne nagrody! Więcej na www.film.przekroj.pl



Reż. Tony Gatlif,
Gutek Film,
19,50 zł

Reż. Audrey Wells,
Imperial CinePix,
40,49 zł



Reż. Duncan Tucker,
Kino Świat,
19 zł



FOT. MEDIUM, UIP

+++++ MICHAŁ OLESZCZYK

Wróg roku Michael Mann z sukcesem wskrzesił kino gangsterskie

Żaden film gangsterski nie wyglądał jak „Wrogowie publiczni”: cyfra zastąpiła taśmę i oto mamy lata 30. wycięte w kryształ, pozabawione miękkości i patyny. Efekt jest na przemian zdumiewający i nieprzyjemny, ale nie ulega wątpliwości, że Mannowi udało się estetyczna prowokacja – z jednej strony hiperrealność obrazu High Definition, a z drugiej uparta malarstwo każdej sceny.

Losy Johna Dillingera, „wroga publicznego numer 1”, opowiadano w kinie już nieraz. Mann postawił na tak zwany epicki oddech i powiązał los króla złodziei z szerszym kontekstem rozwoju federalnych organów ścigania. Mamy więc dwóch bohaterów: jeden goni (Christian Bale), drugi zmyka (Johnny Depp). W tle bliższym jest oczywiście romans, w tle dalszym legitymizacja przemocy w trakcie przesłuchań przez FBI (hollywoodzki kac po Abu Ghraib?), a na szarym końcu majaczy widmo rodzącego się za oceanem faszyzmu.

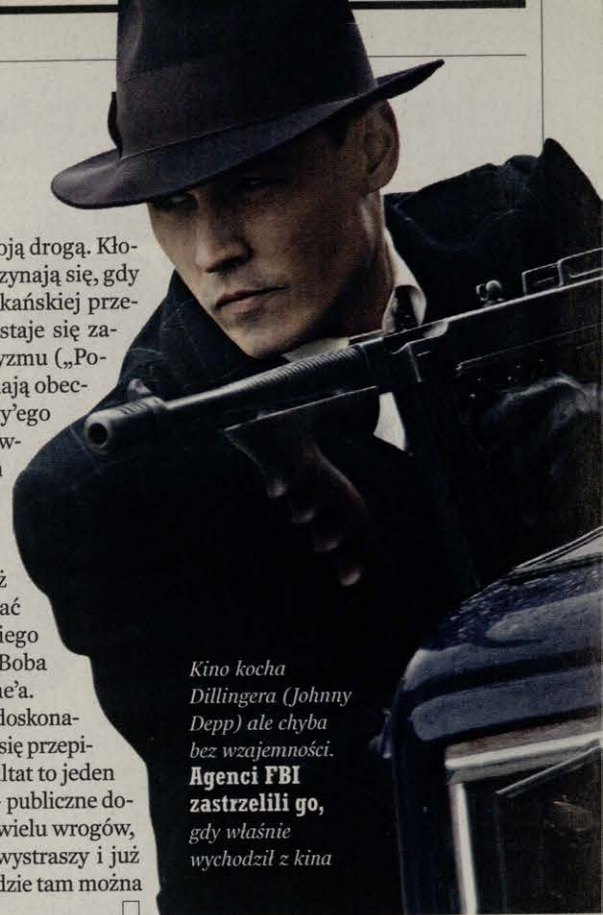
Szerokie płótno, wielkie ambicje. Czy spełnione? Wydaje się, że Mannowi powiodła się reanimacja gatunku o tyle, o ile na nowo stał się on gloryfikacją indywidualizmu. Dillinger w kreacji Deppa to przede

wszystkim człowiek, który idzie swoją drogą. Kłopoty z „Wrogami publicznymi” zaczynają się, gdy Mann bawi się w historyka amerykańskiej przemocy. J. Edgar Hoover, szef FBI, staje się zamiennikiem wszelkiego autorytaryzmu („Pora zdjąć białe rękawiczki, jak mawiają obecnie we Włoszech!”), a kreacja Billy’ego Crudupa popada w karykaturę sztywniactwa. Nawet homoseksualizm Hoovera staje się okazją jedynie do (średniego) dowcipu, gdy zadowolony z pracy Bale’a szepcze do podwładnego: „Przekaż mu, że może się do mnie zwracać per J.E.!” Kto chce bardziej ludzkiego Hoovera, niech wróci do kreacji Boba Hoskinsa w „Nixonie” Olivera Stone’a.

Niecodzienny, nieprzeciętny, niedoskonały. Taki film nakręcił Mann, starając się przeplatać gatunek od nowa. Rezultat to jeden z kluczowych filmów roku – publiczne dobro, które oby nie znalazło wielu wrogów, bo jeszcze Hollywood się wystraszy i już tylko „Transformersów” będzie tam można kręcić...

„Wrogowie publiczni”, reż. Michael Mann, USA 2009, UIP, 143, premiera 17 lipca

Kino kocha Dillingera (Johnny Depp) ale chyba bez wzajemności. Agenci FBI zastrzelili go, gdy właśnie wychodził z kina



Zmarszczki nie mają urlopu

Wybierasz się w podróż? Pamiętaj, że zmarszczki – w przeciwieństwie do Ciebie – urlopu nie mają. Dlatego nawet w wolne dni nie zapomnij o pielęgnacji twarzy.

Czy Ty też masz problem z pakowaniem kosmetyków przed podróżą? Bierziesz za dużo, trzymając się zasady, że nigdy nie wiadomo i wszystko może się przydać, albo minimalistycznie wrzucasz tylko to, co wydaje się niezbędne, a potem w trakcie urlopu musisz dokupywać różne rzeczy? Skąd my to znamy... Dlatego przed wyjazdem zrób selekcję swoich kosmetyków. Jeśli patrzysz na jakiś flakonik i w Twojej głowie pojawia się myśl: „Może się przydać” – zostaw to na domowej toalecie. Dzięki temu Twoja kosmetyczka będzie wyglądała na urlopową, a nie jakbyś wybierała się w podróż dookoła świata. Wakacje nie zwalniają Cię jednak całkowicie od pielęgnacji i troski o urodę, ale wszystko z umiarem i adekwatnie

do sytuacji. Dbaj przede wszystkim o to, by Twoja skóra odpoczywała razem z Tobą, a to może dla niej oznaczać chwilę relaksu od wszystkich warstw kosmetyków, które aplikujesz jej na co dzień.

OD PIELĘGNACJI NIE MA WAKACJI

Pamiętaj, że Twoja skóra poradzi sobie na urlopie bez fluidu, korektora czy pudru, ale nie bez dobrych kremów odpowiednich do Twojej cery. Dla trzydziestolatek lekkie nawilżający krem to już trochę za mało. Twoja cera wymaga teraz kremów bardziej treściwych, zawierających składniki wzmacniające jej barierę lipidową i delikatnie przyspieszających odnowę naskórka. Krem Myokine zawiera opatentowany kompleks Adenoxine™ będący optymalnym

połączeniem aktywnych składników (magnezu i adenozyyny) działających rozkurczowo na komórki skóry właściwej – fibroblasty. W ten sposób Myokine koryguje pierwsze pojawiające się na twarzy zmarszczki spowodowane naturalnymi ruchami twarzy: zmarszczki na czole, pionowe pomiędzy brwiami i kurze łapki. Efekt jest widoczny natychmiast po zastosowaniu: skóra zostaje wygładzona, a zagięcia zmarszczek spłycone (na czole o 31%, wokół oczu o 33%). Ponadto zawiera też Wodę Termalną z Vichy bogatą w rzadkie minerały, co dodatkowo wzmacnia skórę. O skuteczne dermokosmetyki, dzięki którym Twoja skóra na długo pozostanie gładka i wypoczęta jak po wakacjach, pytaj w aptece. Szczególną uwagę zwracaj na te,



których skuteczność została potwierdzona przez dermatologa.

VichyConsult: Profesjonalna diagnostyka skóry i program punktowy, np. już po zakupie 3 wybranych produktów 4. dostaniesz w prezencie. Szczegóły na www.vichyconsult.pl i pod numerem infolinii 0 801 140 140 (całkowity koszt rozmowy jak za jeden impuls).

Nowa moda retro La Roux i Little Boots

– nierozstrzygnięty pojedynek w tańcu

BARTEK WINCZEWSKI

Historia lubi się powtarzać. Szczególnie w muzyce pop, która niby nie znosi monotonii, a jednak wciąż pisze te same scenariusze. W ubiegłym roku śledziliśmy pojedynek Adele kontra Duffy, zastanawiając się, która z nich ma większe szanse, by zając miejsce upadłej Amy Winehouse. Dziś dziewczęta zapatrzone w soul z lat 60. nikomu już nie podnoszą ciśnienia – w tym roku kobiecym popem rządzą krzykliwe, plastikowe lata 80. Ale znów mamy dwie panie aspirujące do tytułu pierwszej damy nowej mody retro. To Little Boots i La Roux (a dokładnie wokalistka Elly Jackson, bo La Roux to duet). Obie młode i zdolne, obie na długo przed debiutem okrzyknięte sensacją sezonu. Żadne tam gwiazdki z castingu, raczej pełnokrwiste songwriterki nowej generacji, które zamiast folku czy soulu woła syntetyczny, taneczny pop z czasów swojego dzieciństwa. Tej synthpopowej estetyce oddane są zresztą tak mocno, że trudno uwierzyć, iż to nie oryginalne gwiazdy z lat 80., lecz ich współczesne naśladowczynie. Obie celując do egzaminu z twórczości Yazoo, The Human League czy wczesnego Depeche Mode, a przy tym obie szczęśliwie biorą od nich tylko to, co najlepsze. Potrafią pisać świetne piosenki. Wiedzą, jak z kilku prostych klawiszowych akordów wycisnąć prawdziwy przebój. Która lepiej? Mnie akurat bardziej przekonuje zadziorna i charyzmatyczna La Roux. Nie śpiewa wprawdzie tak dobrze jak Little Boots, ale przynajmniej nikt jej nie zarzuci, że czasem przypomina Kylie Minogue.



La Roux
„La Roux”,
Polydor,
32,99 zł



Little Boots
„Hands”,
Atlantic,
43,99 zł

Kwartet na czasy potopu

Leciwy Kronos Quartet od dekady nie nagrał tak porywającej płyty dla wszystkich

„IDEALNA MUZYKA NA CZAS KLĘSKI żywiołowej” – pomyślałam o nowej płycie Kronos Quartet, słuchając jej w czasie jednej z letnich burz z gradobiciem. Dopiero potem przeczytałem o zamiśle Kwartetu – ten na „Floodplain” chciał oddać fenomen miejsc, które po powodzi bujnie się odradzają. I kultur, które – choć niszczone – wracają ze zdwojoną siłą. Muzycznie to kolejna podróż Kwartetu na Bliski i Środkowy Wschód oraz



Kronos Quartet – 9.07 Szczecin,
Zamek Książąt Pomorskich

Kronos Quartet
„Floodplain”,
Nonesuch, 60,50 zł

na Bałkany, z niesamowitym finałem – kompozycją Aleksandry Vrebalov, nowojorskiej Serbki. Ten utwór i kompozycję „Tashweesh” Ramallah Underground (hiphopowców z Zachodniego Brzegu Jordanu!) zespół zagra w w Szczecinie. Będą też Kronosowe „greatest hits” – ze suitą filmową „Requiem For A Dream” i jednym z utworów Sigur Rós. A potem trzeba jednak kupić nowy album, by pojąć, że Kronos Quartet pojęcie „kwartetu smyczkowego” oddalili od pojęcia „wykonawcy” i zbliżyli do „twórcy”. Jak nikt przed nimi.

– Bartek Chaciński

Jednym uchem

JAREK SZUBRYCHT

Diabeł tkwi w szczegółach

Droga do sukcesów artystycznych wiedzie przez pakt z diabłem. Przewagi polskich metalowców mówią same za siebie. Takie ładne dziewczyny, tak dobrze ubranych chłopaków wysyłamy na Eurowizję – i nic. Za to czarci pomiot z Vaderem i Behemothem na czele to marka na Zachodzie znana i lubiana. Gwiazdy polskiej muzyki pop zazdroszczą więc i wyciągają wnioski. Planującą podobój Ameryki Doda bierze korepetycje u Nergala, Kukulska i Okupnik gorliwie dbają o zęby, które – wiadomo – stanowią podstawowe wyposażenie każdej szanującej się wampirzycy, a Steczkowska szykuje reedycję debiutu, tym razem pod tytułem „Dziewczyna szatana”. Żartuję oczywiście. Nie tyle z wokalistek, ile z tych wszystkich, którzy najpierw przez lata polskiego death metalu nie zauważali, a kiedy wreszcie go dostrzegli, obnoszą się z dumą z Behemotha, jakby to oni Nergalowi kuli topór. Tymczasem na Zachodzie ukazały się właśnie dwie zupełnie inne polskie płyty. Zawartość „Exploratory Music From Poland” dołączonej do magazynu „The Wire” to artyści równie anonimowi tam, jak i tutaj (Mikołaj Trzaska, Tomasz Gwinciński i Paristetris z Maseckim i Morettim na pokładzie to jedyne „gwiazdy”), a ich kompozycje skierowane są do poszukującego odbiorcy. List przebojów podbić się tym nie da, ale serca konsekwentów nowej muzyki jak najbardziej. Drugi album to wydana przez berlińską Eastblok Music składanka „Polska Rootz” z wybuchową mieszanką folku, reggae, dubu i popu. Na okładce między innymi Pałac Kultury, górale, górniczy i żubr, a grają Kapela ze Wsi Warszawa, Strachy na Lachy, a nawet Zakopower i Kayah zremiksowana przez Activatora. Czy to się komuś za siódmą górą spodoba? Czy przyjdzie moda na nadwiślańską awangardę lub reggae? Bóg raczy wiedzieć. Warto jednak przekonać się, jak nas dziś słyszą.

FOT. KUBA SKORZA/TEATR WYTWÓRNA

LUKASZ DREWNIAK

Akt-Orki Perfidny spektakl Urbańskiego w Wytwórni

Doprawdy nie wiem, co gorsze – być starzejącym się grubym krytykiem czy młodą ładną aktorką u progu kariery? Scenariusz kameralnego przedstawienia z Wytwórni nie ukrywa inspiracji „Silniejszą” Strindberga i opowiada o dwóch dziewczynach, które bardzo, bardzo chcą, ale nic im się nie udaje. Nie mogą poukładać sobie ani prywatnego, ani zawodowego życia. Obie są aktorkami, jedna odbiła drugiej facec. Oczywiście reżysera. Bez względu na walkę toczy się o niewiernego, aczkolwiek utalentowanego artystę (cynicznie wyluzowany Krzysztof Szekalski). Wiadomo wszak nie od dziś, że narzeczony reżyser to dla wchodzącej dopiero w zawód aktorki bezcenny skarb i inwestycja w przyszłość.

Spektakl Urbańskiego jest autoironiczny i rozpaczliwy zarazem. Przede wszystkim za sprawą Karoliny Porcari i Katarzyny Misiewicz. Obie co chwila dają nam sygnały, że powkładały w tę historię mnóstwo własnych błędów i rozczarowań. Misiewicz wywala prawdę o swoich urazach przed i porodowych, Porcari lka o trudnym dzieciństwie. Ale żadnego szantażu typu „patrzcie, jesteście takie fajne, a jakoś nam nie idzie”. Paradoxs polega na tym, że jak się własne nieudacznictwo wystawi na widok publiczny, od razu zmienia się w sukces. Lubimy, jak nic się nie udaje pięknym kobietom. Mają za swoje! Urbański pozwala im śmiać się z siebie, rozładowywać kompleksy i żale. Konwencja próby teatralnej, która raz po raz się zaczyna i w dziwnym momencie kończy, jest przerywana interwencjami reżysera i sprawia, że fikcyjne co rusz chowa się za prywatne i odwrotnie. Perfidny to spektakl, bo mogliby się w nim przejrzeć wszyscy aktorzy celebryci stolicy. Podejrzewam, że od chwili premiery koleżanki Porcari i Misiewicz przestały się do nich w ogóle odzywać.

PS Tytuł oczywiście ukradłem Piotrowi Lachmannowi.

Ona (Katarzyna Misiewicz-Żurek – ta wesola z biustem) i Ona (Karolina Porcari – ta smutna w bieli) walczą o sukces i reżysera



Marek Raczkowski

Rysunki



„Ona i Ona” według A. Strindberga, adaptacja Krzysztof Szekalski, reżyseria Artur Urbański, scenografia Artur Urbański, Maria Zientkowska, muzyka Daniel Pigoński, Teatr Wytwórnia w Warszawie

Muzeum Karykatury

im. Eryka Lipińskiego w Warszawie

30.06. – 13.09.2009 r.

Muzeum czynne dla publiczności:

wtorek – niedziela 11 – 18

czwartek 11 – 20

w soboty wstęp wolny



Muzeum Karykatury
im. Eryka Lipińskiego
ul. Koźia 11, 00-070 Warszawa
tel./faks: (22) 827 88 95
www.muzeumkarykatury.pl
muzeumkarykatury@poczta.wp.pl

Współpraca organizacyjna
i główny patron medialny wystawy:



Sponsorzy:





Jak widać,
Janusz
Rudnicki
z psami jest
rzeczywiście
za pan brat

++++ MARCIN SENDECKI

Janusz, musisz! Śliczny, choć podobno „nierozwojowy” zbiór opowiadań Rudnickiego

Na okładce trochę pogrzebowo. Piszę bowiem autor: „Coś jakbym zszedł ostatnio na psy. (...) Myślę, że nie uda mi się już, chyba, napisać tekstów lepszych od tych paru w tym zbiorze. Myślę, że doszedłem do samej ściany (...). I uderzyłem w nią czołem”. Co jest? Kokieteria? Słowny kryzys? Dumalem i dumalem, o co chodzi, bo w nowym tomie opowiadań Janusza Rudnickiego żadnego kryzysu

nie udało mi się wypatrzeć, aż przeczytałem w „Wyborczej” recenzję wybitnego krytyka Dariusza Nowackiego. Najpierw były cukierki; nic dodać, nic ująć: „Zalety prozy Rudnickiego są dobrze znane: cięty język, przedni, acz często wulgarny dowcip, fenomenalne wycucie absurdu, biegłość w operowaniu groteską”. Potem zwód i sztych: „Rudnicki jest prozaikiem świetnym. Szkoda tylko, że nierozwojowy”. No i zgłupiałem. Tym bar-



Janusz Rudnicki
„Śmierć czeskiego
psa”, W.A.B.,
Warszawa 2009,
s. 208, 29,90 zł



Czytanie na trawie

TADEUSZ NYCZEK

...albo popaprańcy Pana Boga

UWIEDZENIE KOJARZY się natychmiast ze sferą stosunków damsko-męskich, ale nie ciesze się przedwcześnie, miłośnicy romansów i przygód

lóżkowych. „Uwiedzeni” Anny Boleckiej (Santorski & Co) nie mają z tym procederem nic wspólnego. I całe szczęście; książki zajmujące się zagadnieniami poniżejpasowymi plenią się jak spam w Internecie, a powieści próbujące zmierzyć się z największym uwiedzeniem XX wieku, jakim był faszyzm i totalitaryzm, wydaje się dziś coraz rzadziej. Komu by się chciało zajmować tematem tak ponurym i depresyjnym, w dodatku podniecającym już głównie specjalistów historyków... Owszem,

temat może i jest ponury, ale zależy, jak go potraktować. Że Bolecka pisze prozą piękną, czystą i potoczystą, wiadomo od czasu jej debiutu sprzed 20 lat, niewielkiej powieści „Leć do nieba”. Zdradźmy też, że główny bohater „Uwiedzionych” spotyka pewnego dnia 1909 roku w wiedeńskiej noclegowni swojego dawnego koleżę ze szkoły, który po kilkudziesięciu stronach zaczyna nam się coraz wyraźniej kojarzyć z przyszłym Führerem III Rzeszy... Inaczej wprawdzie się nazywa,

ale nie mamy wątpliwości, że ten cherlawy fanatyk antysemita, któremu nasz bohater pomagał sprzedawać półamatorskie obrazy, to ktoś, kto przewróci XX wiek do góry nogami. Akcja „Uwiedzionych” dzieje się głównie w Wiedniu, Gdańsku i Monachium na przestrzeni prawie 20 lat (kończy w przededniu II wojny). Samotny bohater, postać niejasna, pół Niemiec, pół Polak, wólczy się po terenach nasiąkających coraz bardziej faszyzmem i z bezzadną grozą przygląda się pojedynczym

i zbiorowym uwiedzeniom przez ideę powszechnego zbawienia. W takim opisie wszystko wygląda błado i schematycznie, ale w powieści jest gęsto od świetnych postaci i doskonale uchwyconej atmosfery narastającego szaleństwa, które warto potraktować symbolicznie: wszak co jakiś czas w brzuchu jakiejś zbiorowości zaczyna niebezpiecznie burzyć, a mózg produkuje krwawe stygmaty zbawczych idei prowadzących wprost do piekła.

dzieje że to, co Nowacki uznaje jednak w tym tomie za „fajerwerkowe” (powiastka o pisarzach naciągaczach), jest chyba akurat jej fragmentem najsłabszym.

No ale nic. Żyjemy. Niech się zatem Nowacki trzyma tabunu naszych pisarzy, co to się z książki na książkę „rozwijają”, tyle że do świetności im cokolwiek daleko, a ja zostanę przy Rudnickim, który znów chuligani, aż buty spadają. Dla mnie się może i powtarzać, byle to robił tak dziarsko jak choćby w tytułowym opowiadaniu.

Rudnicki jest szybki i przemożny – niekiedy zbyt szybki dla swoich redaktorów, bo jednak ktoś powinien mu zwrócić uwagę, że Mahler w 1910 roku nie mógł wsiąść w Ameryce do samolotu i polecieć do Niemiec, ale to tylko detal.

Ciekawsze – zdaje się, że nikt dotąd nie zwrócił na to uwagi – że inkustowanie tekstu amatorskimi zdjęciami i wyprowadzanie opowieści z notatek prasowych to twórcze nawiązanie do socrealizmu, kiedy to nasi rozwojowi twórcy tłukli na potęgę wiersze i opowiadania na podstawie wyimków „z gazet i czasopism”. Świadome? Bóg raczy wiedzieć.

No dobrze, ale o czym to wszystko? O życiu samym. O życiu Rudnickiego i o naszym życiu. O Polakach i Niemcach. O psach i o ludziach.

Na koniec zaś, ryzykując, że jak mnie pisarz kiedy spotka, usłyszę: co ty mi tu, człowieku – i tak dalej, chciałbym go poprosić, iżby się nie przejmował rozwojem swojej prozy, tylko pisał, co mu ślina na język przyniesie, ku chwale polszczyzny. Janusz, musisz.

ZA DWA TYGODNIE Z „PRZEKROJEM”, ŠKODĄ I PASCALEM

Weekendowa rajza po Mazowszu (i nie tylko)



„Piękne jesteście Mazowsze, skąd wzięłem skrzydła do lotu” – pisał Władysław Broniewski. No i w samej rzeczy



W tytułowym „nie tylko” mieści się taki szmat naszego pięknego kraju, że warto od razu zarezerwować sobie parę weekendów na wycieczki. Oprócz Mazowsza z Warszawą, Żelazową Wolą i Czerwińskiem (romańska bazylika z XII wieku) dostajemy bowiem przewodnik po kawalkach Podlasia, Kujaw, Mazur i Lubelszczyzny.

Kierując się w stronę Kujaw, warto zajrzeć do starych, lecz dobrze zachowanych zamków w Oporowie i Łęczycy, a także do wspaniałej kolegiaty w Tumie. Na Lubelszczyźnie trzeba oczywiście ruszyć ponad 200-kilometrowym Traktem Puławskim, by po trudach podróży odsapnąć w Kaziemierzu Dolnym lub Nałęczowie.

U wrót Podlasia powita nas Liw – wioseczka z kapitalnym zamkiem książąt mazowieckich. Kurpiowszczyzny i Mazur specjalnie reklamować nie trzeba. W natłoku czekających tam wrażeń warto jednak nie przeoczyć na przykład Kosewa z wielką farmą jeleńiowatych i muzeum przyrodniczym PAN. Dzieciaki będą zachwycone.

– ms

+++

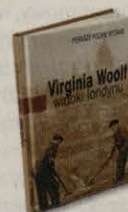
Londyńskie spacerunki pani Woolf

...czyli przechadzka nader nieobowiązkowa

VIRGINIA WOOLF JAK INNI WIELCY (ORAZ mniejsi) pisarze oprócz dzieł głównych pozostawiła sporo drobiazgów, które ostatnio także w Polsce pieczołowicie się wydaje. Należą do nich właśnie „Widoki Londynu” – sześć krótkich tekstów z początku lat 30. opublikowanych w magazynie „Good Housekeeping” (a więc „Dobra Gospodyni” albo coś w ten deseń). Woolf oprowadza w nich czytelników a to po londyńskim porcie, a to po domach Keatsa i Carlyle’a, a to po handlowej Oxford Street etc.

Wydawca nazwał te pogadanki esejami, co jest sporą przesadą (a opatrzenie ich indeksem – w dodatku źle zrobionym – wygląda raczej humorystycznie), bo są to w istocie dość majestatyczne felietony. Fragmentami ładne, częściej pełne zbędnej afektacji lub wręcz źle napisane. Słowem, można spojrzeć na tekściki, które Virginia Woolf robiła na boku, ale jej wielkości tu tyle, co kot napłakał. Kot londyński, rzecz jasna.

– Marcin Sendecki



Virginia Woolf
„Widoki Londynu”,
przeł. Maja Laverne,
Prószyński
i S-ka,
Warszawa
2009, s. 88,
22 zł

REKLAMA

APARTAMENTY NA SPRZEDAŻ

Ostatnie lokale!

Imperial Company

www.rysulowka.pl



0 790 89 89 89

Wszystkie dzieła świata są moje

Czy poddać konserwacji rekina w formalinie albo kupę zaspawaną w puszcze? Dlaczego obrazy impresjonistów wyglądają dziś inaczej niż zaraz po namalowaniu i czy dzieła sztuki żyją życiem swych twórców? – z Iwoną Szmelter, specjalistką od konserwacji sztuki najnowszej i dawnej, rozmawia Małgorzata Sadowska

Jest czego pani zazdrościć, muzea kojarzą się z hasłem: „Nie dotykać eksponatów!”, a tymczasem konserwator sztuki nie tylko może, ale wręcz musi dotykać dzieła. Czy miewa też czasem pokusę, by konserwowaną pracę poprawić?

– Nie ma prawa! Naszą główną dewizą – podobnie jak lekarzy – jest nie szkodzić. Mamy zachować dzieła w dobrym stanie przy minimum ingerencji.

Na czym w takim razie polega ta konserwacja? Czy to nie nudne, techniczne zajęcie?

– Nic takiego! Z jednej strony trzeba mieć pojęcie o naukach przyrodniczych, fizyce, chemii, z drugiej – wymaga to ogromnych badań humanistycznych. Dzieło sztuki to dla nas nie tylko kawałek płótna albo poliuretanu, ale także element procesu kulturowego. Konserwator musi znać kontekst dzieła, biografię autora, poszukuje dokumentacji. To zajęcie dla dojrzałych ludzi. Trzeba dużo wiedzieć, przeczytać i przeżyć, by zrozumieć daną epokę, wiedzieć, co wpłynęło na artystę. Pewien holenderski badacz, mówiąc o Piecie Mondrianie, zwrócił uwagę, że w wielu jego kompozycjach geometrycznych można znaleźć analogie do muzyki. I rzeczywiście, bo Mondrian był jej wielkim fanem, nie mówiąc o tym, że sam stepował! Jest to więc rozległa, interdyscyplinarna wiedza. Wymaga erudycji. Dobry konserwator musi też czasem wcielić się w rolę adwokata dzieła sztuki.

A co zagraża temu dziełu?

– Zła interpretacja. Taki przykład: od wielu lat opiekuję się spuścizną Aliny Szapocznikow, zakonserwowałam około 150 jej prac z 500 istniejących. Nigdy jej nie poznałam, ale pamiętam ją z mediów, moi rodzice – oboje konserwatorzy – prenumerowali prasę, która niedługo więcej pisała o artystach, między innymi „Ty i ja” czy „Przekrój”. Wydawało nam się więc, że wiemy na jej temat wszystko. Ale w latach 90., gdy jej prace przyjechały do Zachęty na wielką, retrospektywną wystawę, historycy sztuki zaczęli przekonywać, że w tych dziełach odbija się dramatyczne życie Szapocznikow, która przeszła gehennę obozów, chorowała i zmarła na raka. Że – tak jak ona – skazane są na nieuchronne zniszczenie, a my powinniśmy obserwować, jak

PROFESOR IWONA SZMELTER kieruje Pracownią Konserwacji Malarstwa na Podłożach Ruchomych i Obiektów Sztuki Nowoczesnej Wydziału Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki ASP w Warszawie. Prowadzi też Interdyscyplinarną Pracownię Konserwacji Sztuki Nowoczesnej na ASP w Poznaniu. Jest członkiem międzynarodowych organizacji, zakładała International Network for Conservation of Contemporary Art. Współpracuje z wieloma muzeami i konserwatorami. Rzeczniczka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Iwona Szmelter w swojej pracowni – Jesteś chirurgiem sztuki – mówi o konserwacji

się degradują. Byłam pod wrażeniem tych literackich metafor, ale uznałam, że obowiązuje mnie zawodowy obiektywizm.

To nie była prawda? Dzieła nie niszczały?

– Niech za odpowiedź posłuży moja przygoda z pracą Szapocznikow pod tytułem „Le Monde”. To płaskorzeźba w żywicy poliesterowej pokryta wypukłościami, guzkami. Gdy dzieło trafiło do mnie, było szarobrunatne, prawie nieczytelne. Uznano, że nieuchronnie rakowacieje. Ale przy badaniach okazało się, że ówczesne żywice zawierały zmiekcacz, który emigrował na wierzch, po prostu musiał się „wypocić”. Był lepki, więc lał kurz. Tak powstała gruba warstwa skamieniałego brudu, który interpretowano w sposób literacki, eschatologiczny jako owo „rakowacenie”. Przy oczyszczaniu okazało się, że w pracę wtopiona była tytułowa strona z francuskiego pisma „Le Monde”, a guzy są ni mniej, ni więcej, tylko wielkimi oczami, które patrzą na dramatyczne tytuły z gazety. Gdybym uwierzyła w wersję historyków sztuki, nie odkrylibyśmy ani intencji, ani ikonografii tej pracy.

Tragiczną legendę Aliny Szapocznikow podtrzymywały również sugestie, że do jej choroby mogły się przyczynić rakotwórcze materiały, jakich używała. Czy substancje używane przez artystów bywają trujące?

– Teraz są zupełnie inne technologie. Ogromna ilość poliuretanów twardnieje w kontakcie z powietrzem. Możemy więc bez obaw kupić klej poliuretanowy, wstrzyknąć go w podeszwę buta, a on się błyskawicznie utwardzi pod wpływem tlenu i na pewno nam nie zaszkodzi. W czasach Szapocznikow poliuretany były pionierskim materiałem, szkodliwym i nietrwałym. Część z nich zachowuje się dziś jak pudrujące kanapy.

Co takiego?

– Kiedy zrobi nam się dziura w starej kanapie, w środku często można znaleźć proszek, w który z biegiem lat zamieniła się poliuretanowa gąbka.

To co zrobić z dziełami sztuki wykonanymi z takich niszczących tworzyw?

– Stworzyć im idealne warunki. Plastik z tamtych czasów powinno się przechowywać w temperaturach ujemnych, to pozwala przedłużyć ich życie.

Chyba takie wrażliwe dzieła kiepsko znoszą wystawianie, a przecież nie o to chodzi, żeby poukrywać wszystko w magazynach.



Robert Bodnar, „Autoportret” (2003), tak wyglądał obraz przed konserwacją

– Tak, dlatego niektóre prace podlegają szczególnym rygorom ekspozycji. Na przykład wrażliwe na światło obiekty na papierze, rysunki tuszami, obrazy w technice pastelowej, delikatne akwarele czy tkaniny zawierające organiczne barwniki wystawia się w przyciemnionych wnętrzach i leciutecznie oświetla mało szkodliwym, zimnym światłem. I nie zmniejsza to wcale przyjemności obcowania ze sztuką – widz może wręcz mieć poczucie, że bierze udział w czymś wyjątkowym, niemal sakralnym. **Mówi pani o nowoczesnych sposobach przechowywania i konserwowania. A czy zdarza się, że konserwator wraca do prostych metod i sięga po wodę, mydło, a potem suszy wszystko suszarką?**

– Broń Boże! Dawniej, owszem, czyszczono obrazy cebulą i polewano je „dla zdrowia” mlekiem, ale z naszej perspektywy to są metody niedopuszczalne. Niestety, nawet studenci konserwacji sądzą, że coś jest etyczne, bo jest ekologiczne. Ekologicznie też można zniszczyć dzieło sztuki. Jeżeli, tak jak to kiedyś robiono, zalejemy obraz naturalnym klejem skórnym, to on go zniszczy, bo ma niskie pH, jest bardzo kwaśny.

Czy dzisiaj konserwator sztuki nie staje wobec większych wyzwań niż dawniej? Artyści używają dosłownie wszystkiego: od tworzyw sztucznych, przez jedzenie, przedmioty codziennego użytku, po ludzkie włosy czy ciała zwierząt – jak w słynnej „Piramidzie” Katarzyny Kozyry czy jeszcze słynniejszej pracy Damiena Hirsta, który umieścił w formalinie martwego rekina.

– Jako konserwatorzy robimy co w naszej mocy, by zachować jak najdłużej stan prac, nie kierując się ich statusem. Współczuję tym, którzy podjęli się prewencyjnej konserwacji niektórych dzieł Hirsta, to zresztą nie byli ludzie po typowych studiach konserwatorskich, ale specjaliści nauk przyrodniczych. Pod nadzorem autora, który powoływał się na konceptualne znaczenie pracy, a nie jej oryginalność, rekina wymieniono z czasem na innego, lepiej spreparowanego. Trudno powiedzieć, na ile trwałe są tego typu dzieła. Przed kilku laty jednak ówczesny szef Tate Gallery zdecydował, że nie przyjmie do depozytu części prac grupy Young British Artists, do której należy także Hirst. Nie wszystko więc, co przynosi cywilizacja, bywa w muzeach akceptowane.

Ważne, żeby konserwatorzy i kuratorzy profesjonalnie ocenili zagrożenie trwałości zbioru – zwłaszcza w kolekcji tworzonej z dotacji państwowych. Dla mnie używane w sztuce materiały organiczne: żywność, rośliny, gumy do żucia, wciąż są wyzwaniem, bo nie zawsze mam na nie sposób i za każdym razem muszę odpowiedzieć sobie na pytanie o intencje autora, który umieszcza takie efemeryczne, nietrwałe przedmioty w swoim dziele.

Z jakimi nowatorskimi materiałami miała pani do czynienia?

– Z żywnością, barwnikami z wcieranych owoców i kwiatów zamiast warstwy malarskiej, pastą do zębów... Oczywiście technologia pozwala coraz lepiej zachować te elementy, ale czasem najprostsze rozwiązania podsuwają sami artyści. Kiedyś konserwowałam piękny obraz Jonasza Sterna, który warstwą malarską obłożył rybne szkielety. Kostki się wykruszyły i trzeba było je uzupełnić. Stern nie był sobie w stanie przypomnieć, co to był za gatunek ryby, poprosił, żeby po prostu dobrać taką, która będzie pasowała wielkością. Zażartował, że mam zjeść dobrać rybę, wypić wino i w ten sposób wyprodukować brakujące elementy.

Spełniła pani życzenie artysty?

– Chce pani wiedzieć, czy wypilał wino? (śmiej)

Czy dla dobra sztuki zjadła pani rybę.

– Ugotowałam kilka na parze i wybrałam tę, której kostki pasowały długością i kształtem do ryby z obrazu.

Wygląda na to, że konserwacja bywa bardzo przyjemnym zajęciem.

– Wbrew pozorom to są naprawdę poważne dylematy, przed którymi staje konserwator sztuki nowoczesnej. Swego czasu właścicielka pracy Władysława Hasiora zwróciła się do konserwatora, żeby zaopiekował się jego „Chalą polską”, rozpadającą się bułką chałką z kruszonką, w którą Hasior powtórzył miniaturki ullańskich lanc. Konserwator zaimpregnował żywicą sztuczną bułkę, tymczasem Hasior mówił kiedyś, że wolałby, by ta praca miała charakter performatywny, czyli żeby za każdym razem kupować świeżą chałkę i w nią wbijać te lance. I to są bardzo ważne pytania: czym jest dzieło sztuki? Czy to aby na pewno sam relikw, który przechodzimy w muzeum?

Konserwator sztuki ma takie wątpliwości?

– Niedawno brałam udział w pracach nad spuścizną galerii Foksal. To trudne, bo w Polsce nie było jeszcze zadań konserwatorskich dotyczących sztuki konceptualnej. Chodziło o pracę Stanisława Dróżdża „Dwa słowa”. To fotografia naklejona na metalową płytę – białą prostokąt, na środku którego czarnymi literami napisano „Dwa słowa”. Pojawili się na tym smugi rdzy, fotografia cała była w dziurach, bliznach. Żadna konserwacja nie byłaby w stanie doprowadzić jej do idealnego stanu, tymczasem

ów lapidarny napis powinien zaistnieć na idealnie czystym tle.

Zniszczenia zaburzają czystość przekazu?

– Otóż to. Postanowiliśmy jednak „Dwa słowa” zakonserwować, ale też stworzyć kopię dla celów wystawowych – praca miała jechać do Tallina. W języku konserwatorskim nazywamy to z angielska emulacją.

Rozmnożyliście dzieło?

– Nie. Chcieliśmy pokazać rzecz taką, jaką zamierzył autor. Odtworzyć stan oryginalny.

Choć wydaje się to proste, to Himalaje w naszych konserwatorskich decyzjach. Odeszliśmy od zasady autentyzmu materii, uznając, że ważniejsza jest intencja autora – autentyzm idei.

To jak jest z tym autentyzmem w sztuce? Skoro, po pierwsze, oryginał to często sam pomysł, a nie praca, a po drugie, poszczególne części niektórych prac bez problemu można wymieniać?

– Z oryginalnością bywa różnie. Choćby na Dalekim Wschodzie, w świecie, gdzie na porządku dziennym są niszczycielskie klęski żywiołowe, od wieków kultywuje się idee, a nie materię sztuki. W świątyni w Kioto co 30 lat wymieniane są elementy składowe, by nadal wyglądała tak samo, a rzemieślnicy, którzy to robią, mają wysoką pozycję społeczną, bo ocalają sztukę. Ale żeby nie szukać daleko: odbudowa warszawskiej Starówki dziś wydaje nam się czymś oczywistym, a przecież była sprzeczna z Kartą wenecką z 1964 roku, z zasadami konserwacji.

Potępiano tę odbudowę?

– Nie, bo społeczność światowa doceniała nasze prawo do wskrzeszenia nie tylko wizerunku, ale także świadectwa kultury, czyli idei. I to nie warszawska →



„Kompozycja” (1987) Andrzeja Kurzawskiego w trakcie konserwacji



Słynna praca Damiena Hirsta – ważna jest myśl, nie rekin

→ Starówka została wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa, lecz właśnie jej odbudowa! To był ogromny sukces profesora Zachwatowicza, który uświadomił światu, że nie można sztywno i mechanicznie stosować zasad autentyzmu materii, że muszą istnieć wyjątki.

A co z pojedynczymi elementami w pracach nowoczesnych artystów? Wymieniać je czy – w imię autentyzmu – nie wymieniać, gdy się niszczą?

– Trzeba zbadać dokumenty, sprawdzić kartę obiektu.

To taki dowód osobisty dzieła?

– Coś więcej. W karcie są informacje od artysty, zapis badań konserwatora i kuratora. Dowiadujemy się, jakie znaczenie mają poszczególne materiały, czy artysta przywiązuje do nich wagę, czy skazuje swoją pracę na degradację, jeśli nie ma sposobu, by ją zachować. Szczegółowe wywiady z artystami to dziś standard w pracy konserwatora. Coraz częściej powstają też archiwa „części zamiennych”. Na przykład Miejskie Muzeum Sztuki Współczesnej w Gandawie ma całą ogromną ścianę pełną pudełek z wywiadami, listami, efektami badania kontekstu dzieł, częściami zapasowymi, każde jest opisane imieniem i nazwiskiem artysty; niektórzy mają kilka pudełek z opracowaniami do kilku dzieł, które się znajdują w zbiorach tego muzeum.

Te części zamienne dowodzą chyba, że nowoczesna sztuka nie jest zbyt trwała?

– Wyjawszy sztukę dawnych mistrzów, dawniej nie było dużo lepiej. Weźmy choćby malarstwo drugiej połowy XIX wieku – obrazy impresjonistów wyglądają dziś zupełnie inaczej niż oryginalnie. Ich dzieła impregnowano woskiem, który zupełnie zmienia współczynnik załamania światła. Te obrazy były dużo jaśniejsze, bardziej rozwibrowane kolorem, a farba ledwo się zatrzymywała na szczytach splotu płótna. To był – w dużo większym stopniu niż współcześnie – koncert dla oczu.

Dziś te prace są przyciemnione, zatłuszczone woskiem i tych zmian nie da się odwrócić. To zresztą paradoks: impresjoniści zapoczątkowali rewolucję w podejściu do tworzenia i byli pierwszymi ofiarami swoich technologicznych eksperymentów.

Delikatne, nietrwałe prace, części zapasowe, a jeszcze nie mówiliśmy o sztuce wideo, która też ulega

zniszczeniu. No i gdzie to wszystko trzymać?

– W atrakcyjnych galeriach, nowoczesnych muzeach, prywatnych kolekcjach. Mnie się marzy taka czysta kopalnia na Dolnym Śląsku, na przykład kopalnia srebra, gdzie można by było w naturalnych warunkach w niskich temperaturach przechowywać nietrwałe dziedzictwo XX wieku. Oczywiście zbiorom digitalnym na nośnikach wideo, CD czy DVD nawet zamrażanie nie pomoże – skazane są na zagładę. Można je na razie – tak jak w bankach – gromadzić na macierzach, zapisywać na twardych dyskach. Oczywiście

ście w kilku wersjach, bo różnie może być. W Polsce mamy zaledwie jednego konserwatora wykształconego w tej dziedzinie, to są rodzące się specjalizacje.

Czyli konserwatorzy to dziś coraz częściej specjaliści w wąskich dziedzinach?

– I tak, i nie. Przy dużych projektach konserwator działa jak orkiestrator – coraz częściej używamy tego amerykańskiego terminu – nadzoruje całą grupę specjalistów, wśród których często znajdują się sami artyści, ale też chemicy, fizycy, krytycy sztuki czy wreszcie rzemieślnicy, ludzie na co dzień niezwiązani ze sztuką, specje od metali albo od neonów. Musimy pracować w zespołach, bo zanim przystąpimy do pracy, trzeba „rozpoznać” dzieło, a jedna instalacja może zawierać 20 czy 30 rodzajów najróżniejszych materiałów.

Jakie są właściwie koszty konserwacji, skoro czasem wymaga pracy tylu ludzi?

– Wszystko zależy od konkretnego przypadku. Często są małe, ale bywają też ogromne, to nawet dziesiątki tysięcy złotych. Czasem, na przykład w przypadku zabytków na papierze, koszt przekracza wartość samego dzieła.

Domyślam się, że pewnie prywatni kolekcjonerzy, skoro już wydają wielkie

pieniądze na sztukę, to nie szczędzą też środków na jej zachowanie?

– Kolekcjonerzy zwykle są bardziej zainteresowani nowym obiektem do zdobycia niż dbałością o ten już kupiony – choć są chlubne wyjątki!

A czy nasze państwo jest dziś dobrym kolekcjonerem?

– Jeśli chodzi o państwowe pieniądze na konserwację, to bardzo marnie to wygląda. Jedna z moich magistrantek napisała zresztą pracę, z której wynika, że dziś dysponujemy zaledwie 1/38 kwoty, które przeznaczano na konserwację pod koniec lat 70., gdy sama kończyłam studia. Dużo mniejsze są też nakłady ze strony Kościoła, który kiedyś zainteresowany był ochroną zabytków, bo nie mógł budować nowych świątyń. Dziś koncentruje się głównie na nowych inwestycjach.

Czy konserwator sam musi być artystą?

– Na pewno musi mieć artystyczne umiejętności. W Polsce dyplomowany artysta konserwator – restaurator dzieł sztuki wykonuje kopie w trakcie studiów. I to we wszystkich technikach – od średniowiecznych po współczesne. Co nie znaczy, że kształcimy przyszłych fałszerzy! Kształcimy specjalistów zdolnych do zrekonstruowania fragmentu dzieła, gdy zajdzie taka potrzeba.

A zdarzali się fałszerze wśród konserwatorów?

– Najlepszy fałszerz świata, van Meegeren, ten, który podrabiał Vermeera, nie był konserwatorem. Gdyby w naszej branży zdarzył się podobny przypadek, byłby to skandal na miarę afer z lekarzami zamieszanych w kryminalne historie.

Zastanawiam się, czemu właściwie obdarzyła pani miłością sztukę nowoczesną. W powszechnym odbiorze to wciąż dziedzina podejrzana, bo to jakieś odpadki, wypchane zwierzęta, a artyści prowokują...

– ...jak Włoch Piero Manzoni? Żeby narozrabiać i zakpić ze sztuki, wyprodukował serię puszek, zamknął w nich swoją kupę, starannie podpisał i ponumerował kolejne egzemplarze – i wystawił na sprzedaż. Ta kupa spowodowała po latach przerdzewienie puszek i współczuję konserwatorowi, który zmierzy się z takim dziełem. O ile wiem, powstała „konserwacja poprzez dokumentację”, czyli opis z dokumentacją fotograficzną. Praca Manzoniego miała być ironicznym gestem wobec snobizmu rynku sztuki płacącego za „podpis”. Jednak podobne prowokacje bywają opacznie rozumiane i stają się, niestety, pretekstem do biadolenia nad sztuką nowoczesną, która przynosi nam przecież tyle wspaniałych dzieł.

Sztuka nowoczesna w Polsce to nasza pięta Achilleś. Na świecie budzi ogromne zainteresowanie młodych ludzi, nie mówiąc o kolekcjonerach i rynkowym szaleństwie. Odcinamy sobie całą masę fantastycznych wrażeń, kiedy nie chcemy jej rozumieć. Trzeba tylko się otworzyć, pokonać niechęć.

Czy pani wie, że w Anglii co roku bada się popularność znaków towarowych? Przez całe lata na pierwszym miejscu była królowa, a na drugim Coca-Cola. Dziś to drugie miejsce zajmuje galeria Tate, chociaż pokazuje sztukę awangardową, która wcale nie jest łatwa. Dla Brytyjczyków stała się ważna.

Przez pani ręce przechodzą setki dzieł – i tych nowych, i starszych. Chciałaby pani niektóre mieć na własność?

– Jak pani widzi, na ścianach w moim domu wiszą obrazy. Każdy z nich dostałam w prezencie. Uważam, że wszystkie muzea świata są moje i wszystkie dzieła świata są moje. I nie muszę mieć ich w domu.

„Le Monde”
Aliny Szapocznikow
przed konserwacją
i po niej. Iwona
Szmelter
oczyściła rzeźbę
z mrocznych
interpretacji

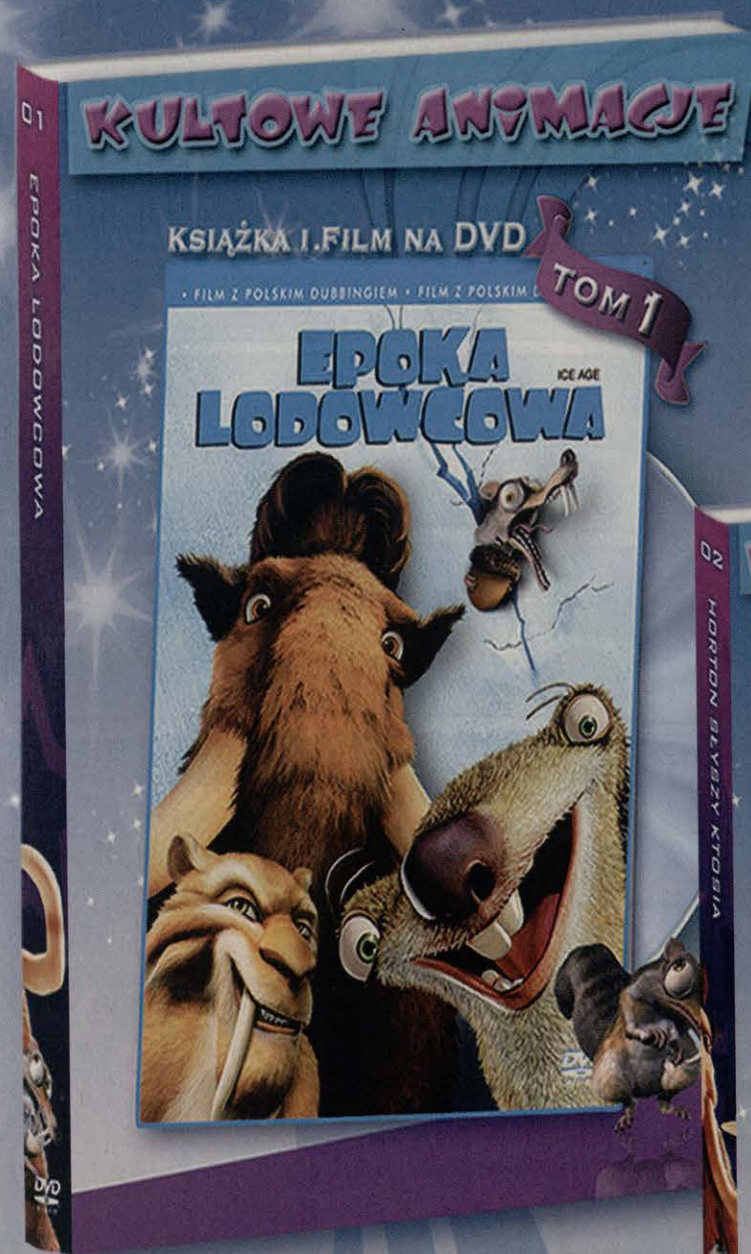


Ile jest warte
„Gówno artysty”? Jedną
z puszek Manzoniego
w 2007 roku sprzedano
za 124 tysiące euro



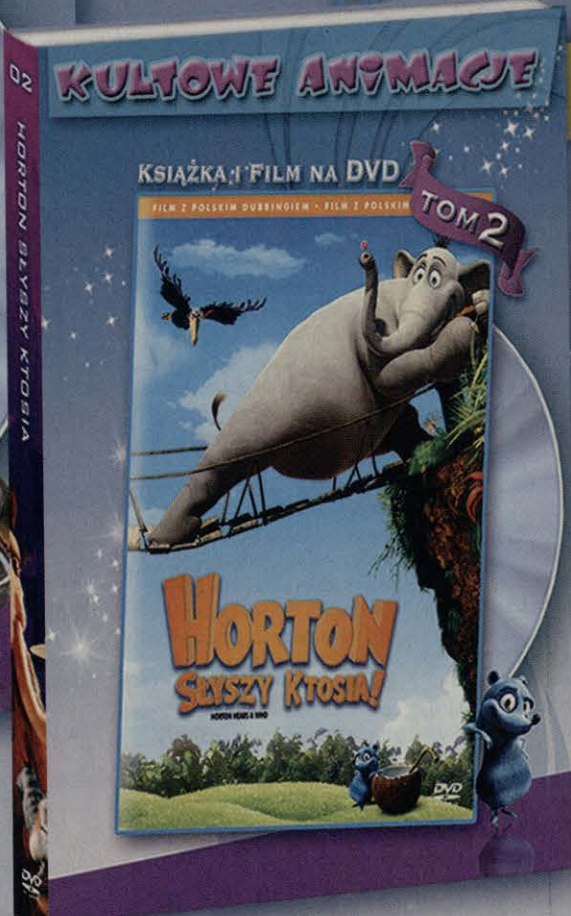
KULTOWE ANIMACJE

NOWA KOLEKCJA 20 KSIĄŻEK I FILMÓW NA DVD



CENA TYLKO
9⁹⁸
z

1. tom
już w kioskach



2. tom
już od 13 lipca



© 2009 Twentieth Century Fox Home Entertainment, Inc. All Rights Reserved.
„Twentieth Century Fox”, „Fox” and their associated logos the property of Twentieth Century Fox Film Corporation and are used under license

szczegóły i prenumerata www.kolekcjafilmmowa.pl/animacje

patroni medialni:

empik

CINEMA CITY

onet.pl

Radio ZET

ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:
KRZYŻÓWKA O WYLĘGARNI
NERWÓW (RZĄDĄ UKŁADEM),
JOLKA O WYLĘGARNI IKON
(POPKULTURA), A SZARY
O WYLĘGARNI RELIKWI

KONKURS

Uwaga, konkurs!!! Czytaj „Przekrój” i wygraj! Co jest najwspanialszym wynalazkiem człowieka? Osoba, która jako pierwsza wyśle prawidłową odpowiedź na adres: rozrywka@przekroj.pl, otrzyma książkę Marty Kuszewskiej „Szersz kadr”. Odpowiedź z zeszłego tygodnia: najpopularniejsze „przekrojowe” imię to Marcin.

Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Miłość aż po grób, czyli szarpajmy ciało na sztuki



CIEKAWÉ, ŻE NIEKTÓRE KOBIETY BARDZIEJ DBAJĄ O GROBY SVOICH MĘŻÓW, NIŻ DBAJĄ O SVOICH MĘŻÓW ZA ICH ŻYCIA – POWIEDZIAŁ SZARA, GDY PODCZAS SPACERU Z SZARYM PO POWĄŻKACH ZAUWAŻYŁA ZNAJOMĄ PORZĄDKUJĄCĄ GRÓB MĘŻA. – To zupełnie jak w stosunku narodu do jego wielkich synów – powiedział Szary. – Weźmy taką Skalkę: krakusy położyły tam Wyspiańskiego, ale wcześniej nie chciały, żeby został dyrektorem Teatru Miejskiego. Szymanowski spoczął w pokoju, ale najpierw, zaszczyt, musiał opuścić swój pokój rektora warszawskiej akademii muzycznej i schronić się w prowincjonalnym wówczas Zakopanem. Miłośz szczęśliwie dla siebie miał problemy dopiero po śmierci.



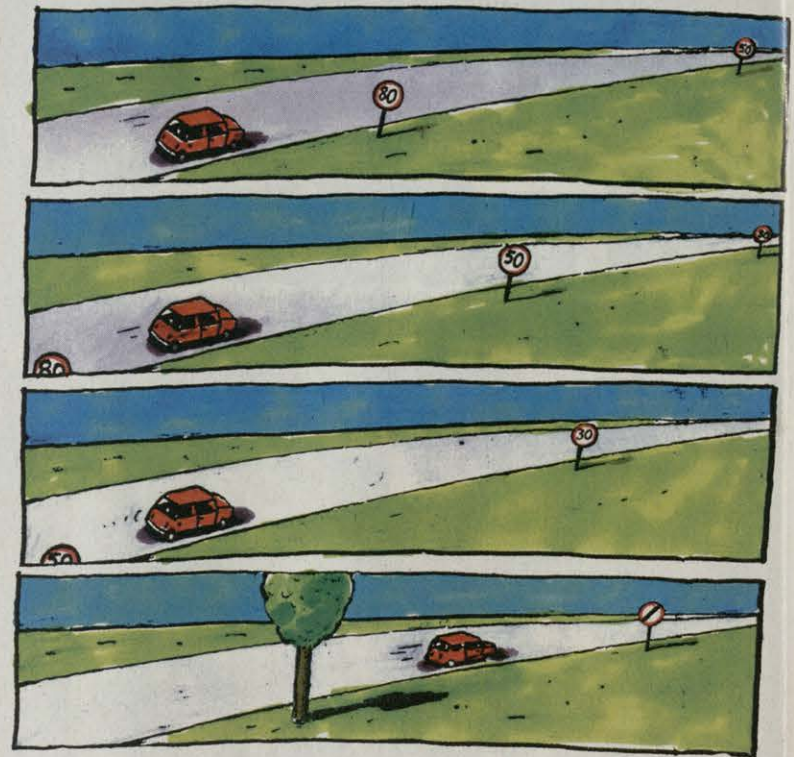
pieśni „Z młodej piersi się wyrwało”. Szarego zresztą zawsze intrygowało, dlaczego wszyscy uparli się właśnie na ten organ – tak, jakby czymś różnił się od swych towarzyszy niedoli. Przecież nerki Kościuski, trzustka Norwida, śledziona Gombrowicza czy jelito grube Skłodowskiej-Curie mogłyby nie mniej patriotycznie umiać niejedną świątynię czy mauzoleum.

Jeśli jednak myślicie, że wraz z ogłoszeniem przez aktorkę Szczepkowską niepodległości skończyła się epoka ćwiartowania oraz fetowania drogich ciał (zamiast fetowania drogich zmarłych), to się grubo mylicie. Gdy Szarzy przeczytali w gazecie, że relikwie Być Może Największego Polaka XX Wieku nawiedzą wkrótce ojczyznę, wyobrazili sobie, jak kości śród-ręcza (symbol pracy) będą krążyć po gospodarnej Wielkopolsce; kości stępu – po górach (po których Właściciel Szczątków tak uwielbiał spacerować); mostek (zamiast serca) nawiedzi drogi Zmarłemu Kraków; czaszka zawita do stolicy, a niezbyt reprezentacyjne rzeple, łokcie i piszczel obsłużą ścianę wschodnią.

– Uwielbiam średniowiecze – zadeklarowała Szara – ale myślałam, że to, co było potrzebne w czasach braku książek i TVP Info, mamy już za sobą. – Mnie to przypomina wyprzedawanie przez Izabelę Łęcką domowej zastawy – powiedział Szary.

– Łęcka jeszcze udaje, że wielkość jej rodziny nie należy do przeszłości, ale Wokulskiemu coraz bardziej otwierają się oczy. Farewell, miss Iza, farewell... □

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



Idźcie i śmiecie się! Wystawa rysunków Marka Raczkowskiego w Muzeum Karykatury w Warszawie, ul. Kozia 11

ANTYCHRYST, CZYLI KONFERENCJA PRASOWA W PIEKLE

WYSTĘPUJĄ: SZATAN ORAZ KRYTYCY

Akt 1. PRZED PROJEKCJĄ

SZATAN: Zapraszam państwa na projekcję filmu, który objąłem – że tak powiem – honorowym patronatem. Normalnie dali byście mu góra dwie gwiazdki, jak zwykłym horrorom, którymi się brzydycie, ale skoro zrobił go Lars von Trier, na pewno będziecie filozofować i szukać drugiego dna, krótko mówiąc – zrobicie mu taki PR, że Watykan szlag trafi, a mnie wzrosną notowania. Z góry dziękuję.

KRYTYCY: (obruszają się)

Akt 2. Po seansie

SZATAN: (zacierając kopyta)
KRYTYCY: (złośliwie dają filmowi po góra dwie gwiazdki i stawiają brawurową tezę, że von Trier skończył się na „Dogville”)

KURTYNA opada bezsilna.

Kino-teatrzyk
PRZEMKA JURKA

LEWO MYŚLNIE

Rozkapielówkowanie Nago, w gaciach czy w kąpielówkach Speedo. O upadku tajnej władzy chwila namysłu

ROMAN KURKIEWICZ

KĄPIELÓWKI SZEFA BRYTYJSKIEGO WYWIADU ZATRZĘSŁY powagą jednej z najbardziej legendarnych tajnych służb, kiedyżona sir Johna Sawersa, nowo powołanego dyrektora MI 6, zamieściła rodzinne zdjęcia z wakacji na portalu społecznościowym Facebook.

Szef wywiadu paradował w kąpielówkach Speedo, co jest przecież dość naturalne na plaży w upalny dzień. Chyba lepiej szpieg nad szpiegami nie mógłby być ubrany. Innym problemem było ujawnienie adresu domowego, adresu dzieci (dorosłych) itd. Cóż, tajemność tajnych służb zawsze była owiana słuszną i pochwałą godną tajemnicą. W najsłynniejszych filmowych realizacjach szefowie posiadali co najwyżej inicjał. A tu nagle szef wywiadu nabiera ciała, imienia, tytułu szlacheckiego, adresu, konkretnych dość majątek. I właściwie staje przed nami nagi. I co? I chyba nie. No bo co? Ci, którzy chcieliby wiedzieć, kto jest sir Johnem Sawersem – zapewne to wiedzieli, ta inwestycja była koniecznością. Ci, którzy mieli zadbać o to, żeby nie wiadomo było co i jak z Sawersem – wydaje się, że przeinwestowali lub nie docenili potęgi cywilizacji cyfrowej. Czy szef pływający w kąpielówkach Speedo jest mniej wiarygodny od szefa ubranego i nieznanego? Niczego nie wiem o wywiadzie, żeby móc to ocenić. Ale gdyby tak zmagania wywiadów przemieść też na grunt wodny? Nagle spotkanie wszystkich szefów (szefowych?) wywiadów świata? Wszyscy na kąpielowo? Łagodnie? Pływająco? Słonecznie? Może to jest największy problem, że zaprzecza to istocie wizerunku szpiega? Że prochowiec? Że w deszczu? Że po ciemku? Że szybki, czyli raczej samochodem? Że broń? Że sprzęt nagrywający? Ale przecież dzisiejszy szef wywiadu to jak prezes wielkiej korporacji. Chyba. I ma prawo mieć wakacje. Rodzinę. I może nawet kąpielówki. Problemem jest, czy to powinny być kąpielówki Speedo? Czy teraz nie będziemy patrzeć podejrzanie na każdego, kto ma speedo? Jak na szefa wywiadu? I dokąd on plynie? Jak on/ona stoi? Kto stoi za nimi? Właściwie czy można wyobrazić sobie lepszy temat ogórkowy niż kąpielówki szefa wywiadu?

Chyba jednak można, chciałbym, żeby zostały ujawnione stroje kąpielowe rodziny królewskiej, marzyłbym o ujrzeniu fotografii prezydenta w kąpielówkach, przyszłych prezydentów, byłych, cały naród w kąpielówkach chciałbym ujrzeć. I wówczas prawda byłaby naga. A majestat nie taki groźny. I dopiero teraz zrozumiałem, że kąpielówki szefa brytyjskiego MI 6 są właściwym upadkiem imperium i każde następne rozkapielówkowanie będzie ten upadek pogłębiało. Sowa Minerwy nie wylatuje o zmierzchu w kąpielówkach. I z tym już pozostanę.

Ale mam gdzieś jakieś kąpielówki. Może także speedo? Będę naprawdę groźny. □

MYŚLNIE

Być na ustach wszystkich to nie to samo co na językach.

Krzysztof Bilica

REKLAMA

KRZYŻÓWKI • JOLKI • KRZYŻÓWKI • JOLKI

PRZE KROJ

Wydanie specjalne
Nr 4/2009
cena 4,99 zł w tym 7% VAT

GRY I ZABAWY UMYSŁOWE

z rysunkami Marka Raczkowskiego

IDE SPAĆ. NIE SIEDZ DO POŹNA.

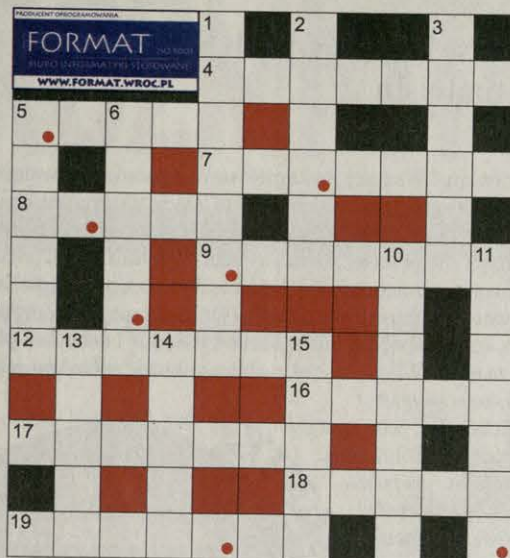
Rozrywka na najwyższym poziomie na długie letnie wieczory

Wydanie specjalne
GRY I ZABAWY UMYSŁOWE

18 KRZYŻÓWEK
18 JOLEK

Wydania specjalnego „GRY I ZABAWY UMYSŁOWE” szukaj w punktach sprzedaży na terenie całej Polski.

www.przekroj.pl



Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

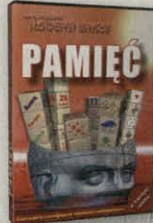
POZIOMO:

4. Z PZPN-u
5. PIÓRKIEM I WĘGLEM
7. ZOSTAW WIADOMOŚĆ
8. RZĄDZA UKŁADEM
9. MNIEJ NIŻ KSERO
12. GDAŃSKI NA STATKI
16. NIE WYCHODZI Z KINA
17. ORIENT
18. „PROSZĘ MI STĄD WYJŚĆ” STĄD
19. ZAKŁAD STOI

PIONOWO:

1. GRABA KRABA
2. Z AMERYKI
3. KAŻDA POTWORA
5. KSIĄŻKA O MARZENIACH
6. KURS FRANKA KIMONO
10. BALET KLASYCZNY
11. POD PŁASZCZYKIEM
13. PRZEPŁYWA PRZES WISŁĘ
14. BITY W USA
15. KILKA ZDAŃ

Sponsorem nagród jest FORMAT – producent nowoczesnego oprogramowania edukacyjnego www.akademia-umyslu.edu.pl



JOLKA NR 27/28

AUTOR: JERZY BUCZEK

WYRAZY 10-LITEROWE:

- WYLEGARNIA IKON
- MŁODSZE POD OPIEKĄ

WYRAZY 9-LITEROWE:

- CZŁOWIEK Z KŁOSZEM I NIE BEZ BEZ
- CHŁOPINA Z CHOPINA

WYRAZY 7-LITEROWE:

- SZLIFOWANY NA WOJNIE
- TOWARZYSZ PODRÓŻY PO KAŁUŻY
- TOPIONO W NIEJ ROKOKOWE SMUTKI
- CHODZĄ W KORRALACH

WYRAZY 6-LITEROWE:

- GWARDIA PIĘKNA
- PLACÓWKA Z WYMÓWKAMI
- TANIEC GO NIE OBUDZI

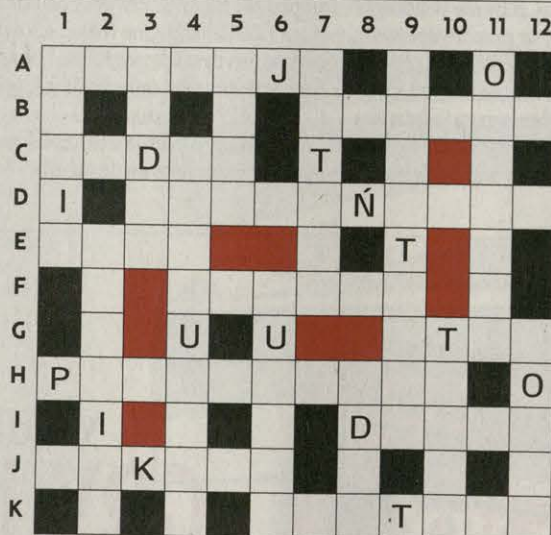
- NA POCZTÓWCE OBYWA SIĘ BEZ ŚWIATŁA
- WIETRZONE NA DWORZE

WYRAZY 5-LITEROWE:

- SPRZEDA WIEŻY BILET
- NI PŁYWAŁ PO NI PSIE
- PIWO Z NIĄ
- OAZA NIEPARZYSTO-KOPYTNOŚCI
- MIÓD W NIM KRAŻY
- ZAPALONY W ŁOŻY

WYRAZY 4-LITEROWE:

- BO SŁONECZKO BYŁO BEZ SERCA
- POŻAŁ SIĘ TUŁÓW
- NA WSCHÓD OD KRÓLA
- FEBRA BIERZE SIĘ DO ROBOTY



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

K4_D12_D6_H3_B3_E7_E2_I11_K10_B1_A7_ / B10_K11_F8_ / J5_A2_C4_A9_B12_K7_K2_E11_.

Uwaga! Jolkę nr 27/28 i krzyżówkę nr 27/28 możesz też wydrukować ze strony WWW.PRZEKROJ.PL

JESZCZE RAZ RACZKOWSKI



Idźcie i śmiecie się! Wystawa rysunków Marka Raczkowskiego w Muzeum Karykatury w Warszawie, ul. Kozia 11

Zaprasza Canon

NA KONIEC STOPKŁATKA

KUBA DĄBROWSKI

World Press Powódź

Reporter w delegacji, która zamieniła się w misję i zaowocowała światowym rozgłosem

ROK 1997, POCZĄTEK LIPCA. W POŁUDNIOWĄ Polskę, Czechy i Austrię uderza niespotykana fala opadów. W ciągu doby spada nawet cztery razy więcej deszczu niż w czasie przeciętnego letniego miesiąca. A przecież pada dłużej niż jedną dobę. Poziom wody w rzekach gwałtownie się podnosi. Odra i Nysa Kłodzka zaczynają wylewać. Zalaną są graniczne Chałupki, Kłodzko i dziesiątki mniejszych miejscowości. Fala zbliża się do Opola i Wrocławia. Zaczyna się „powódź tysiąclecia”.

Kilka dni wcześniej Maciej Skawiński przeprowadza się z Wrocławia do Warszawy, pracując jako fotoreporter w centralli „Rzeczpospolitej”. Nie zdążył się jeszcze zdomowić, a gazeta wysyła go „na temat” w rodzinne strony – do Kłodzka. Skawiński wsiada w redakcyjny samochód z kierowcą (kiedyś standard, dziś zapomniany luksus) i wyrusza na drogę. Przed Kłodzkiem trafiają na nieprzejezdny most. Fotograf odsyła auto do Warszawy, most pokonuje pieszo. Dalej porusza się okazjami. Dwa dni delegacji zmieniają się w dwa tygodnie. Reporter w miarę możliwości przemierza cały zalany region. – Największym problemem była logistyka codziennego dostarczania zdjęć do redakcji – wspomina Skawiński. – Jak w pozbawionych bieżącej wody i telefonu miejscowościach wywołać klisze i wysłać kadry do Warszawy? Trzeba było kombinować. Wywoływacz zdarzało mi się robić z rozsadzającej koreks gazowanej wody mineralnej, a modem podłączać do wojskowych radiostacji.

Samo robienie zdjęć w czasie kataklizmu jest stosunkowo proste. – Ludzie w takich sytuacjach po prostu chcą być fotografowani, chcą, żeby świat poznał ich tragedię – opowiada reporter. – To właśnie na uczuciach tych ludzi trzeba się skupić podczas pracy. Trzeba pamiętać, że reporter nie jedzie w rejon klęski żywiołowej po to, żeby zrobić fajne, efektowne kadry. Jeździmy w takie miejsca, żeby opowiedzieć historię.



Na rynku było wtedy dużo mniej fotografów. Wiedzieliśmy, że jeśli nie zrobimy dobrego zdjęcia, to go po prostu nie będzie

MACIEJ SKAWIŃSKI



FOT. MACIEJ SKAWIŃSKI/FORUM (2)

REKLAMA



DIGITAL
IXUS



IXUS 100 IS

Kreuj zdjęcia.
Twórz historie.

Canon

Wybieram najlepsze ubezpieczenie AC/OC 



dla mnie. Ponieważ nade wszystko cenię sobie wygodę, a w Ergo Hestii mają najlepszy system likwidacji szkód. Do tego wszędzie mogę się czuć bezpiecznie, mam również **ubezpieczenie kosztów leczenia** za granicą. Zresztą nie tylko ja, ale i moja rodzina. I to na cały rok. Wystarczy, że kupię pakiet AC/OC przed końcem sierpnia. Ergo Hestia dopasowuje się do potrzeb kierowców jak nikt inny. Nic dziwnego, że w 2008 r. pozyskała najwięcej nowych klientów. Najlepszy wybór Ergo Hestia. **Jestem pewien.**

0 801 107 107

opłata za połączenie zgodna z cennikiem operatora

szczegóły oferty na

www.hestia.pl